

Łódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 6 (1454) ROK XXIX

8 LUTEGO 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Nikaragua: przylot

(Od naszego
specjalnego wysłannika)

1.

Siedzę na dworcu lotniczym Jose Martí pod Hawaną. Czarny, klimatyzowany mercedes kubańskiego MSZ, który otrzymałem na czas mojego pobytu w tym mieście, odjechał. Czegoś żał. Nie ma już moich przyjaciół: Francisca Usallana — przewodnika i Sixta Cruza — kierowcy, jednego z owych wytwornych i gończych Kubańczyków, którzy kojarzą się z Hiszpaniami.

Prowadząc samochód Sixto Cruz często palił cygaro. Teraz siedzę na lotnisku pod Hawaną i patrzę na martwy ogarek cygara w ustach jakiegoś obywatela meksykańskiego, który — otyły, wyciągnięty na fotelu, z brzuchem wylającym się spod oaska — chrapie rozdzierająco, mimo że obok, na sąsiednich fotelach grupa jego młodych rodaków wali w gitary i wywrzaskuje „La palome”.

Dopijam drinka. Daleko za oknem widać strzeliste palmy królewskie, nad którymi krąży majestatycznie sęp. Z kieszeni śpiącego Meksykanina wylazła niebezpiecznie paszport i karta pokładowa. Mam wrażenie, że zaraz je zgubi lub że padną łupem szakala, a on chrapie.

Jest dopiero ósma (rano), lecz już teraz pół godziny przed planowanym startem, wołają nas do samolotu.

Pasażerowie do Managuá ustawiają się przed pierwszym wejściem, a ci do Meksyku przed drugim. Grubas chrapie w najlepsze, wchodzi jednak na płytę lotniska i przestaje o nim myśleć. Fascynuje mnie teraz pewien zdecydowanie europejski punk, Norweg lub Duńczyk. Rzadka sprawa. Zaczesał do góry włosy, krótkie i sztywne jak drut, promieniują tęczo. Przeważa fiolet i żółć, lecz nie brak również czerwieni. Mimo upału facet ma na sobie skórzaną kurtkę. No, jest oczywiście w spodniach wrzynających się bezlitośnie w chude pośladki. W torbie na plecach kipi bielizna. Zjechane buty piechura tworzyły kiedyś komplet, ale potem poróżniły się ze sobą — szpic lewego pozostał zamknięty, prawy zaś otworzył się jak paszcza, z której zamiast zębów wystawały krogulcze paznokcie.

Kubańska stewardesa, uśmiechająca się szablonowo do wszystkich pasażerów, straciła na chwilę oddech. Wpuszcza jednak straszdyło na pokład.



Foto: Grzegorz Galasiński

- Co nauczyciele sądzą o własnym zawodzie?
- Tatuazy nie operujemy...
- Początki imperium muzułmańskiego
- Co słyhać u gwiazd?

Miasto i woda

Toruńska wsypa

ROMAN KUBIAK

Toruń, dwustutysięczne miasto nad Wisłą, przeżywa dramat: nagle zostaje pozbawione wody pitnej. Wisłana zawiesina nie nadaje się do żadnych celów. Podstawowe źródło wody — rzeka Drwęca ulega skażeniu detergentami. Mimo wczesnych sygnałów o skażeniu, miasto jest kompletnie nie przygotowane na wypadek ciężkiej żywiołowej. Rozpaczliwie walczy o byt. Zatrutowana przyroda wysyła człowiekowi kolejne ostrzeżenia. A wszystko zaczęło się banalnie.

WYPADEK

Wtorek, 14 stycznia 1986 roku, zszosa między Ostródą a Lubawą. Do mostu we wsi Kłodziejki zbliża się samochód ciężarowy Jelcz z przyczepą. Pojazd należy do szczebińskiego oddziału PKS, jedzie ze Stargardu wioząc ładunek ośmiu ton proszków do prania „Gama-Lux”. Nawierzchnia drogi jest oblodzona, wieje silny wiatr. Ciężarówka ostro bierze zakręt i wpada w poślizg. Kierowca traci panowanie nad samochodem. Wielotonna masa łamie barierkę mostu i spada do rzeki Gizeli. Ranny kierowca zostaje odwieziony do szpitala w Hawie. Jest godzina dziewiąta dwadzieścia.

Gizela ma w tym miejscu trzy metry szerokości, kilkadziesiąt centymetrów głębokości. Woda dostaje się do uszkodzonego ładunku Jelcza i wypłukuje biały proszek. Towar był opakowany w handlowe kartony o wadze sześćset gramów każdy, poważnie zniszczone w chwili katastrofy. Proszek zawiera detergenty

— substancje chemiczne niebezpieczne dla życia i zdrowia ludzi oraz zwierząt. Woda porzywa i unosi ponad sześć ton „Gamy-Lux”.

Niespełna siedem kilometrów dalej Gizela wpada do Drwęcy, względnie jeszcze czystej rzeki, która jest źródłem wody pitnej dla Torunia. Odległość od ujścia Gizeli do toruńskiego ujścia wody w Lubiczu wynosi niespełna dwieście kilometrów. Płynących detergentów nie można niczym zneutralizować. Nie ulegają również biodegradacji. Do Torunia zmierza śmiertelna fala.

O godzinie dziesiątej pięćdziesiąt na miejsce wypadku przybywa ekipa techniczna wyposażona w ciężki podnośnik. Rozbitny wóz zostaje wydobyty z koryta rzeki. W akcji ratunkowej pomaga okoliczna ludność, przy okazji opatrując się w proszek do prania, którego nie zabrala woda. Prawdopodobnie dwa do trzech tysięcy opakowań „Gamy-Lux” zostaje wyniesionych z miejsca katastrofy. Skażona woda dociera do ujścia Gizeli.

UWAGA — NADCHODZI!

Okolo południa informacja o groźnym wypadku we wsi Kłodziejki trafia do władz wojewódzkich w Olsztynie. O godzinie czternastej trzydzieści Olsztyn powiadamia Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu, że nastą

6

Maria Koszutska (pseudonimy — „Wera” i „Kostrzewa”) należy do najciekawszych i najwybitniejszych postaci w naszym ruchu robotniczym. Jej postawa ideowo-moralna, działalność społeczno-polityczna i dorobek teoretyczno-ideologiczny zasługują na szczególne uznanie; tym bardziej, że była prekursorem polskiej drogi do socjalizmu i większość głoszonych przez nią poglądów znalazło potwierdzenie w historii. Dziś już wiemy, że w podstawowych sprawach się nie myliła. Niestety, ta wspaniała i światła osoba była dotąd zdumiewająco mało popularyzowana i przez to słabo jest znana szerszym kręgom społecznym. Bardzo skromna i cicha w życiu, nie zdobyła też rozgłosu po śmierci. W pracach historyków pozostaje w cieniu Adolfa Warskiego, Juliana Leńskiego i innych czołowych aktywistów KPP.

Celem mojego artykułu jest skrócone przedstawienie działalności Koszutskiej oraz lapidarne ujęcie głoszonych przez nią koncepcji. A przede wszystkim chodzi tu o zaprezentowanie jej teorii rewolucyjnej i budowy socjalizmu w Polsce.

Z DWORKU DO RUCHU REWOLUCYJNEGO

Maria Koszutska urodziła się 2 lutego 1876 r. w zubożonej rodzinie szlacheckiej Karola Koszutskiego i Zuzanny z domu Gzowskiej. Dzieciństwo spędziła w Kadziłdowej, niedaleko Kłodawy, gdzie ojciec wziął dzierżawę po stracie zadłużonego majątku w Głównym koło Kalisza. Początkowo edukacją jej, do 11 roku życia, zajmowała się matka. A następnie wysłała córkę do Warszawy na „mama” i cenioną pensję Henryki Czarnockiej. Notabene w tej sześcioklasowej szkole uczyła się również Natalia Gąsiorowska, z którą później Maria serdecznie się zaprzyjaźniła.

Ukończwszy z wyróżnieniem pensję powróciła do Kadziłdowej. Rodzice przeżywali wówczas śmierć jedynego syna. Maria zajęła się edukacją ciężko chorej na płuca siostry, Zofii, która kilka lat później zmarła.

Po pięcioletnim pobycie w domu, mając 22 lata, wyjechała w charakterze guwernantki na Litwę. I w ten sposób, podobnie

jak wiele innych dzieci szlacheckich, zasilila warstwę inteligencji. Wkrótce uzyskała tytuł „nauczycielki domowej”. A następnie w celu podwyższenia kwalifikacji udała się do Paryża.

Po ukończeniu rocznego studium nauczycielskiego na Sorbonie w 1902 r. objęła posadę kierowniczką koedukacyjnej szkoły średniej w Łodzi (mieszkała przy ul. Przejazd 41 — obecnie Tuwima 41). Niebawem wstąpiła do Polskiej Partii Socjalistycznej. W marcu 1903 r. po raz pierwszy została aresztowana. Osadzono

EDMUND LEWANDOWSKI

Nauki mądrej Marii

ją kolejno w więzieniach Łodzi, Łęczycy i Warszawy, a później zesłano na 3 lata do guberni archangielskiej. Z powodu wątłego zdrowia oraz śmiertelnej choroby matki odbyła tylko część kary (dwa lata).

Pod koniec 1905 r. poślubiła w kościele karmelitów w Warszawie Józefa Ciszewskiego — działacza PPS, publicystę, absolwenta politechniki. Niestety, już 22 grudnia powtórnie ją aresztowano; lecz z względu na bardzo zły stan zdrowia musiano umieścić w szpitalu, skąd zbiegła i dzięki temu uniknęła kolejnego zesłania. W tym okresie nawiązała przyjaźń z opiekującą się więźniami politycznymi Stefaną Sempolowską.

Po wykluczeniu z PPS w 1906 r. Józefa Piłsudskiego i rozłamie partii, Koszutska stała się czołową działaczką PPS-Lewicy. Zajmowała się sprawami programowymi i organizacyjnymi, uprawiała publicystykę. Niekiedy musiała jednak przerywać pracę z powodu pogarszającego się stanu zdrowia. W latach pierwszej

wojny światowej w zasadzie kierowała partią, a następnie odegrała ważną rolę w zjednoczeniu z SDKPiL i utworzeniu 16 grudnia 1916 roku Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Tak więc dawna „panienka z dworu” stała się komunistką. Wybrano ją nawet członkiem Sekretariatu Komitetu Centralnego. Ale już w lutym 1920 r. znowu została aresztowana i uwięziona, a w końcu roku zmuszona do opuszczenia kraju. Najpierw udała się do Gdańska i Sopotu, w latach 1922—1923 przebywała w Berlinie i w końcu osiedliła się w Moskwie.

Koszutską szczególnie interesowała polityka rolna. Problematykę tę studiowała w Wiedniu, Rzymie, Berlinie i Moskwie. Sporo uwagi poświęcała też zagadnieniom funkcjonowania partii oraz sprawie korzystania z wzorów radzieckich. Koncepcje jej miały bodaj decydujący wpływ na przebieg i uchwały II Zjazdu KPRP, odbytego w Bolszewie pod Moskwą w dniach od 19 września do 2 października 1923 roku. Zjazd ów miał znaczenie przełomowe. Uznał bowiem potrzebę dania ziemi chłopom i słuszność zasady samostanowienia narodów. Maria Koszutska wygłosiła tam dwa najważniejsze referaty: o kwestii agrarnej i polityce organizacyjnej partii. W wyborach do Komitetu Centralnego otrzymała największą liczbę głosów i weszła w skład Biura Politycznego.

Uchwały II Zjazdu KPRP świadczyły o zwycięstwie w partii idei leninowskich i porażce elementów dogmatyczno-sekciarskich. Jednakże stan ten okazał się krótkotrwały, gdyż po śmierci Lenina w polityce i funkcjonowaniu Międzynarodówki zaszły zmiany na korzyść sił lewackich. Na V Kongresie Złotowej ostrzegł Koszutską, że sprzeciwianie się Egzekutywie Kominternu może kosztować śmiałka „pogruchotaniem kości”. W obecności Stalina odpowiedziała na to: „niebezpieczni dla was nie są tacy ludzie, którym można dla takich przyczyn, jak nam, łamać kości, ale tacy, którzy w ogólne kości nie mają”.

4

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grazyna Olechnowicz

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Doroczyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolec, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madaj, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gądomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzyński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panaszewicz, Karol J. Strzyński.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsc zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przysyłają RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NRP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139 11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceńodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceńodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 261. B-5

Przegląd prasy

Wielu ludzi — a są wśród nich ekonomiści, politycy, uczeni i działacze społeczni — twierdzą, że najważniejszą sprawą dla naszej teraźniejszości i przyszłości jest wypracowanie gospodarki z kryzysu i wprowadzenie jej na szerszą i spokojną wodę. Jeśli nie uda się nam nadać niezbędnych gospodarczych impulsów, to przyszłość nasza może wywalać się fatalnie. Przecież i tak odstawiamy od poziomu gospodarki techniki i technologii wielu krajów, wcale tak znów nie przodujących na świecie. A nikt nie chce, aby ten dystans się jeszcze powiększał. Przeciwnie — wszystkim zależy na tym, aby dystans ten zmniejszył się. Z tych to — mniej więcej oświadczeń — istnieje duże zainteresowanie publikacjami na temat gospodarcze. Gdy więc w 1 numerze „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” z 1986 roku ukazał się artykuł Ryszarda Bugaja pt. „Dlaczego kryzys się przedłuża?” wywołal on spore zainteresowanie i był komentowany w różnych środowiskach. Przede wszystkim

NIEPOKOIŁ PESYMIZM

wynikający ze sposobu interpretacji faktów gospodarczych. Ryszard Bugaj wysunął bowiem tezę, że po okresie lat 1983—1984, kiedy to nastąpiło pewne ożywienie w naszej gospodarce, wzrosła produkcja i dochód narodowy, po tym okresie nastąpił ponowny regres i teraz cofamy się. Regresu tego — zdaniem R. Bugaja — nie można tłumaczyć ostrą zimą. Przyczyną poprzedniego ożywienia trzeba raczej doszukiwać się w tym, że po ostrym kryzysie lat 1980—1981, kiedy to nastąpił wielki spadek produkcji, zanikły pewne bariery ograniczające uprzedni wzrost produkcji i hamujące rozwój naszej gospodarki. Zanikły wówczas na przykład ograniczenia energetyczne, bo dla mniejszej produkcji potrzeba było mniej energii, jak i potrzebny był mniejszy transport. Okolicznością sprzyjającą było — zdaniem R. Bugaja — i to, że nasi wierzyciele sprolongowali nam płatność długów. W miarę jednak wzrostu produkcji „bariery” te pojawiają się ponownie i zaczynają działać. Obok nich pojawiają się inne i tak:

„Kluczowe znaczenie w najbliższych latach — pisze R. Bugaj — mieć jednak będą coraz twardsze długookresowe „bariery” wzrostu. Jest ich niestety wiele: dekapitalizacja majątku produkcyjnego, luka technologiczna, dewastacja środowiska, pogarszająca się struktura demograficzna, niewydolność infrastruktury, deficyt energii i materiałów”.

Z artykułem Ryszarda Bugaja

POLEMIKĘ PODJĄŁ KRZYSZTOF KRAUSS

na łamach „TRYBUNY LUDU” (nr 25 z 30 stycznia 1986 roku) w artykule pt. „Gdy fakty są niewygodne...”. Krzysztof Krauss pisze, że nikt nie ukrywa trudności i ograniczeń, „z jakimi będziemy mieć do czynienia w gospodarce w najbliższych latach”. Mówi się o tym i pisze, a w dyskusji przed X Zjazdem PZPR — między innymi nad projektem „Programu PZPR”, trzeba będzie zastanawiać się, jak te trudności i ograniczenia przezwyciężyć i odpowiedzieć na pytanie: czy i na ile jesteśmy przygotowani do dokonania zasadniczego zwrotu w efektywności gospodarowania? Krzysztof Krauss utrzymuje, że jeśli chodzi o odpowiedź na powyższe pytanie i inne z nim wiążące się, to Ryszard Bugaj „cołowo” w latach 1980—1981 „doradca ekonomiczny” NSZZ „Solidarność” praktycznie nie wiele ma do zaproponowania „poza — jak to określa mrużąc oko do czytelnika — „zmianami instytucjonalnymi”. Autor publikacji w „Trybunie Ludu” zgadza się, że „ubiegłoroczne wyniki gospodarce odbiegają w dół od

rezultatów osiągniętych w dwóch poprzednich latach” ale nie zgadza się z tezą, że w naszej gospodarce rozpoczął się okres stagnacji. Na dowód tego przypomina, że jeśli w 1982 roku poziom wartości produkcji z 1980 roku przekroczyły jedynie energetyka i przemysł ceramiki szlachetnej, to już w 1983 roku — przemysł: węglowy, szklarski, papierniczy i poligraficzny, a w 1984 roku przemysł: maszynowy, elektrotechniczny, elektrotechniczny, chemiczny, drzewny, odzieżowy i skórzany a inne były o kroś od tego poziomu. Brak danych za rok 1985 nie pozwala uzupełnić tej listy o nowe zalezi gospodarki. Gdzie więc tu nowa o regresie i stagnacji?

Z faktów tych nie należy wszakże wyciągać wniosków, że wszystko jest już na najgorszej drodze i postać nastąpi niejaką sam z siebie. Trzeba mieć świadomość tego, że mamy duże „opóźnienia”, że nadal obowiązują sankcje gospodarcze wobec Polski, że musimy zdobyć przez eksport pieniądze na spłacenie długów a także przezwyciężyć szereg ograniczeń wynikających z poziomu naszej energetyki i zapotrzebowania w surowce i maszyny. Wydzwignięcie Polski ze stanu kryzysu i osiągnięcie poziomu, jaki już mieliśmy we wszystkich dziedzinach naszej gospodarki nie będzie ani sprawa łatwa ani szybka. A rezultat tego zależeć będzie tylko od naszej wspólnej i wydatnej pracy od pomysłowości od tego, czy potrafimy uczynić naszą gospodarkę chłonna na innowacje i czy potrafimy tych innowacji dostarczyć tyle ile jej tego potrzeba.

MIJA CZAS

i zmienia się hierarchia i ważność faktów, co ucieka z naszej pamięci, co gubi się w czasie. Wydawało się, że to było tak niedawno a tu już minęło 30 lat od wydarzeń z października 1956 roku. Przypomniał o tym „PRZEGLĄD TYGODNIOWY” (nr 5 z 2 lutego 1986 roku) prezentując „Kalendarium 1956”. Dla jedynych będzie to przypomnienie przeżytych faktów, dla innych już tylko lekcja historii.

W 5 numerze „ARGUMENTÓW” (z 2 lutego 1986 roku) Szymon Kobylński przypomina spopularyzowaną niesławnie przez Tadeusza Zelenkiewicza „Bogę ostatec” Mariana Pirożynskiego: „Podziwiam Cię Pirożynskiemu”. W 1962 roku Szymon Kobylński wspominał w „Polityce” o ośmiu Pirożynskim i... otrzymał od niego list, w którym Marian Pirożynski wyraził przywrośczenie, że autor felietonu z „Polityki” zapewne nie zna tego książki, i tak wywalała się korespondencja, która trwała dość długo i która ułożyła się w interesującą książkę, będącą prezentacją dialogu między ludźmi o dwóch krańcowych światopoglądach.

Przed śmiercią ksiądz Marian Pirożynski cofnął jednak zgodę na wydanie drukiem tego korespondencji do Szymona Kobylńskiego, gdyż tak mu doradził jego „katołoccy przyjaciele”. Trudno nie uznać woli współautora książki i autora korespondencji, która na tę książkę miała się złożyć. Ale „miał prawo przewidziany termin 20 lat — pisze Szymon Kobylński — po których formalnie wolno mi zignorować wole zmarłego i opublikować całość. Byłoby to jednak zwykłym łajdactwem wobec bezbronnego przeciwnika”. W tej sytuacji Szymon Kobylński zwrócił się do władz kościelnych o wyrażenie zgody na publikację, ale jej nie uzyskał. W ten sposób interesujące być może świadectwo dyskusji wiedzy o dwu przeciwstawnych postaw światopoglądowych, opartej o argumenty, nigdy nie ujrzy światła dziennego. Szkoda.

Nie ma natomiast przeszkód w ukazywaniu historii powstania Muzeum Historii Fotografii w Krakowie i odsłaniania kulisy wyborów Miss Polonia. Jeśli chodzi o krakowskie Muzeum Historii Fotografii, to

WSZYSTKO ZACZEŁO SIĘ OD VENUS

a dzieje wystawy aktu kobiecego mają bujną i ciekawą historię. Skradziono — jak twierdzi dyrektor Muzeum Historii Fotografii i prezes Krakowskiego

Towarzystwa Fotograficznego — Władysław Klimczak w „SZTANDARZE MŁODYCH” (nr z 31 stycznia — 2 lutego 1986 roku) — lub zniszczono 600 fotografii. Zdarzyło się, że na sale, gdzie odbywała się prelekcja i gdzie były wystawione fotografie, wtargnęła kobieta i wylała na zdjęcia kwas siarkowy, a prelegentowi wsunęła do kieszeni kopertę, na której był napis: „Otwarcie grozi śmiercią!” Kopertę zabrał specjalista z wojsk chemicznych: „Zolnierze nabożyli kopertę na specjalne widły i odjechali. Do dziś nie wiem, co było wewnątrz koperty”.

Muzeum Historii Fotografii w Krakowie nie rodzi się łatwo i nie ma — jak to się mówi — drogą ustajęj rózami. Raczej przeciwnie. Same koleś, Muzeum ma otrzymać kamienicę hetmańska na swa siedzibę ale jest ona jeszcze w remoncie. „Budowianin” — mówi Władysław Klimczak — obiecują przekazać nam obiekt pod koniec roku. Ważnie, żeby to było możliwe. Jednakże nie przesłane ich niekąd i przypominać o zobowiązaniach”. Współorganizatorami krakowskim oudowianym

JAK NIE ZOSTAŁA MISS

Właśnie rozpoczęły się wybory, a wokół tej imprezy narosła już niezbyt dobra atmosfera. Pełno nieudolnych, niejasnych sugestii, podejrzeń i chyba nieporozumień. Stąd przygody Sylwii, która ma 21 lat, 178 cm wzrostu i wymiary: 88-64-98 i ludzie mówią, że jest bardzo ładna, nie zostały spisane tylko dla sensacji, raczej dla przestrogi. Sylwia — to ta sama, która usunęto z Zalesia „za prowadzenie niesportowego trybu życia”, co może sugerować, że Sylwia robiła Bóg jeden wie co, a tymczasem — jak to opisuje — chciała wyjść poza teren domu w którym dziewczęta mieszkały bez pozwolenia, aby obejrzeć zabytkowy kościół. Namawiano ją, aby teraz starłowała po raz drugi. Ale zdecydowana jest tego nie robić.

Jeżeli sa dziewczynny — mówi — ktorzy wydadz sie, ze jest to wsporniala przygoda — myla sie. Jest to niekoleczaca sie pasmo upoworzeń”.

Sylwia nie mówi tego z żalu z zemsty, z niechęci. Mówi z doświadczenia. Zresztą nie jest to pierwszy głos, który wystawia organizatorom konkursu Miss Polonia nie najlepszą opinie.

Cytowany już tu „Sztandar Młodych” opublikował listę

BESTSELLERÓW I BUBLI ROKU 1985

Wprawdzie już Rzymianie przestrzegali, aby nie dyskutować o gustach, ale sporo wody upłynęło w Tybrycie i Wiśle, a my nadal dyskutujemy o gustach i staramy się poznać gusta innych. W ankiecie „SM” wzięło udział 357 osób, które zgłoszyły 97 propozycji bestsellerów i 61 pozycji do miana buble.

Najwięcej, bo 106 głosów otrzymał „Słotek mitów i tradycji kultury” W. Kopalińskiego. Drugie miejsce zajęło ościonieście Panoramy Racławickiej we Wrocławiu, na trzecie — koncert na rzecz godujących w Etiopii, który odbył się w Londynie. Warto może dodać, że na liście bestsellerów obok „Selekcji”, występów Shakira Stevensa znalazły się też seriale „Powrót do Eden” i „Niewolnica Isaura”.

Tak sama „Niewolnica Isaura” zajmuje drugie miejsce na liście buble tuż po „Studio-1”, które otrzymało 123 głosy. Jest na tej liście „Och, Karol”, „Studio Lato”, „Diabelskie szczyty”, F. Trzeciaka, program noworoczny TVP, serial „Trapez” H. Przybyły, występy grup „Papa Dance” i „Boiter”, a także program „Sekscesy” — na 10 miejscu — jest też Festiwal w Sopocie, Telewizyjna Lista Przebojów oraz telewizyjny program „Jarmark”.

Czytając obie te listy przypomniło mi się, że jeszcze nie taki nie narodził, który by wszystkim dogodził. Może i dobrze!

LUCIAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Rozliczenie z minionym

Niezdrowe, gdyż obezwładniające, jest zbyt częste pograżanie się pamięcią w sprawy minionych i kontemplacja przeszłości, trzeba jednak od czasu do czasu obejrzeć się za siebie, żeby zdać sobie sprawę z przebytej drogi — czy wspięliśmy się w górę, czy zeszliśmy w dół... Dotyczy to nie tylko jednostek, ale i całych społeczeństw.

Gdyby mi kazano dziś odtworzyć szczegółowo bez zagładania do odpowiedniej dokumentacji bieg publicznych wydarzeń z powiedzy, połowy listopada 1981 r. potrafiłbym jedynie odmalować ogólne, dość ponure tło. W chaotycznym przemieszaniu obrazów pamiętam niedostatk i niepokoję, atmosferę nieustannego strajku, a ponadto mnożące się kryminalno-cbuligańskie napaady w biały dzień na spokojnych przechodniów, zrywanie kobietom futrzanych czapek z głów i gromadki wojowniczych osobników, stojących zawsze przeciwko milicjantowi go stronie przyłapanego przestępcę, całkowite przeniesienie się handlu ze sklepowych polek na czarnorynkowe lotne stoiska, coraz dokuczliwsza troska o jutro osób najbliższych i kraju, a wreszcie wśród wielu z nas oczekiwanie na „cuć”, na jakiś przełom, od którego rozpoczłaby się normalizacja całkowicie rozsprzężego życia.

Wskazuje się też nieraz, jako na zgubne skutki tamtego czasu, rozbita na te politycznym rodziny i przyjacielskie związki, czego ja bynajmniej nie uważam za jednoznaczny szkodę, ponieważ nie ufam owemu bezmyślnemu, często pijackiemu zwołaniu przodków: „Kochajmy się!”. Nie, wcale nie pragnę kochać się ze wszystkimi, są ludzie, których wolę widzieć jako swoich wrogów niż przyjaciół, gdyby bowiem darzył mnie przyjaźnią, sam sobie musiałbym wtedy wydać się podejrzanym. A zresztą nie widzę powodu, żebyśmy nieustannie napraszali się z chlebem tym, co rzucają w nas kamieniami.

Chyba nie mnie jednego pobudził w tych dniach do wspomnień i refleksji, wyświetlony w telewizji film Romana Wionczka „Godność”. To, co w nim zobaczyłem odpowiada z grubsza moim wspomnieniom, ale także wspomnieniom wielu osób znajomych. Można by odnieść wrażenie, że obecnie znacznie więcej ludzi uznaje prawdziwość przedstawionych w filmie faktów i słuszność zawartych w nim ocen niż wtedy, przed czterema laty, uznawo słuszność oficjalnej argumentacji.

Ta zmiana społecznej opinii wydaje mi się wiarygodna, kiedy bowiem sledzi się w tym filmie mechanizm stosowanego wówczas przez opozycję manipulowania masami, można jeszcze lepiej zdać sobie sprawę, jak doskonale aktyw polityczny podziemia czy pewnych podległych struktur opanował (jeszcze przed Sierpniem 80 r.) socjotechnikę masowej walki politycznej. Z pewnością może to być dla wielu żenujące, którzy krytycznym okiem dostrzegają pokazane w filmie działania polityczne opozycji, że tak łatwo wówczas, znalazłszy się w ulicznym tłumie, czy na zgromadzeniu w zakładzie pracy, traciła zdolność krytycznej analizy hasel i oceny sytuacji, ulegając amokowi zbiorowych historycznych drgawek. A przecież w niejednym przypadku opanowywał ludzi ten sam stan psychiczny, co w średniowiecznych psychozach sfanatyzowanych tłumów. Nawet ludzie wykształceni ulegali nieraz sloganom, od jakich nie uciekała się najprymitywniejsza propaganda „reżimowa” w czasach tzw. kultu jednostki.

Dziś zresztą nie najważniejsze — kto jak wtedy reagował, powinniśmy raczej zastanawiać się, jak wytworzyć w jednostce zdolność do opierania się bezmyślnym odruchom stadnym. A myślę, że jest to przede wszystkim kwestia wychowania w kulturze umysłowej i politycznej na co dzień, nie tylko od wielkiego dzwonu. Rozumiełbym to przede wszystkim jako atmosferę zaufania obywatela do praworządności w sprawowaniu władzy i poczucie szerokiego, otwartego doinformowania o wszystkim, co dotyczy żywotnych spraw państwa i społeczeństwa, a także konsekwentne — w szkole i w całym życiu publicznym — propagowanie racjonalistycznego światopoglądu. Nie rodzą się wtedy tak łatwo mity, nie lęgną się z plotek i domniemań upiory, które straszą, wywołują niepokój i zbijają zatrzwożone i agresywne jednostki w bezmyślne stado.

I doprawdy trzeba być wyczułym z dobrej woli, nie obserwować życia, nie przysłuchiwać się publicznym wypowiedziom i dyskusjom, żeby nie dostrzegać wielkich wysiłków czynionych w kraju od blisko pięciu lat, które tworzą, nie bez trudów, nie bez oporów i wahań, przesłanki coraz normalniejszego życia. A najmniejsze prawo moralne do krytyki mają ci, co uchylają się od współudziału w naprawie.

JERZY KWIECIŃSKI

Nowe władze Oddziału Łódzkiego ZLP

W atmosferze zrozumienia i porozumienia przebiegało sobotnie (1 lutego) zebranie sprawozdawczo-wyborcze Oddziału Łódzkiego ZLP. Przy udziale władz miasta (w części sprawozdawczo-dyskusyjnej), które reprezentowali m. in. sekretarz KŁ PZPR Maria Wawrzyńska i wiceprezydent m. Łodzi Jan Nosko, toczyła się odpowiedzialna rozmowa o teraźniejszości i przyszłości środowiska literackiego Łodzi. Mówiono o najistotniejszych dla łódzkich pisarzy problemach bytowych i organizacyjnych a także o zamierzeniach kulturotwórczych i potrzebach w tym zakresie na przyszłość.

W części drugiej odbył się wybory. I tak prezesem Oddziału, Łódzkiego został Władysław Orłowski. Do Zarządu wybrano także Ewę Filipczuk, Henryka Hartenberga, Eugeniusza Iwanickiego (skarbnik), Annę Lewkowską, Andrzeja W. Mikołajewskiego, Rafała Orlewskiego, Henryka Pustkowskiego (wiceprezes), Karola J. Strzyjskiego (sekretarz) i Edwarda Szustera (wiceprezes). Do Komisji Rewizyjnej — Tadeusza Słupckiego, Konrada Frejdlicha i Władysława Strzeleckiego. Nowy Sad Koleżeński tworzą: Honorata Chrościelewska, Roman Gorzelski i Bernard Sztajner.

W związku z Zjazdem ZLP, który odbędzie się jeszcze w tym miesiącu, dokonano wyboru delegatów na to ważne zgromadzenie polskich pisarzy. Na Zjeździe łódzkie środowisko reprezentować będą: Tadeusz Błażewski, Tadeusz Chrościelewski, Ewa Filipczuk, Wiesław Jazdyński, Mirosław Kuźniak, Władysław Orłowski, Karol J. Strzyjski, Edward Szuster i Jerzy Wawrzak.

Składając gratulacje nowo wybranemu prezesowi i członkom Zarządu redakcja „Ogłosów” życzy im owocnej i efektywnej działalności z korzyścią dla literatów, kultury naszego miasta dla polskiej literatury.

(GRZG.)

Co pozostało z roli nauczyciela z dawniejszego poczucia misji, powołania? Czy nauczyciel, to ciągle ktoś, kto uczy poznawać świat i formuje osobowość młodego człowieka, kształtując jego wartości, postawy, system wartości? Czy może tylko uczy matematyki, historii, jest „panem lub panią od polskiego, geografii”?

Jakie są dziś wyznaczniki satysfakcji zawodowej nauczycieli, co ich frustruje i budzi niezadowolenie? Jak oceniają sami nauczyciele własny zawód z punktu widzenia zysków i strat jakie on przynosi w szerokim, socjologicznym znaczeniu tych słów?

Spróbujcie odpowiedzieć przynajmniej na niektóre z postawionych pytań. Podstawą będą zrealizowane w czerwcu 1985 roku badania socjologiczne w środowisku nauczycieli łódzkich, które objęły 588 osób z wylosowanych 48 szkół. Wśród nauczycieli, którzy odpowiedzieli na naszą ankietę 75 proc. stanowią nauczyciele szkół podstawowych, 15 proc. szkół zawodowych (średnich i zasadniczych) i 10 proc. nauczycieli szkół ogólnokształcących. Odpowiada to strukturze szkolnictwa w Łodzi i zapewniając reprezentatywność badań umożliwia odnośnienie wniosków do całego łódzkiego środowiska nauczycielskiego.

KIM SĄ ŁÓDZCY NAUCZYCIELE?

Są to przede wszystkim kobiety. Wśród badanych stanowiły one blisko 85 proc. Odzwierciedla to poziom feminizacji zawodu, typowej zresztą dla większości krajów. Średnia wieku łódzkich nauczycieli wynosi 39 lat. Podobnie młodzi są nauczyciele w całym kraju — średnia wieku w 1980 r. wynosiła 36 lat.

ZDZIŚLAWA KAWKA

Co nauczyciele sądzą o własnym zawodzie?

Prawie 70 proc. ankietyowanych pracuje w szkolnictwie ponad 10 lat (przeciętny staż pedagogiczny wynosi 15,8 lat), a tylko 25 proc. pracuje krócej niż 5 lat. Wśród osób, które w ostatnim okresie podjęły pracę w zawodzie nauczycielskim jest sporo mężczyzn, co może napawać pewnym optymizmem, bowiem w sposób korzystny osłabia proces nadmiernej feminizacji zawodu nauczycielskiego.

Ponad 70 proc. ankietyowanych legitymuje się wyższym wykształceniem (w skali kraju odsetek ten wynosi ok. 60 proc.). Częściej niż co drugi badany nauczyciel pochodzi ze środowiska robotniczego, co ósmy ze środowiska chłopskiego, zaś co trzeci ze środowiska inteligentckiego. Jeszcze raz potwierdza się więc atrakcyjność tej drogi awansu społecznego dla młodzieży robotniczej i chłopskiej.

Warto może w tym miejscu zasygnalizować, iż pochodzenie społeczne, niezależnie od osiągniętego poziomu wykształcenia, spełnia funkcje selekcyjne w rozdziale pozycji w ramach zawodu. Nauczyciele pochodzenia robotniczego i chłopskiego pracują częściej w szkolnictwie podstawowym i zawodowym, zaś nauczyciele pochodzenia inteligentckiego w szkołach ogólnokształcących.

Badani nauczyciele mają w większości uregulowane życie rodzinne — prawie 80 proc. spośród nich to osoby zamężne i żonate. Blisko połowa posiada jedno dziecko, 1/3 posiada dwoje dzieci, zaś ledwie co trzeci nauczyciel posiada troje i więcej dzieci. Średni dochód na osobę w gospodarstwie nauczycielskim wynosi około 8600 zł (według deklaracji badanych). Ponad 80 proc. ankietyowanych nauczycieli posiada samodzielne mieszkanie, ale blisko co drugi nauczyciel nie posiada jednak w domu warunków do pracy, tzn. nie ma własnego pokoju lub stałego miejsca w pokoju.

Zasobność gospodarstw domowych nauczycieli w tzw. dobra luksusowe jest dość wysoka, ale zróżnicowana. Najczęściej w wyposażeniu rodzin znajdują się: pralka automatyczna (51 proc.), telefon (50 proc.), radio stereo (22 proc.), magnetofon hi-fi (13 proc.). Częściej niż co trzecia rodzina nauczycielska posiada samochód, co piąta działkę rekreacyjną, co trzynasta domek letniskowy. Ocena własnego poziomu życia dokonana przez nauczycieli przedstawia się następująco: 43 proc. badanych oceniło swój poziom życia jako niski lub bardzo niski, a 1/5 jako dostateczny.

Jeśli dane te przedstawiać w największym skrócie, szkicując socjologiczny portret łódzkiego nauczyciela, to pamiętajmy, że jest to najczęściej kobieta, w wieku do 40 lat, pochodząca ze środowiska robotniczego, zamężna i mająca wyższe wykształcenie, której mąż ma na równie wyższe wykształcenie, posiadająca dochód na osobę od 7 do 10 tysięcy, samodzielnie mieszkanie, nierazko posiadająca samochód, oceniająca swój poziom życia jako niski lub bardzo niski. Jest to nauczycielka pracująca w szkole podstawowej dłużej niż 10 lat.

CO MYŚLI O SWOIM ZAWODZIE?

Jednym z wyznaczników satysfakcji zawodowej jest z pewnością wynagrodzenie. Jak więc oceniają nauczyciele ten element pełnionej przez nich roli społeczno-zawodowej?

Czy pozycja materialna zawodu nauczycielskiego, będąca od wielu lat przedmiotem dyskusji i przetargów między władzami a kolejnymi reprezentantami interesów środowiska oceniana jest już pozytywnie, czy też jest źródłem niezadowolenia? Z badań naszych wynika, że ocena tego ważnego aspektu społecznej kondycji nauczycieli dokonana przez badanych jest generalnie negatywna. Najniższą oceną nauczyciele swoje wynagrodzenie ze względu na dochody osiągane w innych zawodach — 73 proc. uważa je za niedostateczne. Nie brak nawet dramatycznych wyznań: „Żyję na granicy nędzy w porównaniu z innymi”. W stosunku do kosztów utrzymania 72 proc. badanych określa własne wynagrodzenie jako niedostateczne.

Jedną z nauczycielek pisze: „Czy przy uposażeniu 11.700 plus 2.200 zł dodatku stażowego stać mnie na kupno książek, gazet? Czy kiedykolwiek w życiu będę mogła zwiedzić Galeria Drezdeńska lub Ermitaż? I to po 20 latach pracy?”

Równie negatywnie oceniają badania swoje wynagrodzenie ze względu na posiadane wykształcenie i wiedzę oraz umiejętności jakich wymaga praca (odpowiednio 71 i 70 proc. ocen krytycznych). Są więc nauczyciele głęboko przekonani, że ich praca jest zbyt mało wynagradzana zarówno w kategoriach bezwzględnych (pamiętajmy, że średni dochód na jedną osobę w rodzinach nauczycielskich jest niewiele wyższy od minimum socjalnego, które wynosi 7000 zł), jak i ze względu na szczególnie wysokie kwalifikacje wymagane w tym zawodzie.

Ważnym elementem oceny własnych zarobków jest z pewnością postrzeżenie ich w relacji do dochodów przypisywanych innym grupom zawodowym. W naszej ankiecie prosiliśmy nauczycieli o wskazanie tych grup zawodowych, których dochody odbiegały ich zdaniem od sprawiedliwej zasady wynagradzania, tzn. w zależności od ilości i jakości wydatkowanej pracy.

Zdaniem badanych niesprawiedliwie wysokie dochody osiągają przede wszystkim prywatni kupcy i rzemieślnicy — uważa tak 68 proc. odpowiadających na ankietę, a także między innymi robotnicy (40 procent ocenia dochody robotników jako za wysokie). Natomiast za niesprawiedliwie niskie uważają

przede wszystkim własne zarobki. Sądzi tak 93 proc. nauczycieli. W dalszej kolejności dotyczy to wysokości rent i emerytur, dochodów specjalistów z wyższym wykształceniem i pracowników biurowych.

Jak więc wynika z naszych badań nauczyciele mają powszechną świadomość bardzo dużego upośledzenia ekonomicznego własnego środowiska. I mimo dość dużego zróżnicowania faktycznych dochodów i kwalifikacji panuje w tym zakresie prawie 100-procentowa jednomyślność. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że nie ma w Polsce drugiej grupy pracowniczej mającej tak silne i tak powszechne poczucie niedowartościowania materialnego. Wpływ na te oceny mają z pewnością rosnące gwałtownie koszty utrzymania. We wcześniejszych realizowanych badaniach nad nauczycielami województwa sieradzkiego (1978 rok) poczucie niedowartościowania ekonomicznego nie było ani tak silne, ani tak powszechne. Tylko niespełna 50 proc. badanych wówczas nauczycieli było skłonnych uznać własne zarobki za trochę za niskie, zaś około 30 proc. za wystarczające.

JAKA JEST ICH POZYCJA SPOŁECZNA?

Badani nauczyciele proszeni byli o ocenę własnej pozycji społecznej w porównaniu z pozycją innych, typowo inteligentkich zawodów takich jak: inżynierowie, lekarze, prawnicy, oficerowie WP i księża. Okazało się, że nauczyciele lokują siebie znacznie poniżej wszystkich wymienionych kategorii. Największe poczucie dystansu społecznego mają nauczyciele wobec lekarzy. Właśną pozycję uznają za niższą blisko 90 proc. badanych. Następnie w kolejności wobec prawników, inżynierów, oficerów WP i księży (odpowiednie odsetki osób oceniających swoją pozycję jako

ZDZIŚLAWA KAWKA

niższą wynoszą 82 proc., 78 proc., 70 proc. i 56 proc.). Tak więc nauczyciele oceniają swoją pozycję jako najniższą w grupie wymienionych zawodów inteligentkich wymagających wysokich kwalifikacji.

We wspomnianych wcześniej badaniach sieradzkich większość nauczycieli skłonna była uznać, iż pozycja społeczna nauczyciela odpowiada pozycji urzędnika w biurze. Tak silne poczucie deprywacji społecznej może — jak sądzą — rodzić frustracje związane z wykonywaniem zawodu. Ze tak jest w istocie świadczy fakt, iż połowa badanych nauczycieli rozważała możliwość rezygnacji z zawodu. Co jest dość oczywiste, nieco częściej gotowość taką deklarowali mężczyźni niż kobiety, nauczyciele młodszy niż starsi. Zamiar ten dotyczy także w większym stopniu tych, którzy trafili do zawodu nauczycielskiego w sposób przypadkowy oraz tych, którzy oceniają swój poziom życia jako bardzo niski.

Najczęściej deklarowaną przyczyną ewentualnego odejścia z zawodu jest chęć uzyskania wyższego wynagrodzenia, wymienia ją blisko co trzeci nauczyciel zamierzający zmienić pracę. Dość typowe są tu następujące wypowiedzi uzasadniające ewentualną decyzję odejścia z zawodu: „ponieważ jest to zawód, w którym pracuje się społecznie, a przecież trzeba się z czegoś utrzymać”. Inna wypowiedź: „ja też chcę wreszcie mieć za uczciwą pracę własne wynagrodzenie. Chcę mieć pieniądze na książki, teatr, filharmonię, bez szarpania nerwów na podstawie potrzeby mojego dziecka”.

Oczywiście, zbyt niskie wynagrodzenie nie jest jedyną przyczyną skłaniającą do zmiany zawodu. Wielu nauczycieli zwraca uwagę na uciążliwy, wyczerpujący charakter pracy, konflikty w zespołach nauczycielskich, szczególnie z dyrektora, poczucie braku stabilizacji w zawodzie związane z ciągłą reorganizacją szkolnictwa, poczucie konfliktu między uznawanym a pożądanym światopoglądem, czy wreszcie niemożność samorealizacji w zawodzie.

Deklarowany zamiar odejścia nie oznacza oczywiście rzeczywistej rezygnacji z zawodu, o czym świadczy rozmiar fluktuacji w zawodzie, który w skali kraju utrzymuje się na poziomie kilku procent rocznie. Część osób dokonuje z pewnością wyboru negatywnego, który wynika z ograniczonych możliwości rynku pracy, obawy przed zmianą itp. Tak czy inaczej większość znajduje dostatecznie silną motywację do dalszego jego wykonywania.

CZY ZAWÓD NAUCZYCIELA MA ZALETY?

Z naszych badań wynika, że głównymi zaletami pracy nauczyciela są: niski wymiar bezpośredniej pracy z młodzieżą oraz dodatkowy wolny czas od pracy w postaci ferii, wakacji, przerw świątecznych itp. — wymienia je co drugi respondent, następnie możliwość kształtowania osobowości dzieci i młodzieży oraz możliwość obserwowania efektów własnych działań wychowawczych i dydaktycznych. Spora część nauczycieli wskazuje na świadomość użyteczności roli jaką realizują, czy wreszcie na twórczy, samodzielny charakter pracy.

Można powiedzieć, że nauczyciele cenią więc bardziej zewnętrzne warunki realizacji roli nauczyciela (ferie, wakacje) niż możliwość oddziaływania na drugiego człowieka, czyli to, co stanowi istotę zawodu nauczycielskiego. Z pewnością warunki pracy kompensują w jakimś zakresie niskie wynagrodzenie, a po drugie nie zapominajmy, że nauczyciele, to przede wszystkim kobiety, którym niemożliwe ściśle godziny pracy umożliwiają bądź ułatwiają w istotny sposób realizację ról pozazawodowych.

Warto zwrócić także uwagę że prawie co drugi badany uznaje, iż atrybutem pracy nauczycielskiej jest możliwość decydowania o innych, czyli mówiąc po prostu — władza. Z potocznych obserwacji wynika, iż ten aspekt roli społecznej nauczyciela jest nierazko ceniony, choć nie wszyscy są skłonni przyznawać się do tego.

Z badań naszych wynika, że praca nauczycielska zaspokaja głównie potrzebę uznania społecznego — jakkolwiek nauczyciele mają wyraźne poczucie bardzo dużej rozbieżności między uznaniem ważności realizowanych zadań a prestiżem zawodu w społeczeństwie — oraz potrzebę własnego doskonalenia się intelektualnego.

Ze potrzeby te są w znacznym stopniu zaspokajane świadczy fakt, że blisko 85 proc. badanych uznaje, że osiąga satysfakcję z pracy mimo silnie odczuwanych różnorodnych negatywnych stron tego zawodu. U podstaw tej satysfakcji leży najczęściej pozytywna motywacja wyboru zawodu i zamiłowanie do pracy nauczycielskiej. Badani mówią nierazko po prostu: „lubię ten zawód, Kocham dzieci”. Dość często zadowolenie z pracy wiąże się także z faktem, iż widoczne są efekty pracy: „Widzę jak młodzież rośnie, rozwija się i zdobywa wiedzę, którą im przekazujemy”.

Ci nauczyciele, których praca nie satysfakcjonuje, akcentują zaś przede wszystkim niewspółmierność efektów pracy w stosunku do włożonego wysiłku, niski prestiż zawodu w społeczeństwie oraz niskie zarobki. Są to najczęściej powtarzające się powody frustracji związanej z wykonywaniem zawodu.

Powszechnie sądzi się, że praca nauczycielska poddana jest wielorakiej kontroli i naciskom. Rygoru natury administracyjnej, politycznej, obywatelskiej i innej nie muszą być jednak zbyt silnie odczuwane, jeśli większość nauczycieli (75 proc.) ocenia stopień samodzielności własnej pracy jako wysoki lub bardzo wysoki. Samodzielność ta odnosi się jednak — jak można sądzić —

głównie do jednostki lekcyjnej, w trakcie której nauczyciel nie jest kontrolowany (wyjąwszy hospitacje i wizytacje) i może ją dowolnie realizować, stosując się do ogólnych wymogów programowych i metodycznych.

Silnie odczuwana potrzeba samodzielności pracy — że jest ona konieczna w pracy nauczyciela uznaje blisko 100 proc. badanych — nie wyklucza jednak uznania zasadności kontroli. Połowa respondentów uznaje, że kontrola pomaga w pracy i jest czynnikiem motywującym. Za najskuteczniejsze formy oceny własnej pracy nauczyciele uznają hospitacje lekcje koleżeńskie i pokazowe, czyli tradycyjnie stosowane formy oceny. Sprawa kontroli i oceny pracy nauczycielskiej — co zrozumiale — budzi także wiele emocji i uwag krytycznych. Niektórzy sądzą nawet, że nie ma drugiej kategorii zawodowej, której kompetencje merytoryczne i metodyczne byłyby kontrolowane równie systematycznie i wprost.

ZA CO OCENIA SIĘ NAUCZYCIELE?

Wielu nauczycieli zwraca uwagę na nie zawsze właściwą atmosferę, w której przebiega wizytacja będąca podstawą oceny, czy stosowanie pozamerytorycznych kryteriów oceny. Dość znamienne i wcale nierzadkie są wypowiedzi: „Jestem oceniana najczęściej za doraźne działania typu organizacja apelów, sprawdzenie „lapci”, itp.”. „Ocena się mnie za punktualne przychodzenie do pracy, prawidłowe wypełnianie dokumentacji szkolnej, wywiązywanie się z obowiązków zastępstw, dyżurów podczas przerwy, przygotowania i prowadzenia lekcji”, „za schlebianie dyrekcji”, „za działania pozorne, sporadyczne, okazjonalne”.

Ogólnie sądzą nauczyciele, że w pierwszej kolejności są oceniani za wyniki nauczania i realizację programu, następnie za stosunek do pracy, w tym za pracę społeczno-polityczną na rzecz szkoły, wreszcie za wyniki pracy wychowawczej. Świadomość stosowanych kryteriów ocen powoduje z pewnością, iż większość badanych koncentruje się na dydaktycznym aspekcie pełnionej roli, świadczy o tym zarówno analiza osiągnięć, jak i porażek w pracy, które w głównej mierze odnoszone są do pracy ściśle dydaktycznej. Za największe swoje osiągnięcia uznają nauczyciele głównie: zainteresowanie ucznia przedmiotem, wychowanie olimpijczyków, promocje uczniów do następnych klas i szkół wyższego typu. Za porażkę zaś uznawane są: brak promocji ucznia, duża ilość ocen niedostatecznych oraz brak zainteresowania przedmiotem. Tak więc w codziennej praktyce świadomość zadań dydaktycznych jest silniejsza niż zadań wychowawczych. Nie bez znaczenia jest z pewnością wymierny rezultat pracy dydaktycznej i brak takiej wymierności w odniesieniu do pracy wychowawczej.

Badania nasze wydają się potwierdzać ogólną tendencję przemian w roli społecznej współczesnego nauczyciela, której podstawowym elementem staje się przekazywanie wiedzy, a nie wychowanie. Niestety, i nic tu nie zmienia deklaracje nauczycieli, że czują się w równym stopniu wychowawcami i specjalistami przedmiotowymi.

CO TO ZNACZY BYĆ NAUCZYCIELEM?

Według badanych jest to przede wszystkim praca wymagająca stałej uwagi, bardzo odpowiedzialna, wymagająca stałego doskonalenia, trudna, nerwowa, umożliwiająca wykazanie się inicjatywą i pomysłowością, niemożliwą. Jak w związku z postępowaniem cechami pracy określa ją badani cechy idealnego nauczyciela? Przede wszystkim powinien to być człowiek spokojny, opanowany, zrównoważony, cierpliwy. Co trzeci z badanych nauczycieli podkreśla te cechy charakterologiczne, czyniąc je podstawą gwarantującą prawidłowy przebieg procesu dydaktyczno-wychowawczego. Po drugie — powinien to być fachowiec posiadający rzetelną wiedzę z dyscypliny, która jest przedmiotem nauczania, także dużą wiedzę ogólną oraz umiejętności jej przekazywania. Po trzecie — nauczyciel winien być sprawiedliwy, obiektywny i rzetelny w ocenianiu uczniów i siebie. Wśród dalszych cech predestynujących do zawodu znalazły się umiejętności nawiązywania kontaktów z młodzieżą, konsekwencja i stanowczość w postępowaniu, dobre zdrowie i kultura osobista.

W ostatnich latach, w okresie powszechnego wzrostu poziomu wykształcenia, demokratyzacji wzorów uczestnictwa w kulturze i pojawienia się konkurencyjnych wobec szkoły i nauczyciela autorzy tradycyjne wskaźniki dawniejszej szczególnej pozycji „nauczyciela” znacznie straciły na znaczeniu. Czy więc dziś nauczyciele postrzegają własną kategorię społeczno-zawodową, jako grupę społeczną o specyficznych cechach i interesach, różniącą od innych kategorii społeczno-zawodowych?

Okazało się, że zdecydowana większość badanych, bo aż 82 proc. uważa nauczycieli za specyficzną grupę zawodową, posiadającą własne problemy i różne od pozostałych pracowników umysłowych interesy. W przypadku tak licznej i zróżnicowanej grupy środowiska, jakim są dziś nauczyciele i podobieństwa ich statusu do innych inteligentów, uzyskany wynik wydaje się być bardzo wysokim wskaźnikiem identyfikacji zawodowej oraz poczucia odrębności grupowej.

Niestety, nie można jednak mieć pewności, czy wynik ten powinien cieszyć czy zasmucać wszystkich tych, którym dobro oświaty i środowiska nauczycielskiego są bliskie. To wysokie poczucie tożsamości jest bowiem — moim zdaniem — po prostu poczuciem niższości, o czym świadczy bardzo silne przekonanie o upośledzeniu społecznym i ekonomicznym środowiska. Jeśli hipoteza ta jest prawdziwa, to taki stan świadomości społecznej bardzo źle rokuję rozwojowi kadry i oświaty w ogóle.

W tej sytuacji szczególnie znaczenia nabiera problem wyrażania i reprezentacji interesów grupowych. W ankiecie pytaliśmy o to, czy nauczyciele mają organizację, która dobrze reprezentuje ich interesy wobec władz i społeczeństwa. Odpowiedzi twierdzące udzieliło jedynie 16 proc. respondentów i wszyscy oni wskazywali ZNP (do którego notabene należy 60 proc. badanych). Świadczy to o poczuciu bezradności w sytuacji ocenianej jako krzywdząca. Wskazuje również na niezwykle niską ocenę ZNP, jako rzecznika interesów środowiskowych.

Interesów tych nie zabezpiecza również według badanych Karta Nauczyciela. Jedynie 4,3 proc. respondentów uznało, że rozwiązania w karcie zdecydowanie poprawiają sytuację nauczyciela i wyraźnie określają jego prawa i obowiązki. Podobnie krytycznie oceniają badani stopień realizacji zapisów podstawodawcy. Tylko 4 proc. respondentów ocenia realizację karty jako pełną, ponad 3/4 jako częściową. Częściej niż co trzeci z badanych wskazuje na fakt, że realizacja podwyżek wynagrodzenia jest niezgodna z zapisem w Karcie Nauczyciela. Bowiem równanie plac nauczycielskich do poziomu średniej płacy kadry inżynieryjno-technicznej — z wyłączeniem zresztą plac kadry inżynieryjno-technicznej w górnictwie, hutnictwie, stoczniach — dokonywana jest z rocznym opóźnieniem, co przy 10-procentowej stopie inflacji zmniejsza realną wysokość podwyżek.

Trzeba jednak stwierdzić, że jakkolwiek badani nauczyciele formułują wiele uwag krytycznych pod adresem Karty Nauczyciela, przynajmniej równocześnie do słabej znajomości tego dokumentu. Co trzeci z nich stwierdził, że zna słabo postanowienia Karty Nauczyciela, bądź nie zna ich wcale, zaś blisko połowa określiła swoją wiedzę na ten temat jako fragmentaryczną.

Sytuacja szkolnictwa w Polsce według dość powszechnej opinii nosi znamiona kryzysu. Opinię tę wyraża się potwierdzać także nasze badania. Ponad 80 proc. ankietyowanych nauczycieli sądzi bowiem, że szkolnictwo w Polsce przeżywa kryzys. Najczęściej wskazywanym przejawem tego kryzysu jest zła baza materialna szkół. Następnie brak ogólnej koncepcji kształcenia, chaos programowy, obniżenie w/ników nauczania, spadek dyscypliny wśród uczniów, negatywna selekcja do zawodu nauczycielskiego.

Nauczyciele zwracają uwagę na powszechną dewaluację wykształcenia w społeczeństwie, co w sposób widoczny obniża prestiż zawodu nauczyciela, a także rodzi negatywny, bądź obojętny stosunek rodziców do szkoły.

Oskarżona wraz z Warskim i Waleckim o „oportunistyczne odchylenie” i usunięta z kierownictwa partii, 4 lipca 1924 r. pisała: „Tłumaczcie ludziom prosto i spokojnie, że każdy może się pomylić, ale że na szacunek zasługują tylko ci, którzy mają odwagę swoje zdanie wypowiedzieć”.

Po IV Konferencji KPP w grudniu 1925 r. Marię Koszuską ponownie dokoptowano do Komitetu Centralnego. W okresie sporów wewnątrzpartyjnych była przywódcą „większości”. Na tej podstawie uznano ją ideologiem „grupy pravicowej”. W czerwcu 1929 r. została zawieszona w funkcji członka Biura Politycznego i odsunięta od wpływu na partię, nad którą przejął kontrolę — popierany przez Międzynarodówkę — odłam „mniejszości” na czele z Julianem Leńskim. Była to klęska jej koncepcji programowych i wielka tragedia osobista, w dodatku zbiegła się z nasileniem przewlekłej choroby Basedowa.

W następnym czasie atmosferze dogmatyzmu i sekciarstwa przeżywała dramat izolacji i osamotnienia. Została opuszczona przez licznych dotąd znajomych i współtowarzyszy. Ostatnimi osobami z kraju, które ją odwiedziły, były Natalia Gąsiorowska i Stefania Sempolowska, przebywające w 1933 r. w Moskwie z okazji międzynarodowej Wystawy Pedagogicznej.

W lipcu 1935 r. na VII Kongresie Międzynarodówki poddana krytyce tendencje sekciarskie i wysunięto koncepcję frontu ludowego. Maria Koszulska z entuzjazmem odniosła się do tych decyzji. 3 lutego 1936 r. wystosowała do KC KPP list samokrytyczny, chociaż zwrot w Kominternie potwierdził jej poglądy. Ale samokrytyka nie tylko nie zmieniła nic w jej sytuacji, lecz w dodatku została potraktowana jako dowód, że nowa taktyka Międzynarodówki nie stanowi kontynuacji odrzuconej kiedyś polityki. Latem 1937 roku Marię Koszuską aresztowano, a w 1939 r. zakończyła życie.

PRZECIW DOGMATYZMOWI

Maria Koszulska podkreślała niedogmatyczny charakter teorii walki klas. Zwracała uwagę, że twórcy marksizmu wciąż śledzili oraz na bieżąco uogólniali wszelkie przesunięcia w układzie sił — nie tylko między klasami, lecz również ich odłamami i warstwami społecznymi. Taktyki walki politycznej nie wolno, jej zdaniem, opierać na zasadach oderwanych od rzeczywistości, lecz trzeba ją odpowiednio korygować do zmieniającej się sytuacji. Ludzie nie potrafiący elastycznie reagować mogą — jak pisała — „manewrować doskonale w dziecięcym pokoju na drewnianym koniu, ale nie na arenie dziejowej, nie na arenie rewolucji”.

W jednym z artykułów z 1927 r. przypomniała leninowskie rozróżnienie logiki formalnej, eklektyki i dialektyki. Pierwsza uniemożliwia dynamiczne i kompleksowe ujmowanie zjawisk. Eklektykę zaś cechuje podejście wieloaspektowe, lecz statyczne. Natomiast w sposób dialektyczny rzeczywistość trzeba wyjaśniać zgodnie z jej własnymi prawami: dynamicznie, w ruchu i rozwoju. Dialektykę przykładowo i skutecznie stosował w swych pracach i działalności Lenin, który dał — zdaniem Koszulskiej — „mistrzowskie wzory tego, jak należy w każdej epoce i w każdej fazie historii odnajdować to, co jest główną sprężyną rozwoju, co stoi w centrum zagadnień, i jak jednocześnie dyskutować i uwzględniać wszystkie te wielokierunkowe odchylenia, rozmaite formy ruchu oraz kontrtendencje, poprzez które toruje sobie drogę tendencja główna, decydująca”.

Koszulska zdecydowanie odrzucała dychotomiczną wizję struktury klasowej społeczeństwa kapitalistycznego i protestowała przeciw niedocenianiu roli warstw drobnomieszczańskich. Schemat dwuczłonowy jest według niej nieadekwatny i sprzyja fałszywym konkluzjom politycznym. Warstwy pośrednie nie stanowią wprawdzie jednolitej klasy i nie mają takiego znaczenia jak burżuazja i proletariat, ale nie należy ich utożsamiać z którąkolwiek z klas biegunowych. Na obecnym etapie rozwoju społecznej klasą panującą może być ostatecznie tylko burżuazja lub proletariat, co nie znaczy, że drobnomieszczaństwo jest jedynie biernym przedmiotem dziejów. Klasa ta ma specyficzną ideologię, którą usiłuje realizować w roli pośrednika w okresach równowagi między klasami podstawowymi.

Oceniając dyskusję w Niemczech nad kwestią koncentracji w rolnictwie i wyższości jednych form nad drugimi stwierdziła, że nadmiernie sprzeczano się tam o fakty, które były zupełnie oczywiste, a za mało mówiono o wnioskach. Marksisci nie mogą polemizować z faktami. Nie wolno im przyjmować pragnień za rzeczywistość. Jeśli w rolnictwie nie nastąpił oczekiwany szybki proces koncentracji, a drobne gospodarstwa okazały się dalej żywotne, to trzeba uznać ten fakt i wyciągnąć odpowiednie wnioski taktyczno-polityczne. Zmiany rzeczywistości narzucają konieczność rozwoju teorii i taktyki działania. Niebezpieczne jest dogmatycznie przyjmowanie jakichś rozwiązań i traktowanie każdego odstępstwa za przejaw oportunistyzmu.

OCENA PERSPEKTYW REWOLUCJI

W przemówieniu na IV Konferencji KPP wskazała najważniejsze sprzeczności występujące w ówczesnym świecie kapitalistycznym: 1. nie rozwiązana kwestia narodowościowa, 2. ciężkie położenie mieszczaństwa, 3. bezrobocie wśród klasy robotniczej, 4. kryzys systemu parlamentarnego, 5. istnienie Rosji Radzieckiej. Uważała ona, że wymienione czynniki zaostrzają kryzys systemu kapitalistycznego, a w niektórych państwach stwarzają groźbę faszyzmu.

Maria Koszulska już w 1925 roku (osiem lat przed dojściem Hitlera do władzy) pisała: „To bankructwo parlamentaryzmu i przetrwanie się od pracujących do centrowych rządów wiąże się z niebezpieczeństwem faszyzmu, które jest cechą charakterystyczną danego okresu. Tam gdzie ruina drobnomieszczaństwa staje się bardziej jaskrawa, powstaje podłoże dla faszyzmu. Trudności wybrnięcia z kryzysu i stworzenia rządu stwarzają tendencję do dyktatury”. System faszyzmu traktowała jako — urzeczywistnioną przez drobnomieszczaństwo — nową formę panowania klasowego burżuazji.

Kwestii drobnomieszczaństwa poświęcała wiele miejsca w swoich artykułach i przemówieniach. W skład owej kategorii zaliczała drobnych wytwórców i pośredników w mieście, chłopów oraz wolne zawody intelektualne. Podkreślała przy tym, że ideologia drobnomieszczańska obejmuje swym zasięgiem także pewne warstwy najemnych pracowników umysłowych i klasy robotniczej. Główną osobliwością psychologii, ideologii i dążeń politycznych drobnomieszczaństwa jest pośredni charakter — przejściowy między proletariatem a burżuazją. Ludzie o tego typu poglądach odgrywają w dziejach rolę wstępną, gdyż opóźniają nadejście panowania klasowego robotników.

Maria Koszulska twierdziła, że nie da się dokładnie ustalić terminu rewolucji, ponieważ przewidywać można jedynie kierunek, a nie tempo rozwoju społecznego. Przy rozpatrywaniu perspektyw rewolucji najważniejsze są warunki ekonomiczne, natomiast nastroje mas są czynnikiem wtórnym. Na podstawie dotychczasowej bierności chłopów polskiego nie należy — jej zdaniem — wyciągać wniosku, że nie poprzez on rewolucji. Tak samo nie można głosić, iż robotnicy niemieccy nie dokonają przewrotu, bo są zbyt systematyczni i flegmatyczni. Jeśli zaistnieją obiektywne, społeczno-ekonomiczne przesłanki, to pojawi się również odpowiednia psychologia mas.

W ślad za Engelsem zwracała uwagę, iż rewolucja socjalistyczna nie będzie aktem jednorazowym, lecz długotrwałym procesem historycznym oznaczającym się większym przyspieszeniem rozwoju społecznego. Przypomniała ponadto, że tak Marks jak i Engels spodziewali się, że rewolucję proletariacką poprzedzi walka o władzę ze strony drobnomieszczaństwa, a panowanie klasowe proletariatu nastąpi dopiero po rządach partii drobnomieszczańskich.

Zdaniem Marii Koszulskiej do czasu zdobycia władzy państwowej klasa robotnicza nie powinna rezygnować z walki o reformy

ustroju kapitalistycznego. A krytyka reformizmu w ruchu robotniczym nie może powodować odrzucania starań o poprawę położenia robotników. Marksisci tym, według niej, różnią się od reformistów, że nie traktują reform jako celu samego w sobie, lecz jako punkt wyjścia do dalszej walki.

Koszulska pesymistycznie była nastawiona do szans rewolucji socjalistycznej na zachodzie Europy w jednym odosobnionym kraju. Sądziła, że państwa kapitalistyczne w tym rejonie są tak ściśle powiązane z sobą, iż „żaden bardziej zasadniczy przewrót ekonomiczno-społeczny nie może odbyć się i utrzymać w jednym tylko kraju”. Państwa te w zasadzie razem przeszły do

Nauki mądrej Marii

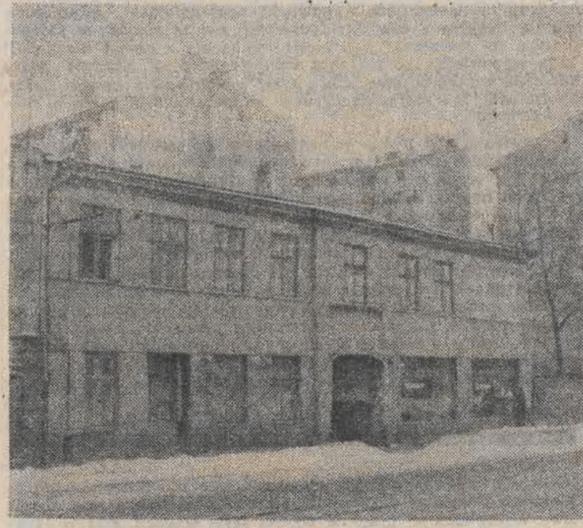
kapitalizmu, chociaż w różnym tempie, i analogicznie będzie z urzeczywistnieniem socjalizmu. Czynnikiem utrudniającym proletariatu dojście do władzy jest silnie rozbudowany aparat państwowo-organizacyjny. Za to jednak stanie się on przydatny po zwycięstwie rewolucji, i wówczas odegra rolę pozytywną.

CZY REWOLUCJA W ROSJI BYŁA PRZEDWCZESNA?

Jak wiadomo, wielu wybitnych nawet teoretyków — nie tylko wśród komunistów polskich — uważało Rewolucję Październikową za sprawę co najmniej kiopolitwą dla ruchu robotniczego. Maria Koszulska zaś zajęła stanowisko następujące: można nie zgadzać się z niektórymi posunięciami bolszewików, lecz trzeba poprzeć utworzony przez nich rząd robotniczy. Pisała, że wprawdzie zupełnie inaczej wyobrażano sobie porządek porowolucyjny niż ma to miejsce w Rosji, ale wszelka krytyka bolszewików musi uwzględniać niezwykle ciężkie warunki, w jakich zdobyli władzę. Na podstawie doświadczeń rosyjskich należy wyciągnąć wnioski dla następnych rewolucji, aby uniknąć błędów, które tam popełniono.

Za najwyżej uważała pogląd, iż rewolucja w Rosji była przedwcześnie. Komunisty nie mogą oczekiwać, że jakiś ślepy los wyniesie ich do władzy w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Bolszewicy sięgnęli po władzę w sytuacji kryzysu polityki klas panujących i postąpili słusznie. Gdyby się zawałił lub zrezygnowali, to podobna okazja mogłaby nieprędko się powtórzyć. Marksisci mogą mieć zastrzeżenia do sposobu zdobycia władzy przez bolszewików, lecz nie mogą dyskutować celowości przejęcia władzy. W krajach o dużej liczbie drobnomieszczaństwa — przeżyjących kryzys i stan równowagi między klasami biegunowymi — nieprzejście władzy przez klasę robotniczą prowadzi do ustanowienia dyktatury faszyzowskiej.

W dyskusji nad sprawozdaniem KC na IV Zjazd KPP postawiła zarzut Julianowi Brunowi, że trzymając się schematycznego poglądu z okresu II Międzynarodówki, iż rewolucja socjalistyczna wymaga zaniku drobnomieszczaństwa, nie może zrozumieć faktu, że Rewolucja Październikowa to nie „omyłka historii”, lecz „proletariacka rewolucja socjalistyczna”. W opracowanych



Dom przy ulicy Tuwima 41, w którym mieszkała Maria Koszulska
Foto: Grzegorz Galasiński

głównie przez nią „Tezach agrarnych” na III Konferencji KPPP stwierdzała, że Rewolucja Październikowa to „pionier rewolucji światowej”. Wydarzenia w Rosji pokazały, jej zdaniem, że burżuazja nie rezygnuje łatwo z panowania i dlatego zdobycie władzy rozpoczyna długą, trudną walkę o utrzymanie rządów, w której nie da się uniknąć stosowania przemocy wobec sił wrogich.

Duże kontrowersje wśród działaczy KPP wzbudziła zapoczątkowana przez X Zjazd RKP(b) nowa polityka ekonomiczna (NEP), oznaczająca poważny rozwój form towarowo-pieniężnych w całym układzie społeczno-gospodarczym, a przede wszystkim między miastem a wsią. Polemizując z Władysławem Kowalskim, Koszulska argumentowała, że w takim kraju jak Rosja NEP jest koniecznością i w mniejszej lub większej skali wystąpi również w innych krajach. Polityka ta nie oznacza bynajmniej likwidacji rządów klasy robotniczej. Rosja jest na zbyt niskim poziomie rozwoju ekonomicznego, aby państwo mogło objąć kontrolą całą gospodarkę i kierować nią. Z tego samego powodu niemożliwe jest uspołecznienie wszystkich środków produkcji.

Później doszła do wniosku, że nowa polityka ekonomiczna przyjęła inny kształt, aniżeli oczekiwał Lenin. Kapitał prywatny, zamiast stać się czynnikiem stymulującym rozwój sektora socjalistycznego i sprawdzającym jego efektywność, skupił się w sferze pośrednictwa i nabrał charakteru pasożytniczego. Niepokoiło Koszuską, że nie opracowano jasnej koncepcji dalszego funkcjonowania tego kapitału. Ponadto wskazywała, iż wbrew życzeniom Lenina w nadmiernym stopniu eksploatuje się chłopów i poprzez bardzo wysokie ceny ogranicza rynek wiejski.

STOSUNEK DO LWA TROCKIEGO

Maria Koszulska wysoko oceniała pozycję i rolę Lwa Trockiego w porowolucyjnej Rosji. Dlatego przeżywała bardzo konflikt, jaki zaistniał między nim a kierownictwem partii z Józefem Stalinem. Przewidywała, że ze względu na tradycje i warunki rosyjskie pojawił się tam po śmierci Lenina potrzeba objęcia przywództwa przez kogoś cieszącego się dużym autorytetem i popularnością wśród szerokich mas. Wydawało jej się, że choć Trocki nie jest osobowością na miarę Lenina, to tylko on mógłby ewentualnie zająć jego miejsce.

Nie podzielała wielu poglądów Trockiego i przyznawała, że popełnił poważne błędy. Przede wszystkim zarzucała mu nieprzeżeganie dyscypliny partyjnej. Równocześnie jednak zwracała uwagę, że niektóre problemy przez niego postawione wymagają przedyskutowania i rozwiązania. Za szczególnie doniosłą uważała sprawę odmładzania i uzupełniania kadr kierowniczych oraz zespolenia aparatu z masami członkowskimi. Należy docenić niebezpieczeństwo „oderwania się starych kadr od partii. Ale nie znaczy to, że można wpaść w skrajność całkowitego potępienia kadr partyjnych.”

Sprzeciw jej budziły metody walki z Trockim. Nie dostrzegając w tej walce zwykłej wymiany poglądów, dyskusji wewnątrzpartyjnej, lecz animozje personalne. Podejrzewała, że z Trockim wcale nie chciano się porozumieć i wręcz zepchnięto go na pozycje wroga partii. Należało zaś go nie odpychać, lecz przyciągnąć ze względu na „wielką popularność” oraz „cenny kapitał talentów”.

Poglądami tymi naraziła się Stalnowi, który oskarżył KPPP o wspieranie opozycji i przekształcenie się w polską filię trockizmu. Warto tu przypomnieć, że również Lenin cenił bardzo zdolności Trockiego. W słynnym „Testamencie” pisał o nim, iż jest „bodaj że najzdolniejszym człowiekiem w obecnym KC”, ale z drugiej strony wytykał mu zbyt dużą pewność siebie i skłonności do administrowania. Nie uważał Trockiego za człowieka w pełni godnego zaufania. Mówił o nim: „A mimo wszystko nie jest to nasz człowiek! Niby jest z nami — a przecież nie nasz. Ambitny narzbyt. I jest w nim coś takiego... niedobrego — coś z Lassalle’a...”.

Z listu Koszulskiej do KC KPP z marca 1923 r. wynika, że niejasna była dla niej intencja, którą kierował się Lenin zgłaszając propozycję połączenia Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej i Centralnej Komisji Kontroli RKP(b), a więc instytucji państwowej z partyjną. Zdradzając swoje wątpliwości w tej kwestii, i donosząc o pewnym zakłopotaniu wśród aktywów w Moskwie, wyraziła interesujące przypuszczenie, że być może Lenin pragnie zapobiec w ten sposób powstawaniu spośród aparatu „burżuazji radzieckiej”.

W połowie lat dwudziestych przewidywała, że wśród państw kapitalistycznych wystąpi tendencja do podporządkowywania sobie jednych przez drugie. Przewidywała, że kraje te przygotowują się do wojny, a głównym przedmiotem ataków będzie Związek Radziecki. W związku z tym postulowała przygotowania szerokich mas do walki przeciwko wojnie z ZSRR.

JAK URZECZYWIŚNIAĆ SOCJALIZM?

Maria Koszulska była zdania, że droga do socjalizmu jest długa i trudna. Podkreślała, że zastępowanie produkcji indywidualnej przez zbiorową musi odbywać się w wyniku „naturalnego ekonomicznego procesu”, który tylko w ograniczonym stopniu pozwala się regulować przez przymus władzy państwowej. A w sferze świadomości społecznej podstawy kapitalizmu znikną dopiero wówczas, gdy wyraźne i jasne dla wszystkich staną się korzyści gospodarki kolektywnej. Czas trwania okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu zależy od zastanego poziomu sił wytwórczych i możliwości uspołecznienia środków produkcji. Analizując z tego punktu widzenia sytuację w Związku Radzieckim, w lipcu 1927 r. mówiła: „Póki 85 proc. ludności prowadzi gospodarke prywatną, to do socjalizmu jest bardzo daleko”.

Ostateczne zwycięstwo nowego ustroju uzależniła od tego, czy wykaże się wyższa niż kapitalizm wydajnością pracy i lepiej będzie sprzyjać rozwojowi sił wytwórczych. Ponadto twierdziła, iż całkowite i ostateczne urzeczywistnienie socjalizmu wymaga rozwiązania dwóch bardzo ważnych i trudnych problemów: kwestii narodowej i kwestii agrarnej. Pierwsza musi być rozstrzygnięta — według niej — w sposób klasowy: trzeba walczyć o niepodległość i niezależność narodową, ale równocześnie szanować prawa innych narodów do samostanowienia i być internacjonalistą. W referacie wygłoszonym na krajowej konferencji PPS-Lewicy, w styczniu 1916 r., mówiła: „Walka z uciśnieniem narodowym, walka o samostanowienie i wolność narodową to jeden z zasadniczych postulatów socjalizmu i żaden socjalista zrzekać się jej nie ma prawa, i nie ma też racji ulegać dawać pospolitym wśród różnych neofitów socjalizmu obawom, że taka walka musi spowodować zawsze na błędne tory nacjonalizmu. Przeciwnie, jest ona najlepszą bronią przeciwko nacjonalizmowi. Ale pod jednym warunkiem: że walka ta będzie miała charakter ściśle klasowy”.

Niestety Koszulska, podobnie jak w zasadzie cała PPS-Lewica, nie wysuwała jednoznacznie hasła niepodległości Polski, gdyż traktowała je jako nierealistyczne. Stosunek do narodu i państwa polskiego był później najsłabszym elementem polityki KPP. Za tenosią jakiś wpływ na to miał skład członkowski partii. Na terenach etnicznie polskich udział Żydów wynosił 22—26 proc., a wśród warszawskich członków KPP aż 65 procent.

Maria Koszulska nie zajmowała się szerzej kwestią narodową, chociaż doceniała jej wagę i złożoność (w rodzinie miała silne tradycje narodowowyzwoleńcze). Bardziej interesowały ją sprawy agrarne, na których lepiej się znała. W tej dziedzinie ruch komunistyczny przywiązywał duże znaczenie do uspołecznienia ziemi. Ale sam Marks — indagowany przez Wierę Zasulic — zajął stanowisko następujące: do kolektywizacji wsi i rolnictwa „potrzeba dwóch rzeczy: ekonomicznej potrzeby takiego przekształcenia i materialnych warunków do jego realizacji”. Inny słowy: własność prywatną można znieść pod warunkiem, że straciła już swe uzasadnienie ekonomiczne, a uspołecznienie ziemi przynosi wyższą wydajność pracy.

Bolszewicki „Dekret o ziemi” wzbudził konsternację w samej partii i w międzynarodowym ruchu socjalistycznym. Był on sprzeczny z dotychczasowymi hasłami socjaldemokracji rosyjskiej. Polityka rolno-bolszewików spotkała się też z krytyką wielu działaczy KPPP. Natomiast Koszulska poparła decyzje kierownictwa bolszewickiego. W krajach o takiej strukturze społecznej lub podobnej jak w Rosji nie można — jej zdaniem — zbudować socjalizmu bez rozdzielania ziemi między chłopów oraz robotników rolnych, bez utworzenia sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Studia nad tym zagadnieniem doprowadziły ją do następujących wniosków: po pierwsze — doświadczenia rosyjskie rozwiązały dawne złączenia o możliwości uspołecznienia całego rolnictwa zaraz po rewolucyjnym zdobyciu władzy; po drugie — rozdzielanie ziemi wśród chłopów nie jest sprzeczne z marksizmem, gdyż stanowi obiektywną konieczność; po trzecie — w interesie ludownictwa socjalistycznego jest, aby chłop był podmiotem, a nie jedynie przedmiotem tego procesu. Wydarzenia w Rosji pokazały, że kolektywizacja wsi jest nie tylko niemożliwa organizacyjnie, lecz w dodatku nieuzasadniona ekonomicznie.

Broniąc idei podziału ziemi na III konferencji KPPP stwierdziła, że marksisci przede wszystkim muszą zrozumieć, iż wszelkie idee dają się realizować tylko o tyle, o ile pozwalają warunki materialne. Bolszewicy uczynili w gruncie rzeczy to, co zmuszeni byli zrobić. Twierdzenie, iż dali chłopom ziemię nie jest całkiem prawdziwe, ponieważ w istocie chłop — sam i z siebie — wzięli. Bolszewicy zaś słusznie postąpili nie przeciwstawiając się ruchowi chłopowskiemu, lecz solidaryzując z nim. Chłopi rosyjscy będą przez to pamiętać, kto dał im ziemię, jak niegdyś pamiętali, że car wyzwoił ich z zależności dworskiej. Sojusz robotniczo-chłopski sprawdził się już w obliczu kontrrewolucji; chłopowie bowiem liczebnie zasilili armię rewolucyjną. Według Marii Koszulskiej doświadczenia rosyjskie mają znaczenie dla przyszłych rewolucji w innych krajach, gdyż wszędzie na wsi dominuje gospodarka chłopska. Z chłopem — pisała — „każdy rząd rewolucyjny musi dojść do porozumienia — pod groźbą klęski i upadku”.

C.D.N.

EDMUND LEWANDOWSKI

Obywatel zapytany o instytucje dokonujące w Polsce kontroli, wymieni przede wszystkim Najwyższą Izbę Kontroli, Państwową Inspekcję Handlową, może jeszcze Państwową Inspekcję Pracy i na dokładkę komórki branżowej kontroli wewnętrznej. A przecież Instancją mającą prawo wglądu w działalność przedsiębiorstw, spółdzielni, urzędów, związków, zrzeszeń, federacji, towarzystw itd. itp. jest wiele. Część zajmuje się wyłącznie szeroko pojętą kontrolą (jak choćby wymienione na wstępie instytucje), inne dokonują czynności kontrolno-zapobiegawczych niejako obok swoich podstawowych funkcji (np. milicja, prokuratura, banki i inne). Dlatego nie należy się dziwić, że ktoś nie słyszał o Inspekcji Nasiennej, Głównym Inspektoracie Standaryzacji czy Głównym Inspektoracie Wagonów. Natomiast każdy wie, że została powołana nowa instytucja o szerokiej uprawnień zwana popularnie IRCh. Chodzi o Inspekcję Robotniczo-Chłopską.

TRUDNE NARODZINY

W październiku 1983 r. na XIII Plenum KC PZPR padła propozycja, by powołać komórkę kontrolną, która przyczyniłaby się do eliminowania z naszego życia tego wszystkiego, co narusza socjalistyczne zasady sprawiedliwości społecznej. Padło wówczas określenie „system kontroli robotniczo-chłopskiej”. Na XVI Plenum KC PZPR, które odbyło się w czerwcu 1984 r. i było poświęcone „sprawie umacniania przodującej roli klasy robotniczej w budowie socjalizmu w Polsce” sprawa powołania nowego organu kontrolnego powróciła ponownie. Cztery miesiące później, na kolejnym XVII Plenum podjęto specjalną uchwałę dotyczącą działań partyjnych na rzecz zwiększenia skuteczności kontroli. Jednocześnie Biuro Polityczne KC PZPR zwróciło się do wszystkich obywateli z prośbą o poparcie w działaniu partii zmierzającej do jak najszybszego wzmocnienia systemu nadzoru i kontroli, do podnoszenia efektywności gospodarowania, umacniania porządku prawnego, co w konsekwencji przyczyni się do poprawy warunków życia narodu.

22 grudnia 1984 r. odbyło się kolejne, XVIII Plenum KC PZPR, na którym narodziny Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej stały się faktem, choć na uznanie nowo narodzonej trzeba było czekać do 24 maja 1985 r., kiedy to w „Monitorze Polskim” nr 10 ukazał się akt prawny w tej sprawie zatwierdzony przez Radę Państwa i Radę Ministrów. Tak więc inicjatywie partyjnej nadany został formalno-prawny kształt, „a jednocześnie umiejscowiona została w instytucjonalnym układzie organów państwowych i ich funkcji wypełnianych w systemie socjalistycznego ludowładztwa”.

W Łodzi bardzo szybko powołano pierwsze grupy IRCh. Na jednej z sesji (1985.06.03) Rady Narodowej m. Łodzi powstało 9 grup kontrolnych obejmujących 275 kontrolerów społecznych. Do końca roku ilość ich wzrosła do 559 osób. Ciekawie przedstawia się przekrój społeczny: robotnicy stanowią 53,8 proc., rolnicy 8,8 proc. Pozostali to pracownicy umysłowi, rzemieślnicy, emeryci i renciści. Najliczniejszą grupę stanowią ludzie w wieku od 41 do 60 lat (53,5 proc.), najmniejszą zaś osoby, które nie ukończyły 29 roku życia. Jest ich zaledwie 7 proc. Wśród powołanych 559 kontrolerów społecznych są członkowie PZPR, ZSL, SD, ZSMP oraz bezpartyjni.

GWALTOWNE DOJRZEWANIE

IRCh niezwykle intensywnie rozpoczęła swoją działalność, choć każda czynność była pionierska i wymagała odrębnego podejścia. Jednakże w ciągu półrocznego „życia”, to jest od czerwca do grudnia 1985 roku zdążyła objąć kontrolą 164 zakłady pracy i instytucje. Gwoli ścisłości trzeba odnotować fakt, iż w tych kontrolach brało udział zaledwie 276 kontrolerów społecznych, bowiem na ogólną liczbę 559 aż 287 zostało powołanych na ostatniej ubiegłorocznej sesji Rady Narodowej m. Łodzi, która odbyła się w przeddzień balu sylwestrowego, tj. 30 grudnia. Co kontrolowano? W delegaturze NIK, jaką stanowi Wojewódzki Oddział do Spraw Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej w Łodzi zanotowano, że „podjęto 29 tematów”. A więc gospodarka mieszkaniowa, warunki pracy, funkcjonowanie otwartych placówek służby zdrowia, handlu spożywczego i prywatnego, prawidłowego funkcjonowania terenowych organów administracji państwowej, realizacji bieżących re-

montów szkół i przedszkoli, a także stanu zabezpieczenia sprzętu rolnego na okres zblizającej się zimy. Ponadto w samym tylko grudniu dokonano kontroli sprawdzającej w 10 zakładach przemysłu lekkiego Łodzi (pierwszy sprawdzian odbył się jeszcze w czerwcu, zaraz po powołaniu do życia Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej).

Co wynikało z kontroli? Ogólne wrażenie jest najlepsze. Często inspektorzy natrafiali na sprawy poważne, wymagające decyzji administracyjnych, ale były też uchybienia wynikające ze zwykłego lenistwa, lekceważenia obowiązków, za które bierze się wynagrodzenie, tumizmu, marazmu prowadzącego do niechlujstwa.

„Nie ma potrzeby przypominać, jak drażliwą sprawą są przydziały mieszkań i to zarówno te będące w dyspozycji terenowych organów administracji państwowej jak i te spółdzielcze. Po ostatnich aferach mieszkaniowych, które szeroko komentowały środki masowego przekazu wydawać by się mogło, że tego rodzaju nieprawi-

wiejszy niż był poprzednio. I tak: w węzle cieplnym i w pomieszczeniu zmiekczeni brakuje oznaczeń dopuszczalnych ciśnień na manometrach, schemat połączeń układów energetycznych jest nieaktualny, brakuje oznakowań zaworów, brakuje osłon sprzęgła na silnikach, zły stan instalacji elektrycznej zasilającej pompy zimnej wody a także skorodowana i nie zamocowana instalacja wodna. Niesprawną pompą awaryjnego zasilania w wodę dla celów przeciwpożarowych. W oczyszczalni ścieków nie ma zabezpieczeń i w każdej może zdarzyć się nieszczęście, gdyż można wpaść do zbiornika. W tym samym czasie, kiedy przebywali inspektorzy IRCh, pracowała tam ekipa działu głównego mechanika przy cięciu i transporcie tafli szklanych. Ludzie ci pracowali bez specjalnego sprzętu pomocniczego i bez ochrony osobistych. Inspektorzy musieli wstrzymać prace z uwagi na możliwość wypadku.

Podczas kontroli węzła cieplnego stwierdzono, że pracownicy Łódzkiego Zakładów Remontowo-Montażowych Przemysłu Lekkiego wyko-

kompetentni, o wszystkim decyduje pan kierownik. Ot, normalna, jak to w Polsce. Co było robić? Wracać do Łodzi? Jechać do SKR? Inspektorzy postanowili jednak obejrzeć gospodarstwo. Poprosił więc do towarzystwa będących akurat na placu traktorzystów, którzy czniechętnie, ale z braku zajęcia zaczęli udzielać potrzebnych wyjaśnień, choć spoglądając na plac, gdzie zgromadzono sprzęt, wszelkie wyjaśnienia były zbędne.

Co zapisali w swoich protokołach inspektorzy? Dużo, tak dużo, że aż trudno uwierzyć. Oto kupa części od silosokombajnu KS leży wprost na ziemi. Leży dość długo, gdyż trawa już porośla wysoko i mało już co widać; obok stoją wózki od heterów, także opanowane przez trawę i ktoś litościwy — po co ma się marnować — zdążył zdjąć z nich ogumienie; latem do bielecia obór był używany obielacz, teraz wypchnięto go na podwórze, pod gołe niebo, na deszcz i śnieg. Wraz z nim sześć worków wapna, które uległy zbrzydzeniu i zepsuciu. Pod płotem znalazłono tzw. adapter do rozrzutnika nawozów zabrudzony do granic możliwości, a w ogóle cały sprzęt chyba nigdy tu nie był podany konserwacji.

Największe jednak wrażenie na inspektorach zrobiły przyczepy, koparki, kosiarki, prasa do słomy, kombajny, rozrzutniki obornika, aparaty wiążące w snopowiązałkach, rozsiewacze wapna, z których nawet nie usunięto pozostałości wapna — wszystko to stało bez należytego zabezpieczenia, bez konserwacji. Jedynie ciągniki ustawiono pod wiatą, ale zdążyło je częściowo już zdemontować. Za to obok sterta butelek, jakieś paski klinowe, łańcuchy podajnikowe itp.

A kiedy inspektorzy — co świadczy o ich nieprzeciętnej odwadze — weszli do szatni pracowniczej, ujrżeli przysłowiowy obraz niedzi i rozpacz. Czego tam nie było! Własciwi to nie było niczego: zdezastrowane punkty oświetleniowe, pourywane wraz z kawałkami desek zamknięcia szafek, walające się przedmioty, papiery, niedopałki. Wszędzie brud, cuchnący odor. Czy było tu kiedyś sprzątanie? O tym nie pamiętali nawet najstarsi pracownicy. W jednej z szafek znalazłono nowiutką dentkę od traktora, która powinna znajdować się przecież w magazynie.

KONTROLE TRWAJĄ NADAL

Nie o wszystkich poczynaniach łódzkiej IRCh uda mi się napisać. Wspomnę jedynie o inspekcji dokonanej w otwartych placówkach służby zdrowia. Wydawać by się mogło, iż gdzie jak gdzie, ale w przychodniach lekarskich powinna panować laboratoryjna czystość. Niestety, tak nie jest, co nas jako pacjentów in spe smuci i podważa nasze zaufanie do ludzi w białym. Nie będę wymieniał owych brudarów gdyż wierzę, że Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu m. Łodzi wyciągnął właściwe wnioski i zastosował surowe sankcje w stosunku do osób winnych tego zaniedbania.

Pod lupą znalazł się także handel uspołeczniony i prywatny. W większości szwankowały urządzenia chłodnicze, personel przetrzymywał towary zepsute (sery, mięso, owoce cytrusowe), natrafiono na towary ukryte przed klientami na zapleczu, czasem stwierdzano pobieranie cen wyższych niż ustalone. Natomiast w prywatnych placówkach handlowych co rusz napotymano na nieprawidłowości w prowadzeniu dokumentacji obrotów i dochodów oraz ukrywanie faktycznego stanu zatrudnienia.

Te kontrole były potrzebne i należy mieć nadzieję, że będą powtarzane, by nie było wspomnianych niedociągnięć i by nie pieniała się sprzedaż atrakcyjnych towarów wprost z magazynów.

Gwoli sprawiedliwej informacji trzeba koniecznie wspomnieć, iż pracownicy IRCh otrzymują znaczne wsparcie ze strony służb kontrolnych Urzędu m. Łodzi, Prokuratury Wojewódzkiej, Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, Okręgowych Inspektoratów PIH i PIP, Izby Skarbowej, Wojewódzkiej Komendy Straży Pożarnej, a także innych jednostek upoważnionych do dokonywania czynności kontrolnych i lustracyjnych.

Inspekcja Robotniczo-Chłopska ma zaledwie pół roku pracy za sobą, ale jej działania spotykają się z uznaniem i aprobatą społeczną. Wszakże nie wróże jej inspektorom ani łatwego, ani lekkiego życia; podjęli się pracy, której „przerobić” się nie da.

Kontrole trwają nadal. Dla wspólnego dobra.

EUGENIUSZ IWANICKI

Przyszli kontrolerzy i znaleźli...

dłowości znikną z naszego życia na zawsze. Nie będę pisać szczegółowo na ten temat, zaznaczę jedynie, że na zbadanych 908 spraw do 45 inspektorzy IRCh mieli zastrzeżenia co do ich zasadności i udokumentowania.

Jednakże nie od rzeczy będzie zasygnalizować bodaj niektóre „przewinienia” decydentów mieszkaniowych. A więc częste braki w dokumentacji, błędy na listach przydziałowych, niedostateczne udokumentowanie podjętych decyzji, odstępowania od obowiązujących regulaminów przydziału mieszkań w spółdzielniach. Inspektorzy poddali także w wątpliwość istniejący system przydziału mieszkań dla tzw. „innych dysponentów”, a w tym dla pracowników przedsiębiorstw budowlanych. W przypadkach, kiedy stwierdzono niedostateczne udokumentowane fakty posiadania podwójnych mieszkań, sprawa od razu trafiała do prokuratora.

Wspomniałem o kontroli zakładów przemysłowych. Było ich razem 33: w Łodzi, gminie Zgierz, w mieście i gminie Stryków. Ogólny wniosek: zły częstokroć stan obiektów i maszyn oraz nagminne naruszanie przepisów i zasad bezpieczeństwa i higieny pracy. Tu prym wiodą takie nieprawidłowości jak wady w oświetleniu, niesprawność urządzeń sanitarnych, że zabezpieczenie — lub go wcale nie ma — przewodów elektrycznych, pozostawianie na szalach materiałów łatwopalnych, brud, nieporządek, marnotrawstwo, lekceważenie obowiązków służbowych.

Z tych 33 zakładów, które były kontrolowane jeszcze w czerwcu 1985 r. w 10 dokonano rekontroli. I co się okazało? W niektórych usterek usunięto, w innych pół na pół, a w niektórych ich jeszcze przybyło.

Otóż w owoch 10 zakładach (Łódzka Fabryka Koronek „Fako”, Zakład Uszczelnień i Wyrobów Azbestowych „Polonit”, Przedzalnica Czesankowa „Polmerino”, Przedzalnica Czesankowa „Vigoprim”, Przedzalnica Czesankowa „Polanil”, ZPP „Lenora”, ZPDz „Bistona”, Zakład Wyrobów Obiciowych „Vera”, ZPW im. Andrzeja Struga oraz Widzewskie ZPB „I Maja”) stwierdzono w sumie 104 uchybienia i nieprawidłowości; wydano odpowiednie zarządzenia nakładające na zakład obowiązek usunięcia wszystkich, co przeszkadza i hamuje pracę, a przede wszystkim przynosi szkody. A jak to wyglądało w praktyce postąpił się przykładem Łódzkiej Fabryki Koronek „Fako”. Otóż dokonując pierwszej kontroli stwierdzono kilka drobnych usterek natury porządkowej i źle składane opakowania pod wiatą. Po pół roku, kiedy inspektorzy zajrzeli ponownie do „Fako” przekonali się, że ich zalecenia zostały co prawda wykonane, ale bałagan jest jeszcze

nujący prace spawalnicze posługiwali się niesprawnym sprzętem (uszkodzone węże gazowe, uszkodzony palnik, nie oznaczone manometry na reduktorze butli gazowych, zniszczony uchwyt elektrod). Spawali bez właściwego zabezpieczenia osobistego (np. pomocnik spawacza nie używał ochron na oczy). W tej sytuacji trzeba było wstrzymać prace, o czym natychmiast powiadomiono dyrektora wspomnianych ŁZRM PL, a w stosunku do brygadzysty nadzorującego pracę wszczęto postępowanie karno-administracyjne.

To tylko jeden z przykładów, a przecież niemal w każdym zakładzie, przedsiębiorstwie czy instytucji są dziesiątki przykładów lekceważenia zarówno przepisów, jak i obowiązków.

TROCHĘ O SŁUŻBACH ROLNYCH

Kiedy IRCh właściwie na dobre rozpoczęła swoją działalność w większości przedsiębiorstw obsługujących rolnictwo podsumowywano aktywa i pasywa. Maszyny i urządzenia zjeżdżały z pół, by reszta roku — do wiosny — przezimować w macierzystych bazach czyli w Spółdzielniach Kółek Rolniczych i Rolniczych Spółdzielniach Produkcyjnych. Nie ma potrzeby przypominać, że wymienione spółdzielnie dysponują cennym i kosztownym sprzętem, że ów sprzęt jest dostojnie na wagę chleba, bo jego braki w naszym rolnictwie są odczuwalne ciągle i dotkliwie. Logika wskazuje, iż tylko z tego powodu winien on być otoczony troskliwą opieką i poszanowaniem. Jednakże z drugiej strony, wieloletnie doświadczenie uczy, że troska o dobro społeczne w naszym kraju nie znajduje uznania i często wielomilionowe urządzenia, deficytowe maszyny rolnicze po prostu rdzewieją na polach i podwórzach. Dlatego też działania łódzkiej IRCh było podyktowane troską o stan owych cennych agregatów i sprzętu.

Na początku grudnia 1985 r. do trzech Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych i czterech filii Spółdzielni Kółek Rolniczych w Pabianicach udali się inspektorzy. Dziś protokoły z tych kontroli są swoistym dokumentem oskarżycielskim. Nie będę przytaczać wszystkich, omówię jeden, ten z filii w Woli Żytowskiej podległej Punktowi Usług Mechanicznych w Żytowicach a należących do SKR w gminie Pabianice. Otóż zaczęło się „normalnie”, czyli od tego, że w biurze zastano jedynie pracowników, którzy nie potrafili powiedzieć, gdzie jest ich kierownik ani co robi. Pracownicy bezradnie rozłożyli ręce: oni nie są w niczym

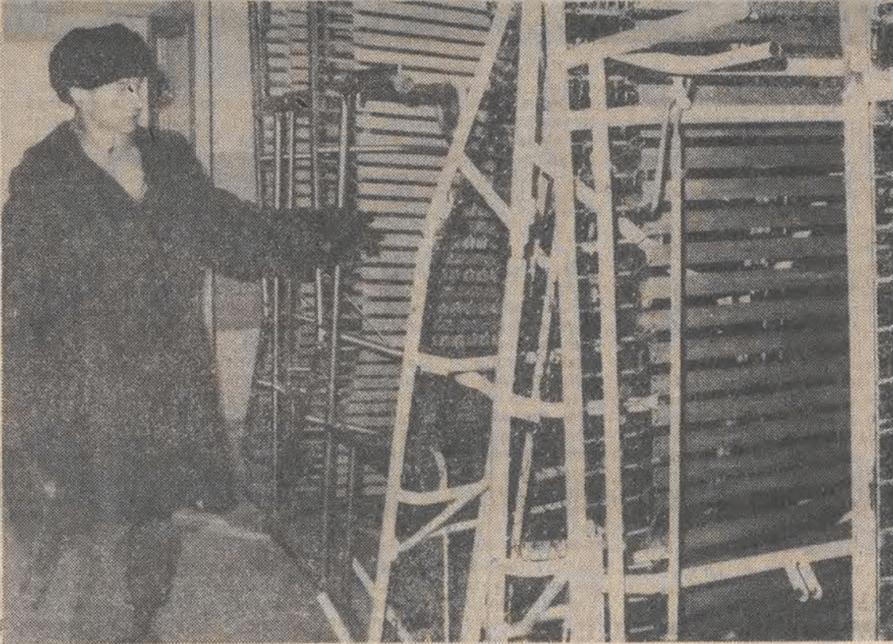
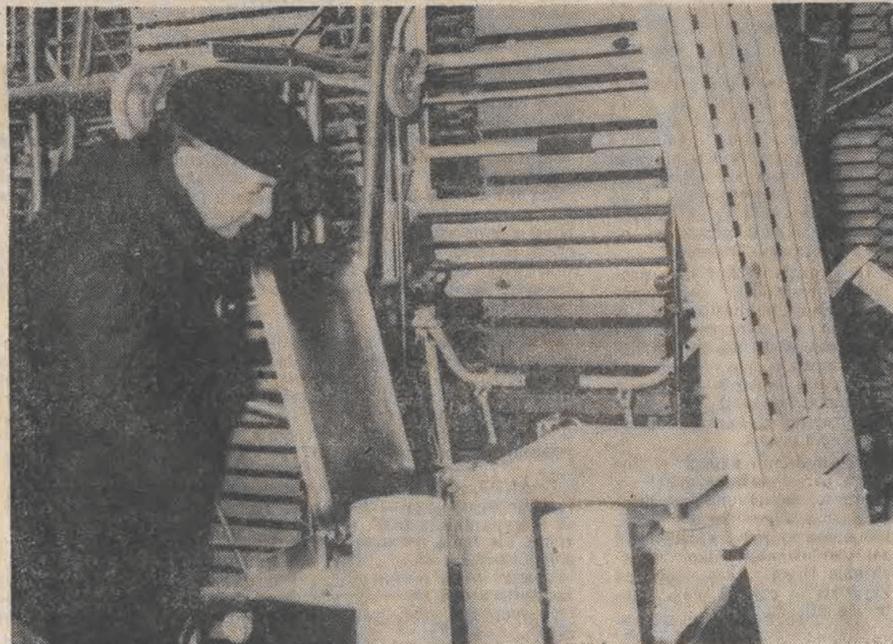


Foto: Grzegorz Galasiński

piło silne skażenie wód Drwęcy. Detergenty przemieszczają się wzdłuż województwa toruńskiego ku ujściu w Lubiezu. Sytuacja jest określona jako niebezpieczna. Informację o katastrofie ciężarówka wiozącej środki chemiczne potwierdza Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych w Ostródzie. Wiadomo również, że Drwęca na odcinku kilku kilometrów niesie wodę mętną, pniejącą się. Te niepokojące wieści odbiera pełnomocnik wojewody toruńskiego do spraw nadzwyczajnych zagrożeń środowiska. Poleca on wyliczenie czasu, po upływie którego detergenty osiągną rejon ujścia. Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej dostarcza danych o aktualnym przepływie wód Drwęcy. Specjaliści szacują, że nawet przy skrajnie korzystnych warunkach przepływu, skażona woda nie powinna pojawić się przed Toruniem wcześniej niż nocą z szesnast-

Brodnicę i zbliża się do Golu-bia-Dobrzyń. Badania w pobliżu ujścia dają wyniki zgodne z normą. Wszystko przemawia za tym, że skażona woda osiągnie Toruń dopiero późnym wieczorem. Miasto śpi spokojnie.

Tymczasem kilka minut po godzinie osmej tuż przed ujściem pojawia się woda niosąca mydlaną pianę. Podczas wstępnego chlorowania można gołym okiem dostrzec, że ciecz jest mętna, co wskazuje na obecność detergentów. W zbiornikach wtórnego chlorowania gromadzi się piana. Byskawicznie wykonana ekspertyza daje szokujący wynik: trzy miligramy detergentów w litrze wody — 15-krotne przekroczenie normy! Wojewoda niezwłocznie wydaje decyzję o zamknięciu dopływu wody dla miasta.

O godzinie dziewiątej stają potężne pompy. Skażona woda nie przedostaje się do sieci wodociągowej. Zaskoczeni eksperci szukają odpowiedzi na pytanie, jak to się mogło stać,

AKTY ROZPACZY

W południe na ulicach miasta pojawiają się ludzie z wiadrami. Trwa gorączkowe poszukiwanie wody. Gdzieniegdzie uliczne hydranty jeszcze pompują resztki z zamkniętych wodociągów. Na osiedlu Rubikowo panuje kompletna susza. Długie kolejki stoją przed szafkami publicznymi, bo tam woda jeszcze cieknie z kranów. Radio podaje komunikat wyjaśniający przyczyny kłeski. Zamieszanie rośnie.

O zmroku na miasto wyruszają beczkowozy. Jest ich zaledwie dwadzieścia kilka. Za nimi podążają kolumny mieszkańców z naczyniami wszelkiego rodzaju. Nikt nie wie, gdzie wyznaczono miejsca postoju beczkowozów. Na skrzyżowaniach ulic czekają stosobowe koleżki donikad. Jeden beczkowoz nieustannie zaopa-

czana mieszkańcom przez te pojazdy musi być badana przez służby sanitarne. Na pomoc jadą cysterny z Grudziądza i Brodnicy. Prezydent miasta będzie miał do dyspozycji także beczkowoz straży pożarnej i wojska. Mimo to trzeba ustalić priorytety zaopatrzeniowe.

Naradę zakłada wiadomość o awarii pomp na ujściu głębinowym. Niedługo potem pęka główna nitka rezerwowego wodociągu. Droga cenna ciecz zalewa ulice spragnionego miasta. Usuwanie awarii będzie kontynuowane nocą.

Wzdłuż Drwęcy prowadzone są laboratoryjne badania wody. Ich wyniki trafiają do służb ochrony środowiska dyszujących w budynku ujścia. O godzinie dwudziestej drugiej laboranci informują, że na wysokości Golu-bia-Dobrzyń rzeka toczy już wody względnie czyste, o minimalnej zawartości detergentów. Tło zanieczyszczeń wyraźnie słabnie. Jeszcze przed północą pomyslnie wieści nadchodzą z Młynca — miejscowości leżącej zaledwie pięć kilometrów przed ujściem. Badana tam woda mieści się w pierwszej klasie czystości. Prawdopodobnie skażona fala niebawem minie ujście w Lubiezu. Jest czwartek 16 stycznia 1986 roku.

Sami nie wiemy, co nam grozi

W cieszącym się dużą popularnością serialu „Ja, Klaudiusz” Rzymianie ciągle pili wino. Zresztą sam Klaudiusz wykazywał niejaki skłonności do nieustannego podostawiania niewiednikom naczynia pod dzbanek. Nie o wino mi wszakże chodzi, ale o owo naczynie. Robiono je początkowo z brązu, ale naczynia z brązu wydzielaly tlenki miedzi i groziło to zatruciem. Trzeba było więc czymś te naczynia pokryć, aby uniemożliwić wydzielanie się tlenków miedzi. Wymyślono ołów. I to był początek końca Imperium Rzymskiego i całej rzymskiej cywilizacji.

Ołów również powoli, niezauważenie, ale systematycznie zatrą-wał organizmy Rzymian. Związki ołowiu powodowały osłabienie, apatie, utratę apetytu, powodowały zaburzenia w ruchu kończyn człowieka zatrutego, te ruchy stawały się nieskoordynowane. Następowy zmian w systemie krążenia krwi, w układzie pokarmowym, a co najważniejsze następowy powo- -dne i niezauważalne zmiany w mózgu i systemie nerwowym. Kobiety coraz częściej miały poronienia. Rzymianie degenerowali się i ich cywilizacja musiała upaść. Takie jest przynajmniej zdanie niektórych historyków. Również historyk medycyny, Amerykanin Seabury G. Gliffila jest tego zdania. Podtrzymuje je Julian Aleksandrowicz, który uważa, że i dziś nasze organizmy zatrą-wane są ołowiem, a jedynym sposobem usuwania z organizmu nadmiaru ołowiu jest magnez. Im więcej mamy magnezu, tym mniej ołowiu i tym mniejsza jego szkodliwość.

Ołów do wina Rzymian dostawał się też z kadzi ołowianych, w których przyrządzano i trzymano syrop z winogron, a którym słodzono wino. Ten zwyczaj przynosił się też na średniowiecze. Jedną z chorób, na która cierpieł zakonnik byłą kółka jelitowa. Dopiero w XVII wieku wykryto, że jej przyczyną jest ołów. Okazało się, że w klasztorach — wzorem przyjętym od Rzymian — przygotowuje się w kadziach ołowianych syrop, którym słodzi się wina.

Dzisiaj ołów rozpylają po miastach... saniochody. Ale czy tylko ołów nam grozi?

Nasza cywilizacja znalazła się w stanie stałego zagrożenia. Po pierwsze — jest to zagrożenie narastająca skala zbrojeń. Im więcej człowiek gromadzi broni masowej zagłady, tym większe powstaje niebezpieczeństwo wybuchu wojny światowej z... przypadku. A byłaby to ostatnia wojna światowa na planecie Ziemia. Po drugie — człowiekowi grozi narastający konflikt z przyrodą, której częścią jest sam człowiek. W I tomie „Ekonomii politycznej” Oskar Lange napisał tak o stosunku człowieka do przyrody:

„Człowiek atacza się coraz bardziej skomplikowanym sztucznym środowiskiem, stanowiącym jak gąbry sztuczne organy, którymi uzupełnia naturalne organy swego ciała, i w ten sposób umacnia i rozszerza swoje panowanie nad przyrodą”.

Jest to zatem działanie naturalne. Człowiek chce się wyzwolić spod panowania przyrody, uniezależnić się od niej, chce rzucić siłami przyrody. I to mu się już po części udało. Zaprzętał wodę i wiatr do poruszania maszyn, do wytwarzania energii elektrycznej. Wydobywał z głębi ziemi surowce, które przetwarza na materiały sobie potrzebne. Z tych materiałów robi to, co Oskar Lange nazywa „sztucznymi organami” — maszyny, urządzenia, aparaty, środki chemiczne. Człowiek czuje się panem świata, najwyższymi zorganizowanym tworem przyrody i czerpie z tego faktu prawo do panowania nad przyrodą i do poprawiania i zmieniania tego, co ukształtowało się przez tysiące i miliony lat. Być może prawa przyrody są okrutne, ale dzięki nim wytworzyła się równowaga w przyrodzie. Człowiek próbuje to zmienić, nie potrafi jednak ani przewidzieć, ani wyobrazić sobie skutków swojej działalności.

W książce „Człowiek i środowisko”, w rozdziale „Przyroda w oczach ekonomisty” N.P. Fiedorienko tak pisze:

„Jeszcze niedawno słowa: „walka z przyrodą”, „pokrośnienie przyrody przez człowieka” brzmiały dumnie i pięknie. Obecnie częściej można usłyszeć inne nuty...”

Człowiek przez wieki ujarzmił przyrodę, uzyskując z niej zasoby materialne niezbędne dla tworzenia nowych cywilizacji i do nich wstąpił. Kiedy w wielu regionach kul ziemskiej pod naciskiem człowieka przyroda zaczęła ustępować, cofać się, a nawet ginąć”.

W miarę rozwoju cywilizacji powstaje coraz więcej zanieczyszczeń, odpadów. Rodzi się pytanie: co z tym robić? Po I wojnie światowej Niemcy zatopili w morzu gazy bojowe. Teraz wrzuca się do morza pojemniki z odpadami radioaktywnymi. Próby z bronią jądrową dają pyły radioaktywne, które krążą nad planetą. Ale nad planetą krążą też zwykłe pyły wydobywające się z kominów fabrycznych. Bawiaci niedawno w Polsce ministrowi do spraw środowiska Finlandii — Matti Ahde powiedział reporterowi „Życia Warszawy”, że „dwie trzecie zanieczyszczeń atmosferycznych unoszących się nad terytorium Finlandii ma swoje źródło w innych krajach. Z wiatrem napływają nad Finlandię np. związki siarki”. Z Polski również, gdyż „faktem jest — powiedział Matti Ahde — że tzw. kwaśne deszcze nekają wszystkie kraje nadbałtyckie”.

Trzeba przecież rozumieć, że pyły emitowane w atmosferę, ścielą wpuszczane do rzeki, gdzie się kumulują i unoszone z prądem rzek docierają do morza, a unoszone wiatrem gdzieś opadają. Wcale nie w obrębie kraju, w którym powstały. „Z powodu zanieczyszczenia powietrza — powiedział Matti Ahde — niszczyją nasze drzewostany”, a drzewo dla Finlandii to naturalne bogactwo. Ścieki i środki chemiczne używane w rolnictwie zmieniają równowagę biologiczną w rzekach i morzach. Pomijam już fakt — powszechnie przecież znany — że wiele polskich rzek, wraz z królową czyli Wisłą, bardziej przypominają ścieki niż żyłociąg rzeki. Mniej natomiast znany jest fakt, że spływający do wód DDT spowodował nadmierną rozrodczość rozgryzając które zagroziły koralowcom. Stanowi to zagrożenie wysp Pacyfiku od Hawaj do Australii.

O szkodliwości DDT napisano już tomy. W wielu krajach obowiązuje zakaz używania DDT, ale nie produkowania. Na przykład USA produkują DDT i importują, gdyż w USA obowiązuje zakaz używania DDT. A DDT jest radykalnym środkiem przeciw malarii. W Sri Lance, gdy zaprzestano opylać DDT malajskie terytorium, zachorowania ze 100 rocznie wzrosły do 2,5 miliona. Powrócono więc do opylania DDT.

Czy DDT odegra we współczesnej cywilizacji rolę ołowiu z czasów Imperium Rzymskiego? Jak twierdzą specjaliści pestycydów, do których należy DDT, skutecznie niszcza chwasty owady i gryzoni, ale mają trwałość utrzymywania toksyczności w wodzie i glebie. Związki ołowiu, rtęci i arsenu — jak twierdzą specjaliści — mają wręcz niezniszczalną toksyczność i niebawala zdolność koncentrowania się w żywych organizmach. A zatem, czy potrafimy wyobrazić sobie rozmiar zagrożeń, w jakich przyszło nam żyć?

FINAL

17 stycznia około godziny pierwszej w nocy trzy niezależnie pracujące laboratoria nadsyłały zgodne wyniki — pobrane próbki wody nadają się do spożycia. Zawartość detergentów poniżej normy. Sanepid kończy badania kompleksowe. Załoga ujścia przystępuje do płukania pomp i instalacji przesyłowych. Wszyscy czekają na wyniki analiz wody z górnego biegu rzeki. Wieści są pomyslnie — Drwęca jest wolna od detergentów.

Tylko Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny jeszcze zwleka z podjęciem decyzji o uruchomieniu pomp i skierowaniu wody do miasta. Ciężko na nim ogromna odpowiedzialność, albowiem spożycie wody z detergentami może wywołać poważne zaburzenia w organizmie człowieka, a w przypadku osób chorych i małych dzieci bywa nawet przyczyną śmierci. Inspektor zaleca dodatkowe badania.

Około godziny trzeciej nie ma już żadnych wątpliwości co do tego, że Drwęca uporała się z chemicznym balastem. Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny wyraża więc zgodę na uruchomienie całej trzystukilometrowej sieci wodociągowej Torunia. Tuż przed godziną czwartą ruszają pompy. Rankiem uzdatniona woda dociera do mieszkań. Tego dnia jej pobór znacznie przekracza średni poziom dobowy. Ludzie nie chcą być ponownie zaskoczeni. Na wszelki wypadek robią zapasy wody.

W tym czasie służby sanitarne stale kontrolują bieg Drwęcy. Wiadomo już, że pniejąca się fala wpadła do Wisły. Szczęść ten rozpuszczonego proszku do prania nie uczyni szkody największej polskiej rzeki, ponieważ od lat jest ona gęstym ściekiem, niosącym znacznie groźniejsze substancje chemiczne. Detergenty płyną do Bałtyku.

W Toruniu życie wraca do normy. Mieszkańcy mają jednak pretensje do władz, że nie uprzedzono ich o konieczności wyłączenia ujścia. Zaniedbano też przygotowanie ludności i przemysłu na nieuchronne bądź co bądź przerwy w dostawach wody. Administracji przydarzyła się brzydka „wpadka”, na szczęście bez większych konsekwencji. Ktoś jednak źle ocenił sytuację, ktoś inny zablokował urzędowy obieg informacji. Dlaczego?

18 stycznia 1986 roku, prokurator wojewódzki poinformował opinię publiczną, że w związku z okresowym wyłączeniem wody dla miasta, bez uprzedzenia o tym mieszkańców, zlecił badanie przyczyn zaistniałej sytuacji w trybie prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa.

Po ostudzeniu emocji w Toruniu coraz głośniejsi mówią o przyspieszeniu budowy dużego głębinowego ujścia wody, które dawno już szczegółowo zaprojektowano. Tylko o ochronie Drwęcy, do niedawna kryształowo czystej rzeki, jakby się milczy...

ROMAN KUBIAK

WITOLD BOROWY

Miasto i woda

Toruńska wsypa

tego na siedemnastego stycznia. Miasto ma więc dwie doby na należyte przygotowanie się do czasowego funkcjonowania bez bieżącej wody. Teoretycznie. Dopiero następnego dnia rano o zagrożeniu dowiaduje się jeden z wicewojewodów oraz Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna. Prezydent miasta i jego zastępca nie są wtajemniczeni w sprawę, chociaż gmach urzędu wojewódzkiego od siedziby władz miasta dzieli szerokość ulicy.

Władze wojewódzkie nakazują stałe i systematyczne badania zawartości detergentów w wodach Drwęcy na odcinku ponad stu dwudziestu kilometrów. Aby uniknąć pomyłek, analizę składu chemicznego wody pobieranej w rejonach skażonych przeprowadzają równoległe trzy niezależne la-

boratoria: w Sanepidzie, na ujściu w Lubiezu oraz w Ośrod-ku Badań i Kontroli Środowiska. Tego dnia w pobliżu Nowego Miasta Lubawskiego pobrano próbki wody, w której stwierdzono znaczną zawartość detergentów. Skażenie przemieszcza się zgodnie z prognoząmi.

Wieczorem niektórzy mieszkańcy Torunia wiedzą już, że dzieje się coś niedobrego, mającego związek z wodą. Lecz wiceprezydent miasta, ciągle nie poinformowany o dryfującej kłesce, oddala pogłoski o zatruciu Drwęcy. W mieście nie czyni się żadnych przygotowań na wypadek nagłego odcięcia ludzi i przemysłu od źródeł wody pitnej. Prognozy głoszą, że w ciągu najbliższej doby torunianom nie grozi posucha. Jest środa, 15 stycznia 1986 r.

W tym czasie służby sanitarne stale kontrolują bieg Drwęcy. Wiadomo już, że pniejąca się fala wpadła do Wisły. Szczęść ten rozpuszczonego proszku do prania nie uczyni szkody największej polskiej rzeki, ponieważ od lat jest ona gęstym ściekiem, niosącym znacznie groźniejsze substancje chemiczne. Detergenty płyną do Bałtyku.

W Toruniu życie wraca do normy. Mieszkańcy mają jednak pretensje do władz, że nie uprzedzono ich o konieczności wyłączenia ujścia. Zaniedbano też przygotowanie ludności i przemysłu na nieuchronne bądź co bądź przerwy w dostawach wody. Administracji przydarzyła się brzydka „wpadka”, na szczęście bez większych konsekwencji. Ktoś jednak źle ocenił sytuację, ktoś inny zablokował urzędowy obieg informacji. Dlaczego?



boratoria: w Sanepidzie, na ujściu w Lubiezu oraz w Ośrod-ku Badań i Kontroli Środowiska. Tego dnia w pobliżu Nowego Miasta Lubawskiego pobrano próbki wody, w której stwierdzono znaczną zawartość detergentów. Skażenie przemieszcza się zgodnie z prognoząmi.

Wieczorem niektórzy mieszkańcy Torunia wiedzą już, że dzieje się coś niedobrego, mającego związek z wodą. Lecz wiceprezydent miasta, ciągle nie poinformowany o dryfującej kłesce, oddala pogłoski o zatruciu Drwęcy. W mieście nie czyni się żadnych przygotowań na wypadek nagłego odcięcia ludzi i przemysłu od źródeł wody pitnej. Prognozy głoszą, że w ciągu najbliższej doby torunianom nie grozi posucha. Jest środa, 15 stycznia 1986 r.

W tym czasie służby sanitarne stale kontrolują bieg Drwęcy. Wiadomo już, że pniejąca się fala wpadła do Wisły. Szczęść ten rozpuszczonego proszku do prania nie uczyni szkody największej polskiej rzeki, ponieważ od lat jest ona gęstym ściekiem, niosącym znacznie groźniejsze substancje chemiczne. Detergenty płyną do Bałtyku.

W Toruniu życie wraca do normy. Mieszkańcy mają jednak pretensje do władz, że nie uprzedzono ich o konieczności wyłączenia ujścia. Zaniedbano też przygotowanie ludności i przemysłu na nieuchronne bądź co bądź przerwy w dostawach wody. Administracji przydarzyła się brzydka „wpadka”, na szczęście bez większych konsekwencji. Ktoś jednak źle ocenił sytuację, ktoś inny zablokował urzędowy obieg informacji. Dlaczego?

Tymczasem kończą się zapasy wody przemysłowej w zbiornikach wyrównawczych. „Elana” i elektrociepłownia ponownie grozi przerwaną produkcją. Zapada decyzja ratunkowa: pompować wodę skażoną. Ruszają pompy na ujściu w Lubiezu. Ekipy komunalne blokują te nitki wodociągu, którymi zaopatruje się mieszkańcy, żeby detergenty nie dostały się do sieci publicznej. Mętna ciecz wpływa do wydzielonej części wodociągu. Po godzinie napełnia zakładowe zbiorniki. Toruń będzie miał energię elektryczną i ciepło.

Wieczorem wojewoda zwołuje naradę szefów służb odpowiedzialnych za zaopatrzenie miasta w wodę. Sytuacja jest dramatyczna. Skażenie Drwęcy utrzymuje się na wysokim poziomie i potrwia jeszcze około doby. Sanepid nie zezwoli na całkowite uruchomienie ujścia wcześniej, niż po przeprowadzeniu dwukrotnych pełnych analiz wody zakończonych wynikiem pozytywnym. Miasto pilnie potrzebuje większej ilości beczkowozów. Woda dostar-

ZASKOCZENIE

Wczesnym rankiem 16 stycznia lotne ekipy sanitarne donoszą, że spieniona fala minęła

Tym razem musiałem dać za wygraną. Śnieg w nocy nie chciał puścić, mróz też był zaledwie kilkustopniowy, a i z zajęć domowych zostałem, o dziwo, zwolniony bez większych ceregieli. Bo też już od paru niedziel przyrząkałem chłopakowi tę wyprawę z sankami na prawdziwe „górkę”. No więc trudno, przemożem jakoś wrodzone lenistwo, pożegnałem się na parę godzin z miłą perspektywą fotela, kawki i lektury. Wśród pisków radości mała zapakowaliśmy specjalistyczny sprzęt do bagażnika i — w drogę...

Wymarzonym „górkom” daleko było do cienia Gubałówki choćby, ale chmury szalejących na jej zboczach dzieciaków wymownie świadczyły, iż mieszcuchom w Polsce centralnej niewiele do szczęścia potrzeba. Różnokolorowe bractwo śmigalo ze wszystkich stron, nie brakowało i narciarzy w różnym wieku, znaleźli się też dwaj kaskaderzy, którzy przywdziali na tę okoliczność „hokejówki”. Mój zawodnik momentalnie dostał śnieżnego amoku i nie czekając na ojca pognał z sankami na szczyt. Nim tam dotarłem, by ocenić stopień trudności tras zjazdowych, pomknął już ze trzy razy w dół, z miękkim lądowaniem w zaspie. Wciążnie. Po chwili odważnie zaatakował bardziej oblodzoną trasę z piękną muldą i wystającym spod śniegu pniakiem. Równie piękna wywrotka nie sprawiła na nim większego wrażenia. Podobnie na dziewczynce w czerwonym kombinezonie, która minutę później wykonała podobny „lot trzmiela”. Drapali się właśnie na górę niczym dwa białawy, gdy z bacznie obserwującego zabawę stada mam, dziadków i wysportowanych ojców oderwał się jeden „trener”.

— Majka, proszę cię byś tędy nie zjeżdżała! — ton sugerował lekkie, niedzielne zdenerwowanie. — Tu jest lód, grzmotniejsz jeszcze raz i tata będzie musiał rękę składać, albo nos prostować!

— Będę miała ładniejszy... — krzyknął rezolut w czerwieni i śmignął w dół za moim saneczkarem. Tym razem im się udało, nie spadli i wiedli na dole jakąś zajadła dysputę, chyba chodziło o zamianę sanek.

— Nic im nie będzie, te wywrotki, to też fraida, niech się pan nie martwi — zagadnąłem ojca dziewczynki. — Myślny tak samo szaleli w ich wieku...

— Tak, tak, ja wiem, ale powinna bardziej uważać: to zawodowy odruch, bo nie ma nic gorszego, jak własnemu dziecku urodę poprawiać.

— Lekarz i pewnie chirurg na dodatek? — palnąłem, obserwując maluchów drapiących się po stroniźnie.

— Owszem, i na dodatek plastyczny... — młody człowiek uśmiechnął się pod wąsem.

— O, to wielce ciekawa profesja — gdzieś w głowie zapaliło się czerwone światełko: „Dawaj, to może być niezły temat...”. — Szalenie intrygującym zajęciem musi być naprawianie błędów natury, bliskie już zapewne czasu, kiedy wszyscy będziemy piękni i młodzi, przynajmniej zewnątrz.

— Tak, właśnie, tak kojarzy się większości ludziom chirurgia plastyczna, wyłącznie z chirurgią kosmetyczną — westchnął pan doktor nie spuszczać oka z maluchów. — A to zaledwie drobny ułamek naszej roboty. Zajmujemy się całym człowiekiem i w każdym wieku — od paru miesięcy do niemalże stu lat. Rzeczywiście jest to pasjonujące, ale też niesamowicie odpowiedzialne, bo wiem „klasyczny” chirurg — upraszczając nieco problem — efekty swojej pracy zaszywa, w pewnym sensie — chowa, u mnie wszystko jest na zewnątrz, widoczne dla każdego. Powiedzmy sobie jednak otwarcie: nie o usuwanie zmarszczek tu chodzi, przynajmniej nie wyłącznie, to przede wszystkim chirurgiczne leczenie wad rozwojowych u dzieci, to leczenie... Ale, ale, czy ja pana nie nudzę?

— Ależ wprost przeciwnie, chętnie posłucham, korzystając z sympatycznego spotkania — tu bąknąłem coś o swojej profesji, by zachęcić lekarza do dalszych zwierzeń. Wyciągnąłem też zachęcająco w jego kierunku paczkę „messerszmitów”. Dzieciaki przerosły się na bardziej bezpieczne trasy, mogliśmy więc trochę pogawędzić.

— O, to trzeba z panem uważać i prawo prasowe mieć pod ręką. A za papierosa dziękuję, skończyłem z tym wiele lat temu. O czym to ja mówiłem? Aha, więc chirurgia plastyczna to także leczenie ubytków pourazowych, choćby po wypadkach komunikacyjnych, leczenie po klasycznej działalności innych kolegów — chirurgów, leczenie oparzeń i ich następstw. Osobny dział to chirurgia ręki i dopiero gdzieś na końcu jest miejsce na kosmetykę. W naszej, łódzkiej klinice właściwie nie robimy tylko kranioplastyki i mikrochirurgii.

— Mówiąc mikro, ma pan na myśli wielkość pola operacyjnego? — błysnąłem gdzieś zasłyszonym terminem medycznym.

— Również, chodzi przede wszystkim o operowanie przy użyciu mikroskopu. Daje to możliwości leczenia uszkodzonych naczyń bądź nerwów grubości jednego milimetra, możliwości przyszywania odciętych palców, nawet rąk...

— Duża sprawa, więc czemu? Brak technicznych możliwości?

— W pewnym sensie, bowiem niezbędne byłyby nasze dyktury non stop i w każdej chwili pewna rezerwa łożek. W tego typu przypadkach o powodzeniu operacji decyduje czas. A my mamy raptem 30 łożek do dyspozycji i roczną kolejkę oczekujących. Robią na razie tego typu zabiegi ośrodki w Polanicy, w Warszawie, Gdańsku; my możemy się tylko przygotowywać, czekając na oddanie do użytku centrum kliniczno-dydaktycznego, gdzie ponoc mamy dostać dla siebie ponad 70 łożek.

— To ta błyskotliwie prowadzona budowa koło Radiostacji?

— Owszem, ale niechże pan mnie nie pyta o terminy!

— Nie zamierzam, każdy strzał może być niecelny. A coż to takiego ta kranioplastyka?

— Jest to szczególnie skomplikowanych przypadkach wad rozwojowych możliwość przesuwania kości czaszki, jakby tworzenia jej od nowa. Niezbędne jest potężne zaplecze anestezyjologiczne, wyjątkowa jałowość bloku operacyjnego; istnieje bardzo duże ryzyko śmiertelności, odsłania się mózg, opony mózgowie, ponadto...

— Nie, nie, to ja na razie dziękuję, jakoś groza powiało...

— No tak, są to na szczęście bardzo rzadkie przypadki, w Polsce do tej pory wykonano kilka tego typu operacji w Polanicy.

— Wspomniał pan kilkakrotnie już o Polanicy; byłby to w dziedzinie chirurgii plastycznej jakiś wiodący ośrodek?

— Na pewno najstarszy, z największym doświadczeniem. Łódzka Klinika Chirurgii Plastycznej powołana została do życia w 1972 roku. Wcześniej istniał tylko Wojewódzki Szpital Chirurgii Plastycznej w Polanicy Zdroju stworzony przez profesora Michała Krausa, aktualnie specjalistę krajowego w naszej branży.

Szliśmy sobie spacerkiem po łagodnym stoku, duet saneczkarzy przerwał na chwilę swe szaleńcze zjazdy i próbował lepić białana. Gdzieś z tyłu, z góry dobiegło nas w pewnej chwili gromkie „Aaaa...” i niemal ocierając się o nas przeleciał wyrostek na nartach. Przywiał jak paskami do zwykłych butów, przyjął pozycję typu wiatrak, toteż problem był tylko jeden: grzmotnie zaraz czy pięć metrów dalej. Wreszcie cały czas dotarli do owej lodowej muldy, po czym wykonał figurę, której Grzegorz Filipowski zapewne nigdy nie opanuje. Za sporej

zaspie po sekundzie wystawały tylko końce nart. Nim się obejrzałem, doktor sadził już po stoku w kierunku rodzimego „Stenmarka”; pomógł wstać, wypłacał się z desek, obmacywał mimo słabych sprzeciwów nogi i ręce chłopaka. Wracali już wólnie, uspokojony.

— Kamikadze, cholera, widział pan ten potrojny „tulup”? Na szczęście tylko trochę się potłukł i na dziś chyba ma dość nart...

— Za twórcę łódzkiej „szkoły plastycznej” uważa się o ile mnie pamięć nie myli profesora Bardacha?

— Tak jest. Szczęśliwy los setknął mnie z profesorem jeszcze na studiach, gdzie zresztą szybko podjąłem decyzję o chirurgicznej specjalizacji. Był rok 1968. Profesor Bardach prowadził wówczas klinikę Chirurgii Szczękowo-Twarzowej i podjął się organizacji kliniki chirurgii plastycznej. Otrzymał kilka etatów, począł kompletować zespół lekarzy, spytał i mnie, żółtodzioba, czy nie miałbym ochoty spróbować. Zgodziłem się bez namysłu. Przyszły egzamin, staż na różnych oddziałach, specjalizacja z chirurgii ogólnej u profesora Jana Goldsteina, wreszcie w 1974 roku trafiałem już na stałe do „plastyków”. Asystuję, operuję, zaliczam specjalistyczne staże.

— Zastanawiał się pan kiedyś, ile było w sumie tych operacji i poważniejszych zabiegów do dnia dzisiejszego?

— Nie, nie zastanawiałem się, ale zaraz, niech pomysł. No, skromnie licząc ponad 3 tysiące na pewno...

— A jakie były najtrudniejsze, najbardziej ryzykowne?

— Ryzyko jest zawsze, podobnie jak z ostatecznym efektem. Często dla mnie operacja jest udana, a pacjent jest odmiennego zdania. Ale również często bywają w naszej branży przypadki odwrotne. Ja widzę jeszcze pewne możliwości poprawy stanu ist-

Tatuazy nie operujemy...

niejącego, ale pacjent nie chce o tym słyszeć, już jest szczęśliwy, smutki i kompleksy zniknęły, jak ręką odjął. To też jest szalenie ważne.

— Wady rozwojowe u dzieci, to między innymi tak zwana „zająca wargą”?

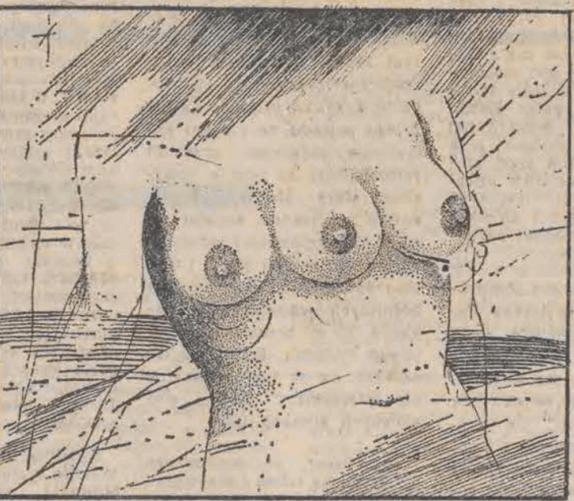
— Tak, to rozszep warg, a może być i podniebienia. Tego typu przypadki mają w pewnym sensie pierwszeństwo, bowiem istnieje określone terminy na przeprowadzenie u malucha operacji, to jest 6 i 18 miesięcy, a ich niedotrzymanie powoduje i większe zniekształcenia i większe trudności z nauką mowy. Leczenie dzieci mamy, myślę, zorganizowane w sposób unikalny w skali kraju.

— Na czym to polega?

— Wszystkie oddziały położnicze w Łodzi i województwie informują nas na bieżąco o dzieciach urodzonych z wadą rozwojową, a ponadto przy klinice działa ośrodek leczenia tychże wad, kierowany przez moją szefową, doc. dr hab. Julię Kruk-Jeromin. Ale zdarzają się przypadki niedorozwoju małżowin usznych, powiek, części twarzy...

— Straszne rzeczy pan opowiada...

— Ale niestety, prawdziwe. W miarę możliwości walczymy też z nie mniej przykrymi następstwami urazów i wypadków, wszelkimi deformacjami, zniekształceniami kostnymi, bliznami, łagodnymi efektami wielu zabiegów chirurgicznych, na przykład deformacje klatki piersiowej po operacji usunięcia raka piersi...



Rus. Janusz Szymański-Glanc

— No nie, niech pan da spokój, taka ładna niedziela...

— Chciał pan wiedzieć nieco o „plastykach”, więc opowiem. A to naprawdę ważne. Stan psychiczny chorej, mimo udanej operacji, zwykle nie jest najlepszy, rodzą się stęsy, kompleksy. A naturalną konsekwencją powinna być wizyta u nas.

— Zaproponuje pan takiej chorej przeszczep skóry?

— Nie tylko skóry, również niewielkiego płatku mięśniowego z płeców. Mogę odtworzyć całą pierś, nawet nie istniejącą brodawkę, a niewielkie blizny z powodzeniem ukryje każdy kostium kąpielowy. Zaś samopoczucie kobiety zmienia się diametralnie na korzyść.

— Właśnie, przy okazji, czy blizny pozostają zawsze? Autorzy nie tak dawno wyswietlanego serialu przekonali nas, że nawet ślady zębów krokodyli mogą zniknąć...

— Była to wyłącznie fantazja scenarzysty. Nie ma możliwości przeprowadzenia operacji plastycznej bez pozostawienia blizn. Można je zredukować do niewielkich, zresztą ukrytych, ale ślady pozostają zawsze.

No nie, na to nie mogliśmy pozwolić. Dwóch wyrośniętych cwaniaków przekonało naszych maluchów, że lepiej będzie im zjeżdżać na jednych sankach, porządnie zresztą zdezelowanych. W „nagrode” oni wezmą ich dwie pary, tylko na parę minut. Nadeszliśmy w samą porę, do „korzystnej” transakcji nie doszło. Biaław był już prawie gotów, daliśmy więc malcom „ostatnie, małe pół godziny”...

— Wasze umiejętności wykorzystuje się chyba w szerokim stopniu przy oparzeniach, prawda?

— To osobny rozdział, bardzo skomplikowany. Istnieje w kraju na dobrą sprawę jeden jedyny szpital w Siemianowicach Śląskich zajmujący się cięższymi przypadkami. Ale to też nie jest tej klasy placówka, jakiej wymagają, niestety, niektóre ofiary wypadków. I nie rozwiązują sprawy żadne izolatki, ja panu natysuję jak powinien taki oddział wyglądać. Już takie widziałem, szkoda że nie u nas.

Doktor przyklepał śnieg na małym stoku, wynalazł jakiś patyk i rysując, począł cierpliwie wprowadzać laika w szczegóły tyleż nieznanego co wielce intrygującego. Zapalił się strasznie, aż kołuch rozpiął i gestykulację wiaćcy do rozmowy...

— O, proszę, niech pan spojrzy z tej strony. Generalnie założenie jest jedno: maksymalna likwidacja infekcji wewnątrz szpitala. Tu są sale indywidualne, wyposażone w łożko wodne, każdy pokój ma obok osobną łazienkę i musi istnieć możliwość wjazdu tym łożkiem do... wanny. Tak, tak, obok — osobne dla każdego pokoju sale opatrunkowe. A naokoło biegnie z jednej strony, o, tak mniej więcej trakt brudny i trakt czysty, wyposażone w specjalne śluzę. Badania bakteriologiczne wykonuje się co 4 godziny, a nie co kilka dni. Do tego dochodzi specjalistyczne laboratorium, serologia, własna apteka i pełna klimatyzacja. Czyste, wyjałowione powietrze przepływa w jedną stronę i już nie wraca na sale. I w takich warunkach można leczyć ciężko poparzonej. Myślę, że cztery takie ośrodki załatwiają problem w skali kraju.

— Hm, myślę, że to dość kosztowne byłoby inwestycje...

— Tak, ale jakże potrzebne. Profesor Kraus walczył o uruchomienie choć jednego takiego ośrodka. Powiedziano mu, że byłoby to niepotrzebne nikomu wyrzucanie pieniędzy, bo jeśli poparzony ma przeżyć, to i w istniejących warunkach i przy istniejących możliwościach też się „wylęże”. No i wypuszczamy ze szpitali inwalidów, rencistów. A przecież warunki leczenia, czas leczenia ma przy oparzeniach ogromne znaczenie, decyduje o przyjęciu przeszczepu, szybszej rehabilitacji, mniejsze są blizny i tak dalej. No tak, ale to mzonki, zamki na lodzie, szklane domy...

Chirurg jednym pociągnięciem patyka przekreślił swój szkic, zgorzkniał w parę minut. Zamysłony i milczący ruszył pod górę. Ja za nim, spoglądając na zegarek. Dzieciaki przerosły się na drugą stronę góry i ćwiczyły teraz zjeżdżanie na brzuchu. Im — i mnie — pozostał jeszcze kwadrans...

— Wspomniał pan o wielomiesięcznym oczekiwaniu na swoją kolejkę po urodę w waszej klinice. Kto decyduje o przyjęciu pacjenta.

— W poradni przy klinice raz w tygodniu są przyjęcia pacjentów ze skierowaniami do chirurga. Zbiera się konsylium i pod przewodnictwem szefowej decydujemy kto się nadaje, kto nie, ustalamy sposób leczenia, wyznaczamy terminy. Nie dotyczy to oczywiście przypadków nagłych, no i jak wspomniałem — maluchów z wadami wrodzonymi.

— I krzywych nosów nie prostujecie, zmarszczek nie usuwacie?

— Tego nie powiedziałem. Istnieją na przykład pourazowe zniekształcenia choćby nosa, zniekształcające fałdy skórne — choćby brucha i wiele innych. Te przypadki oczywiście operujemy. Ale generalnie od usuwania zmarszczek jest spółdzielnia „Uroda i zdrowie”. Chociaż...

— Chociaż?...

— W niektórych indywidualnych przypadkach, gdy za przeprowadzeniem zabiegu przemawiają względy zawodowe lub istnieje autentyczna bariera psychologiczna — oczywiście podejmujemy decyzję pozytywną.

— Na przykład?

— Na przykład odstające uszy u dzieci w wieku szkolnym mogą być przyczyną poważnych kompleksów i tym urodę przywracamy, ale dorośli mogą skorzystać z usług wspomnianej spółdzielni.

— No a te względy zawodowe...

— Choćby te nieszczęsne zmarszczki w przypadku aktorów czy nawet dziennikarzy telewizyjnych odgrywają na tyle ważną, życiową rolę, że decydujemy się czasem na ich usunięcie czy zmniejszenie w naszej klinice. I uprzedzę od razu pańskie kolejne pytanie: były takie przypadki, ale nazwisk nie pamiętam. Wie pan, mnie jak księdza, obowiązują tajemnica zawodowa. Mogę tylko dodać, że cieszymy się raczej niezłą opinią, bo pacjentów mamy z całego kraju... I tatuazy też nie operujemy.

— Pamięta pan swoją pierwszą operację?

— Oj, nie, było ich tyle...

— A ostatnią? Albo jakąś trudną, nietypową...

— Pamiętam, ale znów będzie się pan krzywił. Maszyna rolnicza oskalpowała nieostrożną kobietę zrywając jej włosy wraz ze skórą i jednym uchem... Musieliśmy dłużej kości czaszki...

— Może jakiś inny przypadek jednak...

— A widzi pan. Niech pan kiedyś do nas wpaśnie, to opowiemy panu o różnych przeszczepach, pokażemy zdjęcia, stosujemy na przykład od dawna przeszczepę całych płatów mięśniowo-skórnych. Dzięki współpracy z Instytutem Fizyki Łódzkiej politechniki prowadzimy próby z zastosowaniem techniki laserowej przy odbarwianiu znamion naczyniowych. Dobra, łódzka szkoła znana jest w świecie. Utrzymuję kontakty ze specjalistami z kliniki uniwersyteckiej w Nijmegen w Holandii, mój kolega — doktor Zbigniew Gledroń pracuje w Holandii, inny „plastyk” — Bogdan Włodarczyk robi karierę w Paryżu...

No, czas dobiegł końca. Pakowaliśmy dzieciaki do samochodów, strzepując z nich kilogramy śniegu. Zaprzyżnił się bardzo, umawiali na następną niedzielę, a ja i ja byłem przekonany że jeszcze nie raz wproszę się na rozmowę z chirurgiem. Zegaliśmy się, przedstawiając równocześnie, bo jakoś wcześniej nie było czasu na prezentację. Pochyliłem się nad fiałem doktora.

— Eh, uciekł mi jeszcze jeden temat: transseksualizm, czyli zmiana płci. Słyszałem, że przeprowadzacie w klinice tego typu operacje...

— Jest to kwestia niezgodności płci fizycznej z psychiczną. I nie ma praktycznie problemów natury medycznej by tym ludziom pomóc, są jednak jeszcze problemy natury prawnej, etycznej, moralnej. Namawiam na wizytę u nas i rozmowę w szerszym, bardziej kompetentnym gronie...

— Spróbujcie, obiecuje, zawsze dobrze mieć znajomego „plastyka”, który na stare lata parę zmarszczek człowiekowi wyprostuje...

— A po co to panu! Ja postanowiłem starzeć się z godnością...

Na niedzielne zwierzchnia doktora CEZAREGO PESZYŃSKIEGO-DREWISA z Kliniki Chirurgii Plastycznej Akademii Medycznej naciągnął

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Wanda Lament

Maraton

Jeszcze nie — a tyle za nami
zadyszanych zegarków ementary
gdzie spojrzeć — leżą odpoczywający
zgnębili się po drodze wypadli z kieszeni
z rytmu, przestrzelonego brzucha
z pamięci
bieg, bieg szaleńczy
albo cokolwiek przyspieszony
i jednostajnie nieporadny

Jeszcze nie — a tyle za nami
nie napoczętych myśli
nie dokończonych a wysoce budujących
refleksji nad motylem przyklejonym do liścia
dyskusji poematów dobrych rad i
pożegnalnych toastów
Naprzód —
porzucając broń (bo zbyt ciężko)
jednokierunkową autostradą
do Aten
szybciej szybciej
na agorze ktoś beznadziejnie czeka
na zwycięstwo

Tomasz Kubik

Apokryf z końca wieku (fragmenty)

NAGRODA

Tym, którzy opuszczą dom, rodzinę, ziemię,
by służyć imię jego
obiecował życie wieczne w szczęściu i chwale.
Niewielu zdecydowało się.
W opinii naukowców
na przykład święty Aleksy był masochistą.

PRZYPOWIEŚCI

Chciał w przypowieściach nauczać lud.

Proroctwo Izaasza przywołał aby wyjaśnić.
Obawiał się niezrozumienia.
Kochając ludzi zachował sceptycyzm.
Realnie oceniał sytuację.
Usiłował być zręcznym intelektualistą

W KRAINIE GENEZAR

W krainie Genezar nie dane mu było odpocząć.
Cała miejscowa ludność stawiała się przed jego
oblicze.

Chorzy błagali o pozwolenie dotknięcia szat.
Wyraził zgodę i zostali uzdrowieni.
Do pełni szczęścia brakło jednego —
bezinteresowności.

KOBIETA UZDROWIONA W SZABAT

Faryzeusze zgorzeli się na widok kobiety
uzdrowionej w szabat.

Skarcił ich wypominając obłudę.
Szedł dalej nauczać i uzdrowiać.
Faryzeusze zostali, obgryzali paznokcie.
Jedyny ślad po nim to ta kobieta.
Ale i ona umarła.

HEROD ANTYPAS

Herod dowiedziawszy się o nim,
zapagnął zobaczyć go.
Nie wiedział skąd pochodził, czego chce.
Bał się, liczył z możliwością przewrotu.
Na razie czekał.
Miał jeszcze za mało danych.

PODATKI

Odpowiedział faryzeuszom:
co cesarskie oddajcie cesarzowi,
co boskie Bogu.
Liczył się z realiami.
Do trzydziestego roku życia sporo czytał.
Był rozsądnym patriotą.

LAZARZ

Po trzech dniach Łazarz został wskrzeszony.
znowu jadł chleb i owoce, pił wino.
Oczy błyszczały mu jak dawniej.
Ludzie wchodziłi drzwiami i oknami
aby zobaczyć.
Ale on milczał, nie mówił jak tam było.



Rys. Zenona Płonk

8 ODGŁOSY



Izaak Babel „Zmierch”. Na zdjęciu od lewej: Piotr Krukowski (Mejsje Bojarski) i Józef Zbiroń (Arie-Lejb)
Foto: Andrzej Brustman

Spotkanie z Bablem

Bardzo późno, w wiele lat
po śmierci Izaaka Babela po-
znaliśmy w Polsce jego twór-
czość i dowiedzieliśmy się czegoś
o jego nieludnym życiu.
Wprawdzie i przed wojną nie-
które jego utwory znane były
w kregach postępowej intelli-
gencji, ale dopiero po naszym
Październiku tłumaczenie jego
„Utworów wybranych” („Izbranne-
noje”) zapoznalo polskiego czy-
telnika z cyklami „Armii kon-
nej” i „Opowiadań odeskich”
i po prostu „Opowiadań” oraz
ze sztuki „Zmierch” i frag-
mentem autorskich wspomnień.
A jest to prawie cała jego
twórczość, która jednak zdobyła
zapewnić mu międzynarodową
pozycję.

Nie mogła zresztą ta bliższa
znajomość Babela dokonać się
u nas zanim przełom XX Zja-
zdu KPZR nie spowodował
zdjęcia z niego anatemy w je-
go ojczyźnie.

Ta niezwykła proza, tak od-
rębna od wszystkiego, co u nas
do niedawnych czasów z lite-
ratury radzieckiej przyswaja-
no nie znalazła jednak wśród
polskich czytelników tak silnego
oddźwięku, na jaki zasługuje.
Myślę, że to właśnie swoisty
rewolucyjny patos Babela,
który (zamiast oczekiwanej
przez niektórych wrogości a la
Sołżenicyn) przebiega spod szoku-
jącej nieraz warstwy aneg-
dotyczno-językowej, jest tym,
co sprawiło zawód i złeche-
dło część naszej opinii czytel-
niczej.

A jakie jest miejsce „Zmier-
chu” w pisarstwie Izaaka Ba-
bela? Trudno, oczywiście, poro-
wnywać utwór sceniczny z
twórczością prozatorską, nieza-
leżnie więc od tego, że jak mi się
wydaje, „Zmierch” nie osiąga
siły artystycznego wyrazu
najcenniejszych opowiadań z
kręgu żydowsko-odeskiego, gu-
bi bowiem sporo z rozrzuconej
i oryginalnej metaforyki nar-
ratora opowieści na rzecz nie-
uniknionej rzeczowości dialogu
(nie przekazał przecież autor
widzom swojej osobowości sty-
listycznej w didaskaliach). Ta
odmienność tonacji „Zmierchu”
od pozostałych utworów, opie-
wających te same postacie, bie-
rze się też stąd, że główny bo-
hater gangsterskiego odeskiego
podziemia pełen mołojckiej
fantazji Benia Krzyk, staje się
tu zimnym i wyrachowanym
graczem.

Ale różnica chyba najważ-
niejsza, że epizodyczna postać
opowiadań Babela, żydowski wo-
zak Mendel Krzyk, w sztuce
jest osi wydarzeń jako ojciec
rodu, który trzyma mocno w
garści zarówno przedsiębior-
stwo, jak i rodzinę. Jego to

zmierch, czyli kres patriar-
chalnego porządku rodzinnego
obserwujemy na scenie, w czym
autor dopatruje się pewnej jak
gdyby gorzkiej sprawiedli-
wości, ale nie na tym polegającej
— jak daje do zrozumienia
sentencjonalnie Ben Zacharia, że
starych zawsze luzują młodzi,
gdyż widzimy, iż stało się to
gwałtem, na co żydowski „za-
kon” nie zezwala.

Czy jednak pierwszego im-
pulsu temu nieposzanowaniu
praw przez Benia Krzyka i
przez Lowkę nie nadał nie-
świadomie stary Mendel, kiedy
to, jak sobie wyobrażamy, je-
go witalność i poczucie osią-
gniętej dzięki pieniądзом pozyc-
ji społecznej, kazaly mu wy-
lamać się z talmudycznych o-
kowów i opowiedzieć się za
hedonistyczną filozofią życia?
To już nie Żyd, to już korzy-
stający śmiało z uciech rosyjs-
ki kupiec. Babel pisze to w
1926 r., a umiejscawia akcję
w 1913, jest więc autor świad-
dom tego, co się stało ze sta-
rym ładem społecznym i po-
rządkiem rodzinnym, ale ro-
dzina Krzyków rozkłada się nie
z tego powodu, że niejako an-
tycypuje późniejszy przewrót
rewolucyjny: to przede wszy-
stkim stary Mendel zburzył
swoim przykładem wszelki re-
spekt dla żydowskiej religijnej
moralności swoich dzieci i dla-
tego żadne pouczenia moralne
bożniczych szamesów nie na-
kłonią ich do znośnienia ojcow-
skiego wyzysku. I uważam, że
zawiera się w tym wskazanie
dla interpretacji postaci obu
głównych antagonistów.

To słuszne, że realizatorzy
nie poszli na łatwą i zapewnia-
jącą niezawodny sukces żydo-
wską rodzajowość, która zwi-
szcza w postaci szmonecu ma
zawsze szalone wzięcie, toteż
aktorzy nie żydzący, co naj-
wyżej markują umowny wscho-
dzą zaspiew, zresztą sam tekst
zawiera w polskim tłumaczeniu
sporo smakowitych leksykal-
nych i frazeologicznych kask-
ków, charakteryzujących posz-
czełone postacie.

Miejsce akcji nie jest ściśle
określone przez dekorację, by-
łoby to zresztą ze względu na
wielokrotność zmian dość kło-
potliwe. Dekoracja o dużej u-
rodzie malarskiej polega na
współistnieniu przez cały czas
różnych elementów sytuujących
akcję z równym powodzeniem
w różnych miejscach — na
cmentarzu i w świątyni, w
kuchni i we wnętrzu mie-
szkań.

Sztukę przygotowano staran-
nie z wielkim pietyzmem dla
tekstu, praktycznie bez prze-
stawień i skrótów, i choć chwi-
lami pojawiają się pewne dłu-
żyzny, działania sceniczne to-
czą się na ogół wartko i sprawnie,
a sytuacje zająłają logi-
cznie. Przed wszystkim nale-
ży podkreślić dawno nie ob-
serwowany w tym teatrze tak
wyrównany poziom gry aktor-
skiej, i to przy licznej obsadzie.

W głównej roli Mendla LUD-
WIK BENOIT zbyt może po-
czątkowo pograżony w sobie i
zbyt mało skorzystał wobec o-
toczenia, nie tłumaczył swoim
zachowaniem kłótów i ziorzeczeń
rzucanych na jego głowę przez
najbliższych. Za to w knajpie
prekonując z manifestował
swoją jurność, tworząc dla
kontrastu z późniejszym le-
kciem i prostracją. W niewiel-
kiej roli jego żony Mechamy
MARIA BIAŁOBRZESKA za-
warła prawdę psychologiczną
osoby uciemiężonej przez des-
potę, a później solidarności z
bezradnym. Wlarygodną postać
filozofującego szamesa Arie-Lej-
ba stworzył JÓZEF ZBIROŃ.
Konsekwentnie przeprowadziła
charakterystyczną rolę przebie-
głej handlarzki Jewdokii BAR-
BARA WALKOWNA. Żydow-
skim elegantem w każdym ca-
lu, który zawsze umie się zna-
leźć i załpmonować prostacz-
kom światowym „fasonem” był
PIOTR KRUKOWSKI jako Me-
jsje Bojarski. Osobna sprawa,
to rola Benia Krzyka, wpraw-
dzie w najzwyklejszej zgodzie
z tekstem zbudowana przez
MARKA LIPSKIEGO, w któ-
rego postaci, niestety, nie roz-
poznajemy idola odeskiego mar-
ginesu i wcześniejszego niż
„Zmierch” opowiadania „Król”,
gdzie każe podpalić milicyjny
cyruł, aby wesele siostry
Dwojry miało nie zakłócony
przebieg.

Świetną, bardzo nastrojową
muzykę skomponował Jerzy Sa-
tanowski, należyte wykonały
swoje zadania chóry: męskiej fil-
harmonii pod kierownictwem
Marka Jaszczaka i dziecięcy
szkoły muzycznej im. Wieni-
awskiego pod kierunkiem Mi-
sława Kuchowicza.

Usatysfakcjonował nas ten
„Zmierch”, zwłaszcza jeśli jest
to symptom odzyskiwania kon-
dycji artystycznej przez Teatr
Nowy.

JERZY KWIECIŃSKI

Izaak Babel: „Zmierch”, sztuk-
ka w dwóch częściach, prze-
kład — Jerzy Pomianowski,
Reżyseria — Jan Bratkowski,
scenografia — Krzysztof Pan-
kiewicz, muzyka — Jerzy Sa-
tanowski. Premiera w Teatrze
Nowym w Łodzi.

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obejzajowa

PRZEMIANY PŁCI CZYLI DZIWNE PRZYGODY KAWALERA DE EON

„Sławna owa panna d'Eon, która niegdyś
była kapitanem dragonii, ma być na wygnanie
skazana, iż nie mogąc znieść biogłowskiego
stroju, na ochotnika na flocie służbę przyjęła
chciała” — pisano we Francji w marcu 1779 r.
i skwapliwie powtórzono na łamach „Gazety
Warszawskiej” w numerze 28 z 7 kwietnia te-
goż roku. Rozpisywano się na ten temat już
wcześniej bo ni stąd ni zowąd powszechnie
znany dyplomata i dzielny kapitan wojsk fran-
cuskich Karol Genowefa Ludwika August An-
drzej Tymotea Eon de Beaumont (1728—1810)
zrzucił mundur wojskowy i przeistoczył się w
kobietę. Nie wiedziawszy wówczas o tym że Lu-
dwik XV lubujący się w prowadzeniu róż-
nych gier dyplomatyczno-szpiewgowskich wy-
korzystując zewnętrzne cechy kobiecego pana ka-
pitana polecił mu przeistoczyć się w przystojną
choć nieco już przywidła panna Genowefa.
Wszelkowiedczą prasą rozpowszechniała wieść
o hermafrodytyzmie pana de Eon, odwołując
się do mitologicznej opowieści o Tyrejszku,
który, według Hezjoda, napotkawszy na górze
Cyllenkiej spókujące węże uderzył je kijem,
za co został zamieniony w kobietę. Informacja
prasowa w połączeniu ze znajomością mitolo-
gii posłużyła Józefowi Epifaniemu Minasowi-
czowi do napisania wiersza „O kapitanie d'Eon,
francuskim czasów naszych hermafrodycie
(Zbiór mniejszy poezji polskich, Warszawa
1782):

Wiem o Tyrejszku z poetów powieści,
Ze zrzuciwszy płód męską, wszedł w szereg
niewieści.

Za bajeczną tę jednak miałem dotąd nowinę,
Dokąd prawdę jej d'Eon nie wazył się do-
wiedzieć.

Swoim przykładem, stawszy się biogłowca z
męża,

Choć z samicy nie wyciął kijem samca węża.
Nie wiem, jakim uczynił tę przemianę du-
chem.

To wiem, że wstyd jest z męża stać się nie-
wieszcuchem.

Warto dodać, że d'Eon, gdy był jeszcze ofi-
cerem w służbie dyplomatycznej, zwiędł nasz
kraj w podróży do Petersburga i opublikował
traktat o polskich prawach i konstytucji „Es-
say politique sur la Pologne” (Warszawa 1764).
Interesujących się problemem hermafrodytyzmu
w poezji polskiej odsyłam do wiersza Daniela
Naborowskiego „Do jednego hermafrodyty”.

Na Nowy Rok

Kiedy Rok Nowy znoum się razi

A z nim nadzieja świta nam nowa,

Ze może lepszy czas nam nadchodzi

Pełniejszy w czyny niż puste słowa.

Ze może przecież w tej głupekto plejadzie

Znajdziemy drogę i rozwikłanie,

Wrzaz z czasem idąc — na tej zasadzie

Niesiem wam nasze powinszowanie.

„Diabeł” 1963 nr 1.

DO PRZESWIETNEJ WIDOWNI

W połowie grudnia 1827 r. mieszkańcy Kielc
ujrzeli rozlepię na murach domów afisze tej
treści:

Prześwietna i łaskawa publiczność Młodzie-
niaszek dopiero zaczynający w zawodzie sceno-
komikno-figlarnym, ma honor, polecić się
prześwietniej publiczności, abyś nie żałowała
dla niego swych brzęczących starości, a on do-
łoży starań, by sztuki na jego skabianie się
przeznaczone. Szanownych Widzów zabawić
mogły.

Cena miejsc już od dawna dobrze Wam wia-
doma.

Ale ja rad bym przyjął obiema rekoma.
Najmniejszy, najuniższy służa, podnózek i
podnózek Jakubek Daniel Frolowicz.

Tekst owej perory przekazał jakiś kielczanin
redakcji „Kurieru Warszawskiego”, która ogło-
siła go w numerze 203 z 30 lipca 1828 r.

PREMIER WIRTOUZ

Gdy w 1919 r. Paderewski odwiedził w Pa-
ryżu premiera Clemenceau, by mu się przed-
stawić w charakterze premiera Rzeczypospolitej
Polskiej, tenże przywitał go serdecznie sło-
wami:

— Bardzo mi miło osobicie poznać wielkiego
mistrza fortepianu.

Zaskoczony tymi słowami Paderewski, ode-
zwał się:

— Nie, mój panie, obecnie jestem premierem.

Na to odpowiedział Clemenceau:

— Mistrzu fortepianu, prezydentem ministrów!

Mój Boże, co za upadek!

„Kurier Literacko-Naukowy” 1935, nr 32

TAKIE SOBIE SKIROŁAWKI 1.

Hanka nachyliła się bardziej ku Kuźmnie.
Lecichno oparła swą pierś naga, płonącą o-
gniem o rozpięty tużarek Kuźmy. Lekko przy-
sunęła się bliżej... Tużarek rozpięty, kamizelka
leż; przez odchyloną koszulę widać suchotniczą
porosła włosem pierś...

Dotknęła nieznacznie nagim końcem pierś
złótkiego ciała Kuźmy. Zawrot iskier wbiegł
w jego zmarle plicowe ciało: dźwięk. Był tak
zatoniony w tem, co mówi, że nie zwrócił na
to uwagi...

e.d.n.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

„...Z nadzieją, że nie są ostatnimi...”

Samotna kobieta siedzi przy stole w obskurnej, brudnej kuchni i je kawałek świeżo upieczony. To jedno ze zdjęć Tomasza Tomaszewskiego przedstawiające 92-letnią Żydówkę Leję Szmidt. Wszystkich jej krewnych zamordowano w czasie wojny została sama. Tylko czasem odwiedza ją znajomy, który przywozi chleb z warszawskiej gminy.

Teraz inne zdanie. Żółty piasek wypalona słońcem trawa i sylwetka chudego dziedziczącego psa wśród pokruszonych tablic cmentarnych i powrastających w ziemi szarych kamiennych nagrobków. To cmentarz żydowski w Karcezie.

I jeszcze jeden stary Żyd — 82-letni Jonasz Stern, przed wojną jeden z czołowych malarzy awangardowej Grupy Krakowskiej. Teraz żyje samotnie w mieszkaniu-pracowni mając za jedynego towarzysza ulubionego kota, którego nazywa Synkiem.

Co pozostało po tych ludziach? Co ocalało na ziemiach polskich z wielkiej i bujnej kultury? Czy żydowska współczesność to tylko starzy samotni ludzie ostatnie synagogi zamieniane na składowiska opaliwo i zdewastowane cmentarze?

Polska przedwojenna była światowym centrum kultury żydowskiej. Żyło tu, pracowało i tworzyło trzy i pół miliona ludzi, którzy stanowili osobną, bardzo egzotyczną społeczność, ale przecież byli oni częścią naszego społeczeństwa. Właśnie na polskiej ziemi przez prawie tysiąc lat królowali i księża starali się rozwiązać jeden z najzawilszych i najbardziej skomplikowanych problemów świata, problem współżycia ludzi, wyznających odmienną wiarę a zamieszkujących jedną ziemię. I oto z dumą można stwierdzić, że dekrety i przywileje wydawane przez polskich władców dla „starszego brata Izrael” — używając słów Adama Mickiewicza — wykazywały o wiele więcej zro-

zumienia dla zasad swobody religijnej niż współczesne ustalenia w tej sprawie w wielu krajach nekanych zamieszkałymi.

Nadeszła druga wojna światowa połynęło morza krwi polskiej i żydowskiej. Wśród mak i katuszy nieznanymi dotąd w historii Europy wymordowano naród. Zginęło żydostwo polskie.

Ci którzy przeżyli stracili rodziny, urzycioli zostali sami. Teraz w Polsce żyje ich już tylko kilka tysięcy. „Jesteśmy ostatni, definitywnie” słyszeć często Małgorzata Niezabitowska i Tomasz Tomaszewski, kiedy ze sprzętem fotograficznym pięć lat jeździli po kraju, troniąc ślady zanikającej kultury.

Pięć lat pracy. Efekt — ponad siedem tysięcy zdjęć i kilkaset stron tekstu który sami nazwali „historia nieobecności”. Zmudna to była praca, ponieważ jakże często musieli przejmować nieufność i zyskiwać akceptację zamkniętych środowisk żydowskich. Ale najtrudniejszy był początek. Egzotyca tematyka, jakże obca współczesnemu pokoleniu Polaków rodziła pierwsze trudności. Tak mało wiemy o ludziach, którzy jeszcze czterdzieści lat temu zamieszkiwali te same miasta i dzielnice, w których żyli nasi rodzice czy dziadkowie. Te zamknięte społeczności znany nauce i sztuce i opowiadań starszego pokolenia i dwukrotnie wiecza czy Horacego Safrina. Szczególnie znane są te problemy mieszkańcom Warszawy i Łodzi, gdyż właśnie te miasta stanowiły przed wojną największe skupiska polskich Żydów.

Wielokrotnie wzajemna niechęć i urażenie. Dlatego zbierając materiał Tomasz Tomaszewski i jego żona często musieli pokonywać podświadome uprzedzenia i stereotypy dotyczące Żydów i stosunków polsko-żydowskich. Musieli przełamywać nieufność, by móc aparatem fotograficznym towarzyszyć w życiu codziennym ludzi

którzy często są już ostatnimi Żydami w swoim mieście czy miasteczku. Brali udział w uroczystościach rodzinnych i religijnych ze świadomością że może odbywać się one już ostatni raz. Taka uroczystość obchodzona no raz pierwszy od trzydziestu lat utrwaliła jedno z unikatowych zdjęć.

Bar Micew Mateusza Kosa to uroczystość odbywająca się w synagodze zwykle w pierwszy szabat po trzynastych urodzinach chłopca — jąca mu pełne prawo do uczestnictwa w religijnych obrzędach jako dorosłemu członkowi gminy. Wiele zdjęć ukazuje ostatnie polskie bóżnice, w których modli się kilku Żydów a większość ławek pozostaje pusta. „Była nas Żydów coraz mniej i mniej. I tak topniało aż stopniało”. Te słowa Mateusza Zobermana przesłałami umieszczone są jako komentarz pod zdjęciem modłów w lubelskiej bóżnicy.

Na jednym ze zdjęć utrwala sobotnia modlitwa w synagodze w Łodzi. Kłopot smutku i zadumy nad tym, co pozostało wrowadzenia sędziecia, opuszczonych, zdewastowanych cmentarzy żydowskich Zburzone ogrodzenia potłuczony tablice nagrobne, żelazne bramy z gwiazdą Dawida, które prowadzą donikąd.

Szczególnie dwa zdjęcia stanowią łącznik między państwem cieni a teraźniejszością. Oba z nich to hołd złożony kilku milionom Żydów, którym hitlerowski okunant zgotował śmierć na polskiej ziemi. Pierwsze wykonane w sierpniu 1984 — wspólne modlitwa w czasie „Marchy pamięci” zorganizowanego na trasie, jaka przeszła czterdzieści dwa lata wcześniej Żydzi pędzeni z getta w Rembertowie do Falenicy. Drugie z tych zdjęć stanowi unikat. Papież Jan Paweł II modlił się przed pomnikami Bohaterów Getta w Warszawie podczas swojej drugiej nieigrzynki do Polski. Tylko pięciu reporterom spośród pięćset akredytowanych udało się udokumentować ten jeden symboliczny gest ponieważ Papież przybył pod Pomnik z własnej inicjatywy poza oficjalnym programem wizyty.

Współczesność na wystawie reprezentowana jest przez ogromny cykl zdjęć dotyczący działalności Teatru Żydowskiego. Przedstawienia, próby, a także prywatne życie Szymona Szpurnia, dyrektora i kierownika artystycznego teatru. Goldy Tencer i pozostałych aktorów. Trudne ale na pewno nie szare życie ludzi którzy od trzydziestu pięciu lat upowszechniali teksty żydowskich dramaturgów a swoją era przetrzymują poetycki świat starych obrzędów religijnych, zwyczajów, przypowieści, kabalistycznych zakleć i rytualnych wierszy.

Wystawa Tomasza Tomaszewskiego prezentowana w galerii na Placu Zamkowym 14 grudnia 1985 r. uświetniła jubileusz 35-lecia Teatru Żydowskiego. Można ją jeszcze oglądać w foyer Teatru, a w najbliższym czasie prezentowana będzie krakowskiej publiczności.

Wystawa ta jest wyjątkowo ciekawa ze względu na podjętą tematykę, ale jest także w pewnym sensie nietypowa, ponieważ zarówno układ jak i wybór zdjęć podporządkowane są książce która zostanie wydana w 1989 w Nowym Jorku pod tytułem „Contemporary Polish Jews — Remnants” (Współcześni Żydzi Polscy — Ostatni).

Zdjęcia zaprezentowane na wystawie o tym samym tytule wejdą w skład książki. Oto jak Małgorzata Niezabitowska i Tomasz Tomaszewski zadedykowali plan swoich pięcioletnich poszukiwań:

„Wystawę tę chcielibyśmy zadedykować polskim Żydom Tym których poznaliśmy podczas pięciu lat pracy tym, którzy stali się naszymi przyjaciółmi, a także tym, których nie udało nam się spotkać — z nadzieją, że jednak i mimo wszystko nie są oni ostatnimi”

BEATA SZUSZWEDYK



Zapiski liryczne

Ivo Andrić jest jednym z najlepiej znanych i najwyżej cenionych w świecie pisarzy jugosłowiańskich. Szeroko tłumaczony, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1961 roku wyraźnie zaznaczył swą obecność także na polskim rynku wydawniczym, popularność i uznanie zdobywając głównie dzięki powieściom historycznym, napisanym niezwykle barwnie, z imponującym, epickim rozmachem. Przeciwnemu czytelnikowi Andrić jest znany właśnie jako pisarz historyczny, poświęcający swe utwory dziejom XIX-wiecznej Bośni, w której pisarz urodził się i wychował, i której egzotyczną specyfikę z powodzeniem próbował odtworzyć na kartach swych powieści. Jest to jednak tylko jedno oblicze Andrića, a przecież łatwo jest wyrzucić krzywdę artyście, w uproszczony sposób klasyfikując go jako pisarza historycznego i prezentując jedynie część jego twórczego dorobku. Tymczasem w „Ex ponto”, książce wydanej obecnie przez Wydawnictwo Łódzkie w udanej serii jugosłowiańskiej jawi się nam także inny Andrić — liryczny, poeta, myśliciel, na pozór mający niewiele wspólnego z autorem np. „Mostu na Dnieprze”, a jednak, jak wykazał liczący komentarz pisarza doświadczenia i przemyślenia z „Ex ponto” stanowiąc istotny element późniejszej prozy fabularnej Andrića. Niektórzy krytycy twierdzą nawet, iż Andrić do końca pozostał wierny linii swej wczesnej twórczości, że prawdziwy Andrić jest refleksyjnym intelektualistą oddającym się lirycznym medytacjom i, tak jak w „Ex ponto”, schowanym za mądrymi, głębokimi aforystycznymi sentencjami i spostrzeżeniami. Czy jest tak w istocie, czytelnik winien osądzić sam, wykorzystując nadarzającą się możliwość porównania debiutanckich utworów z dziełami już dojrzałego i w pełni ukształtowanego pisarza.

Prowadzona w pierwszej osobie narracja,

znaczna ilość wątków osobistych oraz brak jakiegokolwiek ciągłości, chronologicznej czy treściowej, sugerowałyby, że oto mamy przed sobą coś w rodzaju poetyckiego dziennika, którego autor w śmiały, niekonwencjonalny sposób przedstawia się publiczności. Wydaje się jednak, że „Ex ponto” nie wykazuje większego podobieństwa do klasycznie rozumianego dziennika czy pamiętnika z lat młodości — uderza nas w tej książce różnorodność tematów i problemów, opracowanych przez autora w sposób skrótowy, skondensowany, bogato stylizowany, lecz równocześnie niejednoznaczny. Są tutaj zgromadzone nie tyle osobiste przeżycia Andrića, co raczej ich odcienie, poddane poetyckiej, gorącej interpretacji, są tu klerkegardowskie medytacje nad losem pojedynczych ludzi i całych zbiorowości, są drobne sceny z życia i metafizyczne anegdoty. Całość stanowi bardziej brulion aniżeli dziennik, ważniejsza jest literackość i metafora tych zapisków, natomiast ich zgodność lub niezgodność ze stanem faktycznym zostaje przesunięta na drugi plan. Realny świat wraz ze swoją rzeczywistością staje się tu, na którym rozgrywa się prawdziwy dramat, dramat myśli i uczuć, i dlatego Andrić świadomie rezygnuje z wszelkich prób obiektywizacji, jako lotny, wrażliwy, umysł atakuje pojawiające się w nim pytania ze skrajnym subiektywizmem, badającym konsekwencje uważnej samoanalizy, duchowego i fizycznego odosobnienia zmagającego się z samym sobą pisarza. Niebagatelną rolę gra tu także ówczesna sytuacja życiowa młodego Andrića, jego uwiecznienie i przymusowe zesłanie, współodpowiedzialność za losy kraju w obliczu zbliżającej się I wojny światowej, nadzieja i oczekiwanie na lepsze zmiany jutro. I choć w „Ex ponto” mocno rozbrzmiewa gorzki głos osobistej skargi i jednostkowego cierpienia, to

jednak Andrić pozostaje wolny od prymitywnego partykularyzmu, zdaje sobie sprawę z nielatwej prawdy, że wszelkie przeobrażenia uzyskują doniosłe znaczenie zwłaszcza wtedy, kiedy dotyczą świata, kiedy ich skala przetrasta pojedyncze indywidua.

Jest rzeczą naturalną, że początkujący twórca, jakim był Andrić w czasie pisania „Ex ponto”, nie od razu poradził sobie z egzaltowanym, wybujałym, odziedziczonym po modernistach stylem. Wczesne opowiadania Andrića nasycone są młodzieńczym niepokojem, rozterkami, bije z nich żar gorączkowych poszukiwań odpowiedzi na podstawowe pytania dotyczące kondycji ludzkiej, odwołania się przed nami tajemnicy strasznej, bo nieogarnionej, osobowości człowieka. Nie jest to jeszcze Andrić potężny, pewny siebie, ale już dosięgający najbardziej istotnych prawd samotności, już drążący wnikiwie poczucie egzystencjalnego absurdu i konsekwentnie badający swój stosunek do świata. W „Ex ponto” odnajdujemy interesującą próbkę niepospolitego talentu Andrića, jego pasję i miłość do ludzi, której szczególnie w tych wczesnych utworach nie sposób nie zauważyć. Parafrazując pisarza można powiedzieć, że po przeczytaniu „Ex ponto” pozostaje zaduma i cisła zamyślenie, że mądrość tej książki i celność zawartych w niej wniosków prowokuje do ciągłego powrotu do niej, do podjęcia dialogu z autorem. I dlatego właśnie obok walorów historycznoliterackich niezaprzeczną wartością prozy poetyckiej młodego Andrića jest jej uniwersalna aktualność poznawcza, bez której dzieła mniejszego kalibru starzeją się tak szybko i bez śladu opadają w zapomnienie. „Ex ponto” jest pozycją, która z pewnością zasługuje na uwagę ze strony krytyki, jak też i na baczną lekturę wszystkich miłośników bośniackiego pisarza, którego twórczość należy do najważniejszych osiągnięć współczesnej literatury europejskiej.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Ivo Andrić — „Ex ponto”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1985, wyd. I, nakład 5000 egz.

Wydawcy proponują

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, które od pewnego czasu zwraca uwagę wlicie interesujących inicjatywami twórczymi ukazała się książka Alicji Helman „Przedmiot i metody filmoznawstwa” (nakład 2000 egz. cena 200 zł). Od czasu wydania „Wprowadzenia do wiedzy o filmie” Bolesława W. Lewickiego (Wrocław 1964) prace Helman należy uznać za najważniejsze osiągnięcie polskiego filmoznawstwa. Autorka podejmuje w swojej książce podstawowe i generalne problemy teorii filmu, metodologii, analizy dzieła filmowego oraz inspiracji poznawczych dla badań nad filmem, które niosa z sobą współczesne dokonania semiotyki, antropologii kulturowej, socjologii i psychologii. Książka zaopatrzona jest w bibliografię, obcojęzyczne zapoznienia i indeksy.

W serii „Szkice” Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazały się ostatnio dwie książki. Pierwsza to zbiór rozpraw i szkiców Henryka Markiewicza „Świadomość literatury” (nakład 5000 egz. cena 250 zł, zawierałaby dziesięć artykułów teoretycznoliterackich. Autor rozważa w nich życie i osobę pisarza w polskich badaniach literackich, metodologiczne problemy charakterystyki opisowo-oceniającej i ewolucji myśli aksjologicznej w polskim literaturoznawstwie, a także rodowod i losy mitu trzech wieszczów stosunek pozytywistów do romantyzmu, recepcje estetyki Taine'a oraz rosyjskiej szkoły formalnej w Polsce.

Druga książka z wymienionej wyżej serii jest tom prac Andrzeja Z. Makowieckiego „Wokół modernizmu” (nakład 5000 egz. cena 180 zł). Zgodnie z tytułem wszystkie zawarte w książce szkice dotyczą różnorodnych zagadnień literatury Młodej Polski, także ówczesnego teatru i krytyki literackiej. Sprawy poruszane w tych szkicach można określić jako drugoplanowe wobec najważniejszych problemów polskiego modernizmu, jednak każda z nich stanowi cenne i istotne uzupełnienie krytycznoliterackiej wiedzy o Młodej Polsce.

W popularnonaukowej serii „Nauka dla wszystkich” sfinansowanej przez krakowski oddział Polskiej Akademii Nauk ukazał się szkic Stanisława Stabry pt.: „Legenda i twórczość Marka Hasiaka” (Ossolineum, nakład 15 tys. cena 45 zł). W oczekiwaniu na czterotomową edycję pism wybranych Hasiaka warto zgłądnąć do artykułu Stabry który jednak nie ustrzegł się paru interpretacyjnych uproszczeń. Mimo to, ta mała książeczka na jej wciąż nielicznych opracowań twórczości autora „Pierwszego kroku w chmurach” zasługuje na uwagę.

Piotr Sommer, tłumacz i edytor „Antologii nowej poezji brytyjskiej” (Warszawa 1983) uzupełnił ją — także z inicjatywy „Czytelnika” — książką „Zapiski rozmów, Wywiady z poetami brytyjskimi” (nakład 10 tys. cena 300 zł). Cenne i ciekawe to uzupełnienie, ponieważ wiedza polskiego czytelnika o współczesnych osiągnięciach i ewolucjach poezji europejskiej jest nader niska i pełna luk. A książka Sommera przynosi wywiady z czołową poetów brytyjskich ostatniego dwudziestolecia.

Z „Czytelnikowskiej” serii „Nike” księgarnia polecają dwie nowości. Pierwszą z nich można uznać za edytorski ewenement: „Siostry krzyżowe”, powieść Aleksiego Remizowa, (nakład 20 tys. cena 180 zł), to polska premiera jednego z najwybitniejszych prozaików rosyjskich XX wieku. Powieść ta, napisana w 1910 roku jest groteskowym moralitetem, utworem na wskroś oryginalnym, a jednocześnie nieodczynnym od najlepszych tradycji rosyjskiej prozy Gogola, Dostojewskiego, Leskova a kontynuowanych potem przez Bułhakowa, Tiumacz, Adam Pomorski, zaopatrzony w obszerny i intrygujący esej zawierający omówienie biografii i twórczości Aleksiego Remizowa.

Drugą nowością w „Niko” to „Dziennik Katarzyny Mansfield” (nakład 20 tys. cena 230 zł), znakomitej nowelстки angielskiej, znanej polskiemu czytelnikowi z tomów „Garden Party” i „Upojenie”. Dzienniki i pamiętniki pisarzy stają się często lekturą ciekawszą od tekstów stricte belewtrystycznych. Tak też jest — jak się zdaje — w przypadku tej angielskiej autorki. Jej „Dziennik” pisany w latach 1914—1923 krytyka uznaje za jeden z najcenniejszych dokumentów literackich XX wieku. Przekład Teresy Tatariewiczowej.

Na koniec rzecz dla czytelnika masowego czyli proponowane w jednym tomie Wydawnictwa Łódzkiego dwie powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Znachor” i „Profesor Wileczur” (nakład 50 tys. cena 500 zł). Arcydzieło polskiej Trivialliteratury okazuje się być — mimo jednoznacznie miażdżącej krytyki — wciąż żywo. Już widzę ten run na księgarnie nerwowe poruszenie wśród bazarowych handlarzy i wybieki na twarzach tysięcy czytelników.

GRZEGORZ GAZDA

Krajobraz z Marco Antonellim

Ma 22 lata, pochodzi z Neapolu. Jest jednym z ośmiorga rodzeństwa (czterech braci i trzy siostry). Jego ojciec jest nauczycielem muzyki i sam komponuje mu piosenki. Poza Neapolem jego nazwisko raczej nikomu nie mówi. Marco Antonelli znany jest jednakże w Polsce, zaproszony do Sopotu zrobił u nas coś w rodzaju kariery. Coś w rodzaju, bo chyba nie całkowicie jeszcze karierę. Powiem od razu, co myślę: to całkiem dobry piosenkarz, w naszym krajowym zlozku show-businessu pomógł mu włoskie nazwisko, ale u nas zrobił karierę nieznaną śpiewak z Grenlandii pod warunkiem, że ma ustawiony głos i na jego widok ludzie z pierwszych rzędów sali nie muszą w popłochu zrywać się z miejsc. Za tę ułomność narodową nie odpowiada show-business, tak już jest od paru stuleci, że przyjeżdża do nas ktoś z Zachodu i kłękamy przed nim na kolana. Widocznie tak musi być. Nic się w tym wcale nie zmienia.

Inna rzecz, że wcale u nas w kraju nie roi się o piosenkarzy choćby tej klasy, co Marco Antonelli. Nóż w kieszeni się otwiera, kiedy leci transmisja z Opola, jak na dżoni widać, na co nas stać i wszyscy dalibyśmy dużo, żeby to było San Remo. Niestety, nigdy nie będzie to San Remo, bo Polska, to nie Włochy, gdzie takich piosenkarzy jak Marco Antonelli są miliony. Nie ma też takich tradycji i takiej kultury muzycznej. Nie ma wielu innych rzeczy: konkurencji w show-businessu, mam na myśli prawdziwą konkurencję, gdzie gra toczy się między setkami ludzi i instytucji, a nie pomiędzy pięcioma na krzyż firmami i kilkunastoma cwaniakami, którzy zrozumieli na czym polega trick z inflacyjną złotówką.

Brakuje też rzeczy nieuchwytnych, od których należałoby zacząć: umykalnienia na taką skalę, pewnej wrażliwości, która nie może zrodzić się pod tym niebem, w tym klimacie, w scenarii zimnych nocy i dni pozbawionych ciepłego słońca. Nie zrodziła się i nie zrodzi, bo wypełnia nas co innego, wrażliwość zupełnie inna, nawet nie ta, która zrodziła rosyjską balladę Wysockiego i Biczewską, balladę, w której stopił się smutek olbrzymich przestrzeni z dramatem ludzkiego losu. Nas, choć brzmiał, w scenarii zimnych nocy i dni pozbawionych ciepłego słońca. Nie zrodziła się i nie zrodzi, bo wypełnia nas co innego, wrażliwość zupełnie inna, nawet nie ta, która zrodziła rosyjską balladę Wysockiego i Biczewską, balladę, w której stopił się smutek olbrzymich przestrzeni z dramatem ludzkiego losu. Nas, choć brzmiał, w scenarii zimnych nocy i dni pozbawionych ciepłego słońca. Nie zrodziła się i nie zrodzi, bo wypełnia nas co innego, wrażliwość zupełnie inna, nawet nie ta, która zrodziła rosyjską balladę Wysockiego i Biczewską, balladę, w której stopił się smutek olbrzymich przestrzeni z dramatem ludzkiego losu.

nawet odnalezienie przyczyn tego stanu rzeczy niczego w nim nie zmieni, bo wszystkie podskórne zjawiska rządzą się swoimi prawami, mają niekiedy „odwróconą” logikę (najlepsze kawałki z dobrymi, ciętymi tekstami powstają, nie tylko u nas, w czasach ogólnie trudnych, gdy w ten czy inny sposób ograniczana jest naturalna ludzka skłonność do nieskrępowanego życia), daremne zatem byłoby wywoływać je na powierzchnię życia mocą słowa.

Jest więc, jak jest, czyli smutnawo i banalnie. Wystarczy, by ktoś o obcym, dobrze brzmiącym nazwisku, poprawnie zaśpiewał tekst, który ludziom nie absolutnie nie mówi, z jakąś miłą dla ucha frazą i jeżeli jest jeszcze w pobliżu niego „prawdziwa polska dziewczyna” (warunek: rzecz dzieje się w kraju) — ma u nas zagwarantowany automatycznie wikt, opierunek i spanie łącznie z występami w telewizji, krajowym tournée najpierw po miastach większych, następnie mniejszych, aż do takich, które ledwo widać z mapy.

Marco Antonelli ma dopiero 22 lata. We Włoszech, pardon, w Neapolu, łapie od czasu do czasu jakiś występ za 500 dolarów (tyle wynosi najniższa z możliwych stawka dla włoskiego piosenkarza, kiedy produkuje się gdzieś w plenerze razem z innymi kolegami po fachu) i czeka na uśmiech szczęścia. W ciągu miesiąca może mieć takich występów kilka, może też mieć ich mniej niż kilka. W ten sposób można żyć długo, a nawet bardzo długo, czego dowodzi przykład popularnego dziś Shakin Stevensa. Jest on wręcz znakomitym przykładem na to, że wytrwałość czyni cuda. Całymi latami naśladował manierę piosenkarza Elvise Presleya i trzeba było dopiero śmierci króla rock and rolla, żeby odkryty został człowiek, który stanowi przedłużenie jego estradowego wizerunku. Każdy, kto oglądał i słuchał Stevensa podczas wywiadu dla naszej telewizji mógł przekonać się na własne oczy i uszy, że ma do czynienia z zupełnie nie zamierzonym człowiekiem, pozbawionym wręcz cech gwiazdorstwa, skromnym, ułatwiającym życie dziennikarzom, którzy prowadził z nim rozmowę (to przecież oni byli mniej naturalni). Tęgo wstydnego nauczyło Stevensa życie, koncertowanie po rozmaitych dziaarach Anglii, nagrywanie 45-tek, które nie rozchodzily się nawet w setkach egzemplarzy, czekanie na zmilowanie losu. Można mu pogratulować spokoju ducha w tej sytuacji, później idzie już wszystko jak po maśle: nagle znajdują się najlepsi do komponowania piosenek, pisania tekstów, robienia reklamy. Właściciele wytwórni, które tłoczą krawki dla milionów chętnych do ich kupna ludzi zacierają ręce, bo interes kręci się jak dia-

bl. Ci, którym nie udało się załapać, plują sobie w brodę i smętnie spoglądają w niedaleką przeszłość, gdy było to jeszcze możliwe. Ale czy naprawdę? Zagralo szczęście.

Dla Marco Antonellogo Polska okazała się portem dobrym na przycupnięcie, na przeczekanie czasu, w którym niewiele się dzieje dla jego kariery. Jest więc prawdopodobnie zadowolony, Polska, to mimo wszystko o wiele więcej niż Neapol. Na występy w Polsce ludzie przychodzą tylko dla niego, nie zaś po to, żeby posłuchać jakichś piosenkarzy produkujących się w jedno z popołudni na przedmieściach miasta, a wśród nich jakiegos Antonellogo. Tam jest tylko jednym z wielu, tutaj jest już kimś rozdaje autografy, serwuje swoje podobizny i płyty — setki rąk wyciągają się do niego. Smak kariery jest namacalny. Dziś na razie tu, jutro być może tam.

Kolo kariery Marco Antonellogo kręci się powoli. Do jakiego stopnia jest to sytuacja niełatwa dla samego piosenkarza niech świadczy fakt, że jego menażer — Janusz River-Strzelecki, Polak posiadający od dwunastu lat obywatelstwo włoskie — zorganizował mu w tym roku tournée przypominające maraton: 107 koncertów do końca roku! Pierwszych 106, według obmyślonego scenariusza, to imprezy eliminacyjne dla wyłonienia dwunastu „prawdziwych polskich dziewczyn” śpiewających razem z Antonellim przebrzmiały już sopacki szlagier — anno 1984 — „Frontiera”. Ostatnia, sto siódma impreza finałowa pozwoli wybrać tę najlepszą następczynię Haliny Benedyk, rzeczywicie „prawdziwą polską dziewczynę”, która wyjedzie z Marco Antonellim do Włoch i nagra z nim małą płytę w wytwórni Cinevox-Roma. Piosenka jest podobno już skomponowana i napisana jest do niej tekst. Tej prawdziwie gigantycznej akcji patronują Centrum Sztuki w Warszawie oraz Krajowy Komitet Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Ten ostatni nie bez kozery: z każdego sprzedanego biletu jedna pięćdziesięciotówka idzie na NCPK. Trzy pierwsze sondazowe imprezy wykazały, że rzecz została kupiona, impreza finansuje się, 4-godzinna dyskoteka poprzedzona co najmniej godziną eliminacją do duu z Marco Antonellim przyciąga młodzież z prowincjonalnych miast, a kręcony obecnie przez telewizję krótkometrażowy film (w Polsce i Neapolu), z którego mają być wykrojone teledyski, doda pieprzu do całej sprawy.

Ale dla Marco Antonellogo nie jest to chleb łatwy, na warunki jakie stawia mu jego menażer może się zgodzić tylko ktoś w jego sytuacji. Dobrze wie, że nie może się nie zgodzić. Może natomiast liczyć na to, że kiedyś ten dziwny kraj, w którym szczerze wyznaje: „Ja nie mówię po polsku”, wywołuje oklaski, nie skąże go na mordercze tournée składające się z 107 koncertów w miastach mniejszych od dzielnic Neapolu, a co najwyżej na 2 lub 3. Jest to możliwe pod warunkiem, że jego nazwisko zacznie być znane w całych Włoszech, a także poza nimi. Czy Marco Antonelli sprawi nam kiedyś tę satysfakcję?

WŁADYSŁAW MAŁKA

dodać, że reżyserem „Labiryntu” jest, znany m. in. z „The Muppet Show”, Jim Henson, a producentem — George Lucas. Mając wokół siebie takich fachowców Bowie może być pewien, że jego nowa rola przypadnie do gustu kinomanom. Sądzą jednak, że sympatcy twórczości muzycznej Bowie chętnie posłuchaliby też jego kolejnych nagrań, a na te — wydaje mi się — przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać.

Wprawdzie Bob Geldof na brak popularności ostatnio nie może narzekać, jednak kierowaną przez niego grupie The Boomtown Rats nie wiedzie się najlepiej. Nowy album zespołu („In the Long Grass”) rozszedł się w dość niskim nakładzie 75.000 egzemplarzy, a firma Columbia Records postanowiła zakończyć z nim współpracę. Geldof musiał poszukać innej wytwórni, dla której The Boomtown Rats mogły nagrywać. Przypomnę, że Bob Geldof rozkreślił ponad rok temu akcję dobroczynną na rzecz głodujących mieszkańców Afryki nawiązując najpopularniejszych brytyjskich wykonawców, aby zaśpiewali piosenkę „Do They Know It's Christmas?”, która szybko stała się przebojem. Kilka miesięcy później ukazała się ślinna płyta „We Are the World”, a uwieńczenie wysiłków Geldofa były lipcowe koncerty „Live Aid”. Szacuje się, że dzięki wszystkim przedsięwzięciom, które inicjował lider grupy The Boomtown Rats zebrano około 80 mln dolarów. Sądzą, iż w tym kontekście fakt, że longplay „In the Long Grass” cieszył się niewielkim zainteresowaniem melomanów jest bez znaczenia.

Podczas gdy jedni wykonawcy zbierają pieniądze, aby przekazać je głodującym, inni walczą o zwiększenie własnych — i tak niemałych — dochodów. Elton John i Bernie Taupin oskarżyli wydawnictwo Dick James Music o zatrzymanie części należnych im tantiem od ponad 140 utworów, które napisali w latach 1967—1975. W tym okresie ukazały się chyba najpopularniejsze płyty Eltona Johna, m. in. podwójny album „Goodbye Yellow Brick Road”. Ostatnio londyński sąd orzekł, że spółce John-Taupin należy się odszkodowanie w wysokości ok. 7,3 mln dolarów. Kwota ta jest być może szokująca, jednak wydaje mi się, że takie niezapomniane kompozycje, jak „Candle in the Wind” czy „I've Seen That Movie Too” są jej warte. Niestety najnowsze nagrania Eltona Johna nie dorównują tamtym sprzed lat. Podobną opinię można wyrazić na temat współczesnej twórczości wielu innych zasłużonych gwiazd estrady. Oczywiście każde wydarzenie dotyczące takich wykonawców jak Paul McCartney czy Pete Townshend jest skrajnie odnotowywane przez dziennikarzy, jednak nie wzbudza zazwyczaj tak wielkich emocji jak dawniej. Być może w 1986 roku weterani światowych estrad powrócą na listy przebojów z nowymi interesującymi nagraniami, czego życzę im oraz wszystkim ich wielbicielom.

GRZEGORZ WALENDA

Kronika kulturalna

STUDENCI IV roku Wydziału Aktorskiego PWSTFiTV w Łodzi odnieśli poważny sukces na Pierwszym Europejskim Festiwalu Szkół Teatralnych w Alés (Francja). W silnej konkurencji, współzawodnicząc z wieloma zespołami europejskimi i jednym kanadyjskim, zdobyli zdecydowanie Grand Prix za spektakl „Mari i Woyzecka” wg. Georga Buchnera, w reżyserii Adama Hanuszkiewicza ze scenografią Ewy Kwiatkowskiej.

Drugie miejsce zajął zespół bułgarski a trzecie kanadyjski.

Wyjazd naszej grupy studenckiej wisiał na włosku do ostatniej chwili, zdecydowała — jak zwykle w takich razach — dobra wola i zrozumienie...

Sukces grupy młodych aktorów, uznawanych za zdecydowanie dojrzały, w pełni profesjonalny zespół teatralny a także doświadczenia z poprzednich lat skłaniają kierownictwo uczelni do starań o powołanie w Łodzi stałej sceny studentów PWSTFiTV — sceny, prezentującej nie tylko spektakle dyplomowe (jak właśnie wymieniona inscenizacja) ale także inne dokonania młodych artystów. Scena taka dawałaby szansę utrzymywania przez czas jakiś w jednym zespole dyplomatów, których wspólne osiągnięcia warte są — jak w omawianym przypadku — próby utrwalenia i powtórzenia.

„Mari i Woyzecka” pokażą młodzi artyści w Kanadzie, Jugosławii i Szwajcarii. W Łodzi można będzie zobaczyć ten spektakl na scenie Teatru Studio 63 im. J. Tuwima na początku marca br.

CIĘKAWA wystawę otwarto w ubiegłym tygodniu w łódzkim Muzeum Sztuki. Nosi ona nazwę „Dekoracja fabrykanta łódzkiego”. Ze zbiorów kilku muzeów zebrano eksponaty typowe dla mieszczańskich wnętrz łódzkich z końca XIX i początków XX wieku. Na wystawie zobaczyć można — w ciekawie zaaranżowanych wnętrzach — dzieła sztuki, meble i przedmioty użytkowe z kolekcji Hainzów, Biedermanów i innych znanych łódzkich, zgierskich i pabianickich pałaców fabrykanckich.

STOWARZYSZENIE Twórców Kultury zainicjowało w ub. roku cykl spotkań z redakcjami najważniejszych pism literackich, artystycznych i kulturalnych ukazujących się w naszym kraju. Odbyły się już spotkania z redakcjami „Twórczości”, „Projektu”, „Literatury na świecie”.

14 lutego odbędzie się spotkanie z redakcją „Dialogu”. W następnych miesiącach przewidziano „Radar”, „Więź”, „Fotografię” i „Literaturę”.

TOWARZYSTWO Przyjaciół Sieradza zorganizowało wystawę pn. „Fotografie prasowe o starym i nowym Sieradzu”, eksponowaną z okazji rocznicy wyzwolenia Sieradza w czytelni Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej.

Na wystawie eksponowane są fotografie zamieszczone w „Chłopskiej Drodze”, „Dzienniku Łódzkim”, „Głosie Robotniczym”, „Kurierze Polskim”, „Trybunie Ludu”, „Nad Wartą” i w innych pismach, między innymi w „Odgłosach”.

MUZEUM Ruchu Młodzieżowego — Oddział Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi we współpracy z Domem Radzieckiej Nauki i Kultury w Warszawie zorganizował wystawę „Kosmos — gospodarce narodowej”. Wystawę można jeszcze zwiedzać w salach Muzeum, ul. Gdańska 13.

SZEREG bardzo interesujących imprez odbyło się bądź odbędzie w łódzkim klubie „Pod witrażem”, któremu patronuje Stowarzyszenie Twórców Kultury.

— Film Siergieja Paradzanowa „Sajat Nowa” prezentował Józef Robakowski.

— Odbyła się impreza pn. „Muzyka nie — medytacja” z udziałem Piotra Bikonta, Krzysztofa Knittela, Marcina Krzyżanowskiego Marka Nędzińskiego i Jacka Skalskiego.

Wkrótce potem prezentacja pn. „b.o.”, której patronował Piotr Bikont.

W dniach 6 i 7 lutego w sali STK prezentacja pn. „Zaburzenie przestrzeni — 0” (Małgozata Paruzel i J. Bogdan Paszkiewicz, a także prezentacja idei muzyki Johna Cage'a pt. „Cage — wynalazca muzyki”. Prowadzi — Jacek Szerszeniowicz, wtorek, 11 lutego g. 19.00).

OGÓLNOPOLSKI Przegląd Studenckich Teatrów Debiutujących „Start” odbędzie się (już po raz trzynasty) na przełomie marca i lutego w Kielcach.

Zgłosiło się już 21 debiutujących zespołów. Można zgłosić swój udział do dnia 10 lutego na adres „Alma Art”, Kielce 25-002, Sienkiewicza 59, tel. 603-62.

NADER ciekawie zapowiada się „Rockowisko” organizowane w lutym przez łódzkich oddział Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego. Wystąpią trzy nowe zespoły profesjonalne składające się ze znanych, popularnych solistów. Będzie wystąpiła zespół zapropnowane przez to Godzina Niespodzianek. W innym koncercie publiczność: Rendez-Vous, Dżem, Turbo, Daab, Republika i TSA.

Co słyszeć u gwiazd?

Od ukazania się w „Odgłosach” mojego ostatniego artykułu poświęconego Stingowi i jego solowej płytce, zatytułowanej „Sen o niebieskich zółwiach”, minęło już sporo czasu. Przypada, że w tym czasie oderwałem się nieco od spraw muzycznych, jednak całkowicie o nich nie zapomniałem. Zresztą sytuacja na rynku płytowym tak szybko się nie zmienia. Nagrania z autorskiego albumu lidera Police dopiero dziś cieszą się powszechnym uznaniem, a utwór „Moon Over Bourbon Street” można usłyszeć w naszym radiu kilka razy dziennie. Oczywiście pojawiło się niedawno sporo nowych albumów, w tym — jak zwykle o tej porze roku — parę tzw. „składanek” czyli longplayów zawierających największe przeboje popularnych wykonawców. Do najciekawszych wydawnictw postaram się jeszcze powrócić. Tymczasem kilka słów pragnę poświęcić gwiazdom estrady, które okres największej sławy mają już za sobą, ale nadal tworzą i posiadają szerokie grono wiernych wielbicieli.

Zacznijmy może od ex-Beatlesów. Niedawno brytyjskie czasopismo „Woman” opublikowało artykuł oparty na telefonicznym wywiadzie, jakiego Paul McCartney udzielił w 1981 roku Hunterowi Daviesowi — autorowi książki „The Beatles”. McCartney niepochwlebnie wyrażał się wówczas o Lennonie, twierdząc m. in., że jego dawny kolega z zespołu podpisywał się pod piosenkami, w których skomponowaniu miał znikomą udział. Podobno Lennon był też zazdrosny i podejrzliwy. Po ukazaniu się wspomnianego artykułu McCartney udzielił prasie następującej wypowiedzi: „Chcę wyjaśnić, że chociaż John Lennon nie był aniołem, to ja, jak miliony innych, bardzo go kochałem”. Tak ze swojej — być może zbyt pochopnej — opinii o Lennonie tłumaczył się Paul McCartney. Mimo dość przykrego posmaku całej sprawy, sam fakt, iż wzbudziła ona spore zainteresowanie jest potwierdzeniem niesłabnącej popularności, jaką cieszy się zespół The Beatles, mimo iż od jego rozwiązania minęło już 15 lat. Być może nawet nie wszyscy miłośnicy twórczości „chłopców z Liverpoolu” wiedzą, że Ringo Starr jest już dziadkiem, co wcale nie przeszkadza mu w nagrywaniu nowych płyt. Jego solowe longplaye nie cieszą się jednak dużą popularnością. Najnowszy album Starra wydany został w Kanadzie, gdyż uważano że jest zbyt prymitywny, aby mógł liczyć na sukces w Wielkiej Brytanii i USA. Były perkusista The Beatles nie przejął się tym „Słyszałem oklaski — powiedział — i nie chcę już tego. Kiedyś brawa muszą umilknąć”.

Nie sądzę, aby tak samo myślała Barbra Streisand, która w ciągu 23 lat kariery robiła wszystko, aby nie stracić popularności. Na-

grywała w wielu stylach muzycznych — od klasyki do rocka. Śpiewała m. in. z Donna Summer, Krisem Kristoffersonem i braćmi Gibb. Dziś powraca do piosenek ze znanych musicali. Jej najnowszy longplay zatytułowany „Barbra Streisand — The Broadway Album”, zawiera 15 utworów z obejmującej ponad pół wieku historii muzycznego teatru. Na pewno zaskoczeniem dla wielu sympatyków piosenkarzy, zwłaszcza tych, którzy pamiętają film „Narodziny gwiazdy” jest wypowiedź, jakiej udzieliła niedawno Stephenowi Holdenowi. „Naprawdę nie lubię słuchać muzyki pop, chociaż wiem, że powinienam”. Streisand podobno w ogóle rzadko dla przyjemności nastawia gramofon, a jeśli już to robi, to tylko po to, aby posłuchać muzyki klasycznej. Do jej ulubionych twórców należą Bartok, Mahler i Puccini. Sławna piosenkarzka uważa że rock pozostawia wykonawcy zbyt mało swobody, gdyż trzebia przez cały czas utrzymać się w rytmie. „Za każdym razem wykonuję piosenkę inaczej. W rock and rollu jest to niemożliwe”. Jak wiadomo nie tylko muzyka znajduje się w kręgu jej zainteresowań. Barbra Streisand wystąpiła już w wielu filmach fabularnych. W lutym rozpoczyna zdjęcia do kolejnego, zatytułowanego „Nuts”, a następnie zamierza samodzielnie wyreżyserować film muzyczny.

Wróćmy jednak do wykonawców, którzy przez cały okres kariery pozostali wierni rockowi. Do takich należą członkowie legendarnej grupy The Who. Zespół został rozwiązany w 1982 roku i od tego czasu jego muzycy nagrywają samodzielnie. Najbardziej aktywny jest Pete Townshend, który ma w swoim dorobku kilka interesujących albumów. Ostatni nosi tytuł „White City” i zawiera muzykę ze ścieżki dźwiękowej filmu o zamieszkach na tle rasowym w Londynie. Ukazał się też mały krążek z utworami „Face the Face” i „Hiding Out” będący zapowiedzią kolejnego autorskiego longplaya. Niedawno Townshend wydał zbiór opowiadań pod wspólnym tytułem „Horse's Neck”. Z kolei eks-wokalista The Who, Roger Daltrey, nagrał album „Under the Raging Moon” poświęcony znanemu perkusistom zespołu, Keithowi Moonowi.

Inna sława brytyjskiego rocka — wciąż młody i zadziwiający nowymi artystycznymi wcieleniami, David Bowie — zaczyna coraz częściej odnosić sukcesy jako aktor. Jeszcze nie wszyscy mieli okazję podziwiać jego talent w wyświetlanej na naszych ekranach „Zagadce nieśmiertelności”, a już mówi się o jego nowej roli w filmie „Labirynt”. Będzie to opowieść z gatunku science-fiction z przedziwnymi stworzeniami zaprojektowanymi przez specjalistę od straszania widzów — Briana Frouda. Warto

Polemiki • Listy • Opinie

NA PRZYSTANKU LINII 81

11.01.1986 r. byłem pasażerem autobusu 81. Oczekiwałem na ten autobus na przystanku przy zbiegu al. Włókniarzy i ul. Limanowskiego. Od godz. 6:20 do godz. 7:05 przejechało 5 autobusów linii 81 w kierunku zachodnim i ani jednego do godz. 7:05 w kierunku wschodnim, tj. do ul. Zagajnikowej celu mojej podróży. O godz. 7:00 z kierunku zachodniego do zajezdni autobusowej na ul. Limanowskiego przejechał jeden autobus linii 81. Na przystanku przy al. Włókniarzy o godz. 7:05 przyjechały trzy autobusy nr 81 jadące w kierunku ul. Zagajnikowej i dalej, Kierowca pierwszy na pytanie, o której godzinie ma odjazd z krańcówki odpowiedział pokazaniem numeru służbowego, którego nie mogłem w ciemnościach rozpoznać. Stwierdziłem natomiast, że jeżeli będą go denerwował, to zjedzie do zajezdni, a przede wszystkim, zebym załatwił części zamienną do autobusów.

Nie do rzadkości należał tego typu zjawiska na tej linii. Znam przypadek, że osiem autobusów linii 81 jechało jeden za drugim. Widzę niejednokrotnie stojące samochody osobowe MPK, prawdopodobnie kontrolujące częstotliwość jazdy, ale nie widzę żadnej poprawy w ruchu. Można by te uwagi przekazać do dyrekcji MPK, ale zastępca dyrektora do spraw ruchu autobusów nie chce rozmawiać telefonicznie z pasażerami. Musiałem swego czasu zwracać się do Urzędu Miasta Łodzi ze skargą na niewłaściwe zachowanie zastępcy dyrektora do spraw ruchu autobusów. Nasuwa się jednak kilka pytań, a mianowicie. Jak są kontrolowane zjeżdżające do zajezdni autobusy rzekomo na skutek niesprawności? Jeżeli jest to rzetelna kontrola, to jak kontrolowano samochód przed wypuszczeniem go do miasta. Jaka jest solidarność kierowców MPK z robotnikami zakładów zamkniętych, gdzie za niepunktualne przybycie potrąca się premie. Dowiedziałem się o tym w dniu opisywanym w tymże autobusie od osób jadących do pracy.

Dlaczego MPK i władze miasta nie wprowadzają informacji na każdym przystanku o godzinach odjazdu autobusu. Taką informację można zobaczyć w Szczecinie. I o dziwo autobusy przyjeżdżały zupełnie punktualnie. Bardzo punktualnie przyjeżdżały autobusy w Hadze i Amsterdamzie przy znacznie większym ruchu niż w Łodzi. Kierowca sprzedawał bilety, a nawet wysiadł i pomagał matce z dzieckiem w wózku wejść do autobusu. Gdyby informacja o godzinach odjazdu była na przystanku, byłaby społeczna kontrola i to by poprawiło stan punktualności autobusów.

Jak mogą być sprawne autobusy, jeżeli przyjeżdżają po 40 lub nawet więcej minutach i wtedy są z konieczności przeładowane. Jeżeli zaistnieją takie przypadki, jak na wstępie opisałem, należy to nazwać po imieniu, tzn. jako lekceważenie pasażera oczekującego deszczem lub śniegiem stojącego na przystanku bez zadania. Niewymierne są koszty, ale duże z tytułu spóźnień do pracy robotników oraz przezebrań i absencji w pracy z tym związane. Ponadto stresy ludzi oczekujących na autobus lub tramwaj wtedy, gdy widzi się opisane wyżej przypadki. Przecież od osób oczekujących na przystankach leca gromy nie na kierowców, ale pod adresem władz miasta, za nieudolność w rozwiązywaniu komunikacji w Łodzi. Czasem zdaje się, że może właśnie komuś na tym zależeć.

(Imię, nazwisko i adres tylko do wiadomości redakcji.)

CO CZYTAJĄ STUDENCI?

Częściową odpowiedź na tytułowe pytanie dają wyniki sondażu przeprowadzonego w dniach 6-15 stycznia 1986 r. wśród 300 studentów ekonomii, socjologii, pedagogiki, biologii, fizyki i matematyki Uniwersytetu Łódzkiego. Wśród badanych było 81 mężczyzn i 219 kobiet. Badania realizowano metodą ankiet audytoryjnej. Jedno z pytań brzmiało: „Który z wymienionych tygodników czytasz w miarę regularnie?”

Uzyskane rezultaty — z uwzględnieniem zróżnicowania według płci — zawiera zamieszczona niżej tabela. Szczegółowe tygodniki uszeregowane zostały w kolejności od najbardziej do najmniej czytanych. Wszystkie dane wyrażone są w procentach.

Nazwa tygodnika	Ogółem	Mężczyźni	Kobiety
1) „Przekrój”	32	25	34
2) „Razem”	26	17	29
3) „Polityka”	23	26	21
4) „Odgłosy”	14	16	13
5) „Forum”	13	21	10
6) „ITD”	9	10	8
7) „Przeгляд Katolicki”	5	6	5
8) „Kultura”	5	4	5
9) „Velo”	5	4	5
10) „Tygodnik Powszechny”	4	6	4
11) „Przeгляд Tygodniowy”	3	2	3
12) „Politechnik”	1	0	1
ZADEN Z TYCH	22	32	13

Przyglądając się tej tabeli należy pamiętać, że pytanie miało charakter zamknięty. To znaczy, że badani studenci mogli podkreślić tylko tytuły tygodników podane w ankiecie. Nie jest więc wykluczone, że w środowisku tym popularne są jakieś inne pisma, które jednak nie interesowały socjologa. Ponadto trzeba zaznaczyć, że próba nie miała charakteru reprezentatywnego, choć dobrano ją w sposób dość przypadkowy i jej struktura społeczno-demograficzna jest zbliżona do reprezentatywnej. Krótko mówiąc — zamieszczone tu dane mają jedynie wartość orientacyjną.

Wynika z nich, że najbardziej popularny wśród studentów jest „Przekrój”, który „w miarę regularnie” czyta od trzecia kobieta i co czwarty mężczyzna. Dobrze wypadły również tygodniki „Razem” i „Polityka”, które zdobyły ok. jednej czwartej stałych czytelników.

Zadziwiająco i niepokojące jest to, że aż jedna trzecia studentów i blisko jedna piąta studentek nie czyta regularnie żadnego z wymienionych tygodników. W dodatku znaczna część z tej grupy nie sięga systematycznie nawet do prasy codziennej.

W ankiecie testowano poczytność pięciu dzienników: „Głos Robotniczy”, „Dziennik Łódzki”, „Express Ilustrowany”, „Trybuna Ludu” i „Słowa Powszechnego”. Spośród nich pierwsze miejsce zajął „Express”, który czytany jest w miarę regularnie przez 31 proc. kobiet oraz 17 proc. mężczyzn. „Dziennik Łódzki” i „Głos Robotniczy” mają zbliżony odsetek czytelników (26 proc. i 24 proc.). Z tym jednak, że „Dziennik” jest trochę bardziej popularny wśród kobiet, zaś „Głos” wśród mężczyzn.

Alte wprost niewiarygodnie przedstawia się fakt, że żadnego z podanych w ankiecie dzienników nie czyta systematycznie aż 44 proc. mężczyzn oraz 38 proc. kobiet. Bez prasy — zarówno codziennej jak i tygodniowej — znacznie częściej obywają się mężczyźni niż kobiety.

Ogólnie biorąc czytelnictwo dzienników i tygodników w środowisku studenckim należałoby ocenić negatywnie. Mamy przecież do czynienia ze studentami UNIwersytetu. Nie oceniamy jednak samych respondentów, ponieważ nie znamy przyczyn istniejącego stanu rzeczy.

E.L.

KTO NAPISAŁ... „STRASZNY DWÓR”?

Z bezprzykładnym zdumieniem przeczytałem reportaż „Czy dwór w Kalinowej był prototypem „Strasznego dworu”? wydrukowany w „Odgłosach” nr 4 (1452), sygnowany datą 25 stycznia 1986 roku. Stanowi on zadziwiający przykład zbiorowej ignorancji łódzkiego dziennikarza parającego się literaturą i dwóch zasłużonych skądinąd działaczy na polu krajoznawstwa w województwa sieradzkiego.

Autor reportażu i jego współautorzy po pracowitych dociekaniach stanęli na stanowisku, że pewien dwór w Sieradzkim, w którym straszny jest miejscem, gdzie Stanisław Moniuszko umieścił wyderzenia naszej wielkiej opery narodowej. Autor, jak wynika z całości swych „badań” (w których brakuje tylko stwierdzenia czarno na białym, czy Moniuszko nocował czy nie nocował w „strasznym dworze”, czy może też tylko od kogoś z sąsiedztwa dowiedział się o tamtejszych strachach i martyrologii śięjących, za sprawą widać nieczystą, rutę pięknych córek właściciela dworu) zdaje się reprezentować niezłomne przekonania, że autor opery jest i autorem dokładnej jej treści, czyli libretta. W rzeczywistości, jak powszechnie wiadomo, kompozytor (z jednym znanym mi wyjątkiem: Wagner — który był również poetą i sam pisał libretta swoich monumentalnych oper znakomitym wierszem) przygotowując się do napisania opery bądź zamawia tekst u zaprzyjaźnionego poety, bądź korzysta z libretta gotowego, napisanego poprzednio.

Autor reportażu streszczając na wstępie arcydzieło Moniuszki, powołuje się na „Przewodnik operowy”, gdyż jednak zapoznał się z rzeczoną przewodnikiem uważnie, przeczytałby, o czym i bez tej lektury jako inteligent powinien być w stanie, że autorem libretta był Jan Chęciński. Jan Chęciński (mam zaszczyt przypomnieć autorowi reportażu, gdyż jako znawca literatury niewątpliwie wie) urodzony w 1826, a zmarły w 1874 r. był autorem książek poetyckich „Anioł i czarł”, „Jalmużna”, „Zbiór mniejszych poematów i strof ulotnych” — w tym ostatnim dwóch wierszy cieszących się popularnością i dość znanych — z których pierwszy stał się niebawem osnową przysłówia o zupie na kolku — „Kolek bromowy”, a drugi „W zbrojowni”. Ponadto Jan Chęciński był komediopisarzem, tłumaczem wielu librett do granych w Polsce obcych oper oraz autorem w 1861 r. libretta do „Verbum nobile” Stanisława Moniuszki, zaś w 1865, libretta do „Strasznego dworu”, do którego to Moniuszko właśnie pisał muzykę. Zatem odpowiedzialność za takie rzeczy, jak szczególne tematy, imiona bohaterów niewątpliwie, i niektóre, nawet nader istotne fabularia oraz wybór miejsca akcji należy „obciążyć” Jana Chęcińskiego, bez względu na to, czy Stanisław Moniuszko bywał i nocował czy nie nocował we dworze w Kalinowej.

Żeby było śmieszniej sprawa na tym się nie kończy. Jan Chęciński, jak to powinno być inteligentowi interesującemu się literaturą i sztuką polską (coż dopiero interesującemu zawodowo) wiadomo, nie napisał libretta do „Strasznego dworu”, że tak powiem z głowy, lecz oparł się w tej mierze na noweli pt. „Straszny dwór” barżdzio wówczas (a i dziś) popularnego literata i etnografa Kazimierza Władysława Wójcickiego (1807-1879), który objeżdżał nader systematycznie ówczesne ziemie polskie, zapisywał legendy miejscowe, beletyrował je po trosze, za co mamy do niego pewną pretensję (dodajmy, że on to „odkrył” i przysporzył literaturze polskiej postać leżycyckiego Boruty, bez którego to romantycy nasz zmuszeni byli do swych wałków demonicznych importować aż z Niemiec Mefistofelesa; „Pani Twardowska”, „Kordian”), „Straszny dwór” Wójcickiego, który w tamtych czasach prawa autorskie nie były tak strogo strzeżone jak dziś) dał z grubsza pomysły Chęcińskiemu do napisania libretta, a Moniuszce do powstania opery „Straszny dwór”, ukazał się w kolejnym obszernym zbiorze Wójcickiego w 1841 roku pt. „Stare gawędy i obrzędy”. Potem był przedrukowywany. A zatem badacze prawdy i fikcji w arcyoperze Stanisława Moniuszki, jak już mają taką chęć zbrojną zająć się prawdą i fikcją w Moniuszkowskim „Strasznym dworze”, powinni zająć się raczej tymimi utworami, a nieco pofoligować dociekaniom nad wojażami i życiem towarzyskim Stanisława Moniuszki.

Przy okazji jedna uwaga. Według Wójcickiego, „straszny dwór” miał się znajdować na Mazurach, której to nazwy nie należy dziś identyfikować z regionem wymawianym jednym tchem jak Warmia i Mazury. Niemniej należałoby go raczej lokalizować na północ od Wisły (a więc na terenie dzisiejszego województwa płockiego).

A zatem badania i przekonania panów, których wspólnym wysiłkiem powstał reportaż „Czy dwór w Kalinowej był prototypem itp.” mają tylko jeden sens i zasługę — że nolens volens kierują uwagę i patriotyzm regionalny na jeden z tysięcy dworów dewastowanych przez bezmyślność i troglodytym ludzi wpływu zaraz po wywołaniu i niejednokrotnie (mówiąc enigmatycznie) jeszcze do wozoraj. Przyda się więc do ratowania dworu, myśleć że nie jednego, nawet taka, jaką zademonstrował autor reportażu „Czy dwór w Kalinowej”, nieskomplikowana anegdota, na której jest oparta opera.

Jak wiadomo, w co trzeciej starej budowli w Polsce (zwłaszcza w dworach i zamczyskach) straszny i niemożliwy było w przeszłości i jest w teraźniejszości wypadków, że „piękne jak anioł dziewczynki” nie znalazły w porę swoich Stefanów i Zbigniewów usychają w staropanieństwie.

Na skonstatowaniu powyższego smutnego faktu poprzestawmy kreśle się z niekonwencjonalnym szacunkiem

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

K. D. ODPOWIADA W. S.

W jednym z ostatnich numerów pisma wierna Czytelniczka „Odgłosów” W. S., nawiązując do kilku moich wcześniejszych publikacji, zapytuje bezosobowo, czy nie można tego wszystkiego napisać inaczej. Odpowiadam: można, ale do tego niezbędna jest zmiana konwencji. A mnie raczej nie zależy na pisaniu przewodników turystycznych i notek do festiwalowych folderów.

Absurdalny wydaje się zarzut, iż celowo chwalebę się posiadaniem rzeczy tak dziś powszechnych jak samochód czy magnetowid, bowiem moim jedynym powodem do chwały pozostaje skromność.

Jedynie uwaga dotycząca czyszczenia obuwia jest bez wątpienia słuszna — tutaj obiecuję poprawę.

KRZYSZTOF DRZEWIŃSKI

KONKURS LITERACKI

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Federacja NSZZ Przemysłu Lekkiego i Redakcja Tygodnika „Nasze Życie” ogłaszają ogólnopolski konkurs literacki przeznaczony wyłącznie dla twórców nie zrzeszonych w Związku Literatów Polskich.

Celem konkursu jest podniesienie na wyższy poziom twórczości literackiej robotników, ożywienie życia literackiego w ich środowiskach, ukazanie przemian zachodzących w sferze aktywności kulturowej środowisk robotniczych oraz wyłonienie i pozyskanie nowych talentów dla RSTK. Konkurs literacki zorganizowany jest z okazji obchodów II Łódzkich Dni Kultury Robotniczej.

Na konkurs przysyłać należy prace dotychczas nie publikowane. Tematyka prac dotyczyć powinna pracy robotników, ich codziennego życia, wychowania w rodzinie ze szczególnym uwzględnieniem roli Matki-Polki.

Prace opatrzone godłem w trzech egzemplarzach do 10 stron maszynopisu lub czytelnego rękopisu w dziale prozy i 10 wierszy w dziale poezji (wraz z oddzielną kopertą zawierającą nazwisko i adres autora) prosimy przysyłać pod adresem: Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi, ul. Jana Kilińskiego 95, skr. poczt. 159, z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki”. Termin nadsyłania prac upływa 15.IV.1986 r.

Organizatorzy konkursu przeznaczają 20 proc. na konto Fundacji Stypendialnej im. Anny Domagały-Jakuć, przewidując następujące nagrody.

W dziale prozy: I nagroda — 15 tys. zł., II — 10 tys. zł., III — 7 tys. zł. oraz trzy wyróżnienia po 3 tys. zł.

W dziale poezji: I nagroda — 10 tys. zł., II — 7 tys. zł., III — 4 tys. zł., oraz trzy wyróżnienia po 2 tys. zł.

W dziale reportażu: I — 15 tys. zł. II — 10 tys. zł. III — 7 tys. zł. oraz trzy wyróżnienia po 3 tys. zł.

Jury konkursu zastrzega sobie inny podział nagród. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 25 maja 1986 r. tj. w czasie obchodów II Łódzkich Dni Kultury Robotniczej. Prace nagrodzone i wyróżnione w miarę możliwości będą drukowane na łamach „Twórczości Robotników”, „Bez Przesłony” i „Naszego Życia”.

TEATR ZWYCZAJNY W ŁODZI

25 stycznia 1986 r. gościł w Łodzi Teatr Zwyczajny z Warszawy, który powstał w 1981 roku przy Robotniczym Stowarzyszeniu Twórców Kultury w Warszawie.

Nie jestem pewien czy nazwa „Zwyczajny” jest adekwatna do prezentacji utworów autorów nieprofesjonalnych w ścisłe „polowych” warunkach na różnych scenach w Polsce.

W repertuarze teatru zaprezentowana została łódzkiej publiczności jedna z licznych pozycji teatru — sztuka pt. „Pamiętnik znaleziony na śmietniku” autorki Krystyny Przybyłowskiej z RSTK Warszawa, w reżyserii Marka Waruszyńskiego i scenografii Ewy Nahlik. Wykonawcami byli aktorzy scen warszawskich: Joanna Jarzębska, Teresa Kulikowska-Sokolowska, Wojciech Sanejko i Danuta Borowiecka.

Treść sztuki wzięta z życia. Konflikt małżeński. Rodzina w rozkładzie i jak to zwykle bywa najwięcej pokrzywdzone są dzieci. Mężczyzna, którego całe życie kochała, raptem porzuca żona, dzieci i odchodzi do innej, młodszej kobiety. Życie w osamotnieniu z nielebymi dziećmi budzi w niej samej pewien niepokój wewnętrzny. Nie wie co z sobą począć. Stara się z początku nakłonić byłego męża do powrotu, chociażby ze względu na nieletnie dzieci. Pragnie do ostatniej chwili ratować rozbite małżeństwo. Nie wychodzi. Mąż proponuje układ nie do przyjęcia: rozdzielenie dzieci pomiędzy dwoje skłębionych ze sobą ludzi. Sytuacja rodzinna pogarsza się z każdym dniem. Następuje kompletne załamanie psychiczne. Szpital. W tym czasie dzieci znajdują schronienie w Domu Dziecka. Po powrocie ze szpitala do domu, bohaterka pozostaje sama w czterech ścianach. Postanawia podjąć pracę zarobkową, liczy na powrót dzieci do domu. W pracy również nie znajduje zadowolenia. Rutynowe czynności, monotonia życia sprawia, że zaczyna myśleć o innym życiu, ce podpowiada jej najbliższa koleżanka. Można żyć inaczej, bez pracy, jeśli jest się zdrową i ładną kobietą, tylko trzeba zabrać o siebie. Propozycja nęcąca, tym bardziej, że koleżanka prowadzi taki tryb życia i jest jej dobrze.

— Trzeba umieć korzystać z życia, jesteś młoda — mówi do naszej bohaterki — zabrano ci męża — zrób to samo innym... Propozycja trafia na podatny grunt. Życie dalej toczy się zgoła odmiennym torem. Mężczyźni, alkohol i izba wytrzeźwień.

Przychodzi wezwanie do uiszczenia opłaty za pobyt w izbie „Łobku” (w potocznych żargonie) na nazwisko Teresy Makowskiej. Pomyłka w adresie... Okazuje się, że wiele jest pań Makowskich, nawet na tej samej ulicy. Kobiety osamotnione, nie wytrzymujące presji złego otoczenia, koleżanki, które nie wytrzymała i załamania się psychicznego, stwarzając sobie raczej ułudę życia, niż normalne życie w rodzinie. Powoli, lecz systematycznie tracą swoją godność kobiecą, stającą się na same dno moralnej zgnilizny. W oparach alkoholowych zapominają o wszystkim.

Tak kończy się spektakl, trwający godzinę. Krótki, lecz jakże wymowny w treści, dający wiele do przemyślenia i zastanowienia. Pomimo skromnej ilości rekwizytów teatralnych, ograniczenia aktorów swobody poruszania się na scenie ZDK „Zenit”, spektakl zyskał aplauz zgromadzonej w sali publiczności. Ze względu na problematykę poruszanych spraw trafia do widza i jest mu bliski.

Sądze, że jest to jeszcze jeden dowód dynamicznie rozwijającego się ruchu robotniczej kultury. Powiedzielibyśmy więcej: obecność robotników w tworzeniu i upowszechnianiu ogólnonarodowej kultury, nie tylko roli konsumpcyjnej. Możemy te zjawiska zauważyć w poezji, prozie, innych gatunkach piśmiennictwa, rzeźby, plastyki, fotografii, kabaretów, orkiestr, chórow, zespołów teatralnych itp. Robotniczy ruch kulturalny jest otwarty na różne środowiska i style, chętnie widzi wszystkich zwolenników i sympatyków — jednakże o jego tożsamości stanowi fakt, że jest on autentycznym ruchem amatorskim i nie usurpuje sobie żadnego prawa do zastępowania profesjonalistów w każdej dziedzinie kultury i sztuki, a jedynie służy do jej wzbogacenia o wartości podstawowe, zyskując status podmiotowy, nie przedmiotowy. O czym dobitnie wyraża się znany autor fraszek Euzebiusz Żegota z Warszawy: „Zawsze ktoś lepiej ode mnie wie do czego ja dażę i czego chcę”. Oby tak nie było nigdy w przyszłości!

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

Wkrótce o nim zapomnieli. I ja zapomnieliem, wyciągając z kieszeni bilet i kontemplując przyklejone do niego znaczki. Wioziem bagaż, a jakże! Samolot wystartował piętnaście minut przed czasem, przeleciał nad wyspą, szybko uporał się z Morzem Karaibskim i zawisnął nad tym krańcem Ameryki Północnej, który tworzy jednocześnie Amerykę Środkową.

Ładujemy miękko. Wpadam do budynku dworcowego, który nosi imię Augusta Cesara Sandino. Ów największy nikaraguański bohater narodowy myli się niektórym Polakom z Somoza — największym nikaraguańskim mordercą. Błędu tego dopuścił się jakiś publicysta i zostało to niestety w Managui zauważone. Postanawiam zdobyć kilka książek o Sandino i poświęcić mu osobny reportaż.

Omiąkam kasę, nad którą pisze, iż wszyscy cudzoziemcy z wyjątkiem dyplomatów powinni wymienić tu sześćdziesiąt dolarów na kordoby. Mam paszport służbowy i jestem gościem polskiej ambasady — nie wymieniam! Przechodzę kontrole paszportową, która trwa wyjątkowo długo (jak to w stanie wojennym), ale egzaminujący mnie funkcjonariusz jest sympatyczny.

Sympatyczny jest również celnik.

— To cały pański bagaż? — Patrzy na mój niewielki, skórzany wór.

— SI.

— Pieniądze są?

— Claro.

— Jakże?

— Ano, takie i siakie.

Daje znać, że jestem wolny. Wtedy podaje mi bilet lotniczy i mówię:

— Ale mam jeszcze bagaż towarzyszący.

— Dla kogo?

— Dla biura Polskiego Rady Handlowego.

— Ile sztuk?

— Trzy.

— Co to jest?

— Obrazy i mosiężna tablica na bramę. O! — Wytykam palcem wspomniane pakunki, które wyrzucił na cło pas transmisyjny. I dodalem: — Proszę zaczekać!

Nikaragua: przylot

(Od naszego specjalnego wysłannika)

Rozejrzałem się dokoła. Wszyscy ludzie wyglądali tak samo, ale podszedłem do opalonego mężczyzny i mówię po polsku:

— Pan jest z Biura Rady Handlowego?

— Jestem radcą.

— Miło mi. Makowiecki.

— Hrycaj.

Uściskałem mu rękę. Kiedy zalał się z celnikiem formalności, ściskałem z pasa transmisyjnego wszystkie trzy przesyłki i ustawiłem je pod ścianą. Spodziewałem się drobiazgowej kontroli, ale radca działał szybko i precyzyjnie. Niebawem zaczął układać dzieła sztuki w samochodzie. Czekał na nie kilka miesięcy. Przyleciały z kraju do Hawany, nie było jednak Polaka, który mógłby je pilotować dalej. Mało jest Polaków w Nikaragui. Usłyszałem, że jestem jednym z kilkudziesięciu jakim było dane odwiedzić ten kraj po zwycięstwie Rewolucji

2.

Ruszyliśmy do Managui drogą parterową i ubogą, usianą tu i ówdzie skromnymi domkami. Samochód napędzał z sykiem lodowate powietrze; zapaliłem. Radca powiedział, że przed rokiem rzucił papierosy, ale jak znowa nie widzi, to ewentualnie można zgrzeszyć, i również zaciągnął się z lubością.

Mówi przez dym:

— Nikaragua to kraina jezior i wulkanów. — Wskazał szczyt po lewej stronie drogi. — Oto jeden z nich: wulkan Masaya zwany również wulkanem Popocatepete. Wydawałoby się, że jest spowity chmurą.

— A nie jest? — zapytałem patrząc na czarne, brudne obłoki.

— To wulkan z krateru Boca del Infierno.

— Paszcza piekła?

— Tak. Na pewno zobaczy pan ją z bliska. Kopce bez przerwy, co parę lat wybucha. Niektórzy twierdzą, że Somoza strącał do niej z pokładu helikoptera swoich przeciwników.

— Prawdziwe piekło — powiedziałem. I pomyślałem: stokród gorsze od każdego piekła. W piekło są męczarnie i jęki, ale panuje przynajmniej jakiś ruch; tu jest tylko ława i ciemność.

Wyglądałem przez okno i czekałem cierpliwie na miasto

— Nie ma miasta — rzekł radca.

— Jak to: nie ma?

— Po prostu. Miastem jest to, co pan widzi: piękne rezydencje ukryte w ogrodach i niskie, wyboiste, zakurzone uliczki o drewnianych, glinianych albo murańskich domkach.

— Musi być przecież jakieś centrum?

— Było, ale zniknęło kompletnie po ostatnim trzęsieniu ziemi.

— W którym roku?

— W 1972.

— A więc przed Rewolucją.

— Przed zwycięstwem Rewolucji. Wcześniej, w 1885 i 1931, też były tego typu kataklizmy, ale ten ostatni z siedemdziesiątego drugiego roku zapisał się w kronikach miasta najgorzej. Piętnaście tysięcy ofiar. Stary cmentarz zginął bez śladu, zapadł się po prostu pod ziemię. Zapadły się również wszystkie gmachy użyteczności publicznej i wszystkie domy prywatne. Został tylko zbudowany przez Amerykanów bank (trzeba uciąć katedry, której zegar zatrzymał się dokładnie w tym momencie, kiedy zaczęło trząść, a więc o godzinie 0,33 w nocy. Do dzisiaj widać na nim ten sam czas. Od tej pory ludność unika śródmieścia i stawia tylko parterowe domki z lekkiego materiału na jego obrzeżach. Managua zaczęła się rozrastać w sposób rakowaty, niekontrolowany.

— Ilu ma mieszkańców?

— Około dziewięćset tysięcy, ale wciąż ich przybywa. Podobno pięćdziesiąt tysięcy rocznie. Jedni szukają w mieście pracy, inni uciekają tu z Costa Atlantica, a więc z terenów nekanych przez bandy kontrrewolucyjne. Niech pan przyjrzy się temu osiedlu wzdłuż szosy.

— Favela?

— Tak. Slumsy.

— Wyglądają jednak dużo lepiej niż te, które widziałem w takiej na przykład Brazylii lub w bejruckich obozach palestyńskich.

— To prawda. Mają nawet wodę i elektryczność.

— I co na to władze miasta?

— Nowy Alcald (burmistrz), Moises Hassan (niedawno był wicepremierem Spraw Wewnętrznych) zamierzał likwidować enklawy, ale sprzeciwili się temu komunisty. Prawde mówiąc, grani w tym rejonie uchodzi za szczęśliwy, nie było tu nigdy żadnych straszaków.

Obszarowi przędzone hasła, reklamy i odezwy:

CZYTAJ BARRICADE (organ rządzącej partii FSLN — FRENTE SANDINISTA DE LIBERACION NACIONAL)

CZYTAJ EL NUEVO DIARIO (postępowy dziennik o tendencjach centrystycznych).

CZYTAJ LA PRENSE (gadzinówka o zdecydowanie prawicowych sympatiach).

3.

Biuro Rady Handlowego znajduje się na dalekim przedmieściu, przy Sierrita de Santo Domingo i graniczy przez ogrodowy mur z polską ambasadą. W ambasadzie oczekiwał mnie młody, dwudziestopięcioletni dyplomata, Przemysław Marzec, syn Zdzisława Marca — dziennikarza, wybitnego znawcy problemów Ameryki Łacińskiej.

O Przemysławie, młodszym z Marców, słyszałem już w Hawanie, że zna bezbłędnie język hiszpański i jest prawdziwą encyklopedią wiedzy o sprawach nikaraguańskich. Sądziłem więc, że będzie z lekka zarozumiały i niesłychanie pewny siebie. Tymczasem okazał się człowiekiem skromnym, poważnym szalenie sympatycznym. Zaprowadził mnie do małego apartamentu, gdzie młoda Nikaraguańska zakładała akurat na coko moskietery. Wytłumaczył, że nie jest to bynajmniej pokój gościnny i że zamieszkał tu w drodze absolutnego wyjątku.

Podziękowałem. Wówczas udzielił mi przestrogi i pouczenia:

— Jak usłyszysz pan nocą, że coś łazi po dachu, proszę się nie przejmować. To zarros, tutejsze lis, mówiąc prawdę: dość paskudne. W ogrodzie spotkać można również iguanę — niektóre wchodzą do przewodów kanalizacyjnych i ukazują się nagle w muszli klozetowej.

— UI

— Boi się pan?

— Nie.

— Bo są i żmieje, i to takie, na których jad nie ma żadnego lekarstwa. Zdradnych zastrzyków i żadnej odtrutki. Człowiek umiera i koniec. Dlatego nie wolno chodzić po trawie bosymi i bez skarpetek.

— Nie wiedziałem, że Nikaragua jest aż tak egzotyczna. Są jakieś inne zwierzęta?

— W buszu i w jeziorach spotkać można wszystko: amerykańskie lwy, pantery, węże boa, krokodyły (nie używa się słowa: aligator) i rekiny. Nawiasem mówiąc: jezioro Nikaragua jest jedynym na świecie akwenem, w którym żyją rekiny słodkowodne, wpływające tu z Oceanu Atlantyckiego przez rzekę San Juan. Idziemy.

— Dokąd?

— Oczekuje pana ambasador.

Przełknąłem ślinę. Gabinet ambasadora Mieczysława Rysińskiego sąsiadował z moim pokojem. Byłem w związku z tym onieśmielony, ale dyplomata, przystojny, silny mężczyzna, powitał mnie serdecznie.

— Jest po pierwszej, co pan wypije?

Czułem na sobie jego mądry, sondujący wzrok. Powiedziałem:

— Przepraszam bardzo, a pan co będzie pił, panie ambasadorze?

— Colę.

— To i ja poproszę colę.

Uśmiechnął się i przywołał sekretarkę Kostarykankę, która świetnie mówiła po polsku, gdyż była kiedyś żoną Kubalczyka i spędziła z nim w naszym kraju kilka lat. Przy ziłnej, zaproszonej lodem coli rozmawialiśmy najpierw o sprawach polskich i hawańskich, a potem ambasador zwrócił się do Przemysława Marca:

— Nasz gość — powiedział — ma świetne rekomendacje z Warszawy i Hawany, gdzie podobno pracował w pocie czoła. Musimy więc przygotować mu również pracowity program w Nikaragui, bo nie przyjechał tu przecież na wczas. Zależy mi, aby w swoich reportażach przedstawił wierny i sprawiedliwy obraz tego dzielnego kraju. Nie chcę mu oczywiście naczuć sugerować i narzucać, muszę jednak zrobić pewne zastrzeżenia: garść reporterami, którzy całą swoją wiedzę o sytuacji nikaraguańskiej czerpią z La Prensa (gazety reakcyjnej), gdzie codziennie można znaleźć wiele takich sensacji i paszkwilantkich artykułów. Taki dziennikarz wychodzi potem na ulicę i widzi tylko nędzę i brud.

— Jestem tu dopiero kilka godzin, ale nie widziałem nędzy i brudu, panie ambasadorze.

— A co pan widział?

— Dużo pięknych, willowych osiedli i dużo skromnego, ale czystego ubóstwa.

— Jeśli nie zmęczyla pana podróż, wezmę pana za pół godziny na pierwszy objazd po Managui i okolicach. Ziemi przy okazji obiad.

— Dziękuję.

— Teraz jednak wróćmy do programu.

4.

Zostało ustalone, że powinienem zobaczyć szereg ważniejszych miast po stronie Pacyfiku, takich jak Granada, Masaya, Leon, Chinandega, Veleo (ośrodek wypoczynkowy) i Corinto (port). Plan ten został wykonany w stu procentach, za co dziękuję Mieczysławowi Rysińskiemu z głębi serca.

Ustaliśmy ponadto, że:

— porozmawiamy z korespondentami wojennymi „Barricady”, którzy swoje obowiązki reporterskie wykonują w okopach na pierwszej linii frontu;

— złożę wizytę inżynierowi Javierowi Chamorro, naczelnemu redaktorowi (dyrektorowi) dziennika „El Nuevo Diario”;

— przeprowadzę wywiad z jednym z trzech księży-ministrów w rządzie nikaraguańskim: Ernesto Cardenalem (kultura), Fernando Cardenalem (edukacja) bądź Miguelem D'Eskoto (sprawy zagraniczne).

— Odwiedzę Związek Pisarzy Nikaraguańskich, którego szefem jest poeta Rosario Murillo, żona prezydenta Daniela Ortegi.

Tę część planu również udało mi się wykonać. Odbyłem ponadto wiele innych spotkań. Tymczasem jednak wsiałem wraz z ambasadorem i Przemysławem Marcem do samochodu i pojechaliśmy obejrzeć okolice.

5.

Kraj jest cudny, łagodny, pastelowy, a zieleni soczysta i świeża. Kwitły drzewa i kwiaty. Sępy krążyły wysoko nad ziemią, w zaroślach splewały plaki. Upał nie dokuczał specjalnie, aczkolwiek byliśmy w ścisłym pasie tropiku. Nie dokuczały również moskity, które w niższych, wilgotnych rejonach miasta spowodowały groźną epidemię. Ze wznieśnię widać było Lago de Managua, duże i piękne jezioro wśród gór — kiedyś czerpano stąd wodę pitną, ale z początkiem lat sześćdziesiątych ścieki fabryczne zatruty ten cichy, malowniczy akwen obecnie jedynym, nie zaspokajającym potrzeb miasta zbiornikiem czystej wody jest Laguna de Asososca.

Byliśmy parę minut na plaży. Siedzieliśmy na ławce pod kapturem z liści palmowych. Wypiliśmy refresco w restauracji, gdzie obiadował akurat nowy burmistrz Managui, Moises Hassan, a jego ochrona czekała na dworze. Wreszcie pojechaliśmy do innej, stylowej restauracji, w której posilla się w towarzystwie współpracowników minister komunikacji.

Podano nam wołowinę z rusztu i sałatkę z avocado. Mięsa było tak dużo, że polykając je z pasją żarłoka, czułem lekkie wyrzuty sumienia. Nie jestem przecież fedrującym górnikiem!

I jeszcze:

REWOLUCJA — OWSZEM, ALE CHRZEŚCIJAŃSKAI

WOLNOŚĆ — W PORZĄDKU, TYLKO CO DALEJ?

YANKIS, HIJOS DE PUTA, AQUI VOS ESPERAMOS! (Amerykanie, skur...y, oczekujemy was! — co należy tłumaczyć: przyjdźcie, a damy wam łupnia).

— Zerknąłem na radcę.

— Nie przypuszczam — mówię — że nastroje polityczne są tak zróżnicowane. Jest legalna opozycja?

— Jest. Ale naród opowiada się po stronie rewolucji.

Nafta i proch

HENRYK SROCYŃSKI

W POBLIŻU FRONTU

Jest ciepły ranek. Radio bagdadzkie zapowiada na cały dzień bezchmurną pogodę. Ale komunikat dowództwa wojskowego wróży burzę: na wschód od Basry koncentrują się wojska irańskie i artyleria 3 korpusu armijnego rozpoczęła ostrzeliwanie pozycji nieprzyjaciela.

Gdy wieczorem docieram do Basry z moim przewodnikiem, Walidem, trwa właśnie artylerijska awanturnia. Co rusz wysoko rozjaśnia się niebo i słychać bliski huk dział.

Nazajutrz budzi mnie gwar przed Sheratonem. Wyglądam z balkonu i pierwsze co stwierdzam to to, że mój hotel jest „strategicznym” położony. Leży niemal na samym brzegu leniwie toczącej swe wody Szat el Arab. Rzekę oddziela od ulicy szanice zbudowane z worków wypełnionych piaskiem. Szanice są nadsiane stanowiskami dla karabinów maszynowych. Po drugiej stronie Szat el Arab, skąd w nocy bił w niebo ogień, widzę las smukłych i poszarpanych, jakby od prochu, palm daktylowych.

W południe stanę pośrodku mostu saperskiego. Oparły o jego barierę będą śledzić przetaczające się tedy samochody. Ale ani na krok nie zbliże się do wschodniego brzegu. Wartownik wyraźnie tu rozdziela strefę miejską Basry, od strefy operacyjnej 3 korpusu armijnego.

— Tam już może być niebezpieczniej! — mówi, jakby cała Basra była wolna od zagrożenia; przed południem ogłędalem szkoły i domy, w których artylerijskie pociski pozostawiały głębokie wyrwy.

W Basrze, nie ujrzy wiecej frontu. Będzie krążył po ulicach w asyście wojskowych, słuchając opowiadań o bombardowaniach ludności cywilnej i podziwiał to, co tylko tutaj może się zdarzać. W czwartkowy wieczór, w przeddzień piątkowego święta, w mieście, gdzie wysokie ściany z worków ciągną się setkami metrów oddzielając chodniki od jezdnii i gdzie takie same bariery wtaczają szkoły, meczety i instytucje, zatrzymują się przed restauracjami czy hotelami, barwne korowody weselne z rozpiętą i roztańczoną młodzieżą. Śpiew i taniec odbywa się przy straszliwym akompaniamencie — po drugiej stronie Szat el Arab aż dudni od huków armat. Melodie radości zderzają się na gładkiej toni rzeki z jękiem piekła wojny.

Na rozstajnych drogach Basry wjeżdżamy na odcinek autostrady, który biegnie wzdłuż granicy iracko-irańskiej. Przejazd tą drogą umożliwia nam specjalna przepustka. Samochody mijają się tu rzadko ale za to często spotykamy czołki i wozy transportowe armii irackiej.

— Teraz granica najbardziej zbliża się do autostrady! — słyszę w samochodzie. Tego sam się domyślam. Widzę bowiem na rozciągającej się przed nami równinie liczne i gęsto

rozstawione czołki. Równina jest poprzecinana wysokimi groblami, na których wspierają się długie lufy pancernych kolosów. Działa artylerijskie usytuowane są natomiast na sztucznych wzgórkach — z czterech stron stanowiska ogólnie otaczają ściany z piasku.

Nie ma tu okopów, tranchei i bunkrów. W tej ilastej ziemi z warstwą słonej i pozbawionej roślinności gleby, nie można ani się okopywać, ani budować innych umocnień. W czasie deszczu tworzy się tu bagno, w innych porach ziemia jest zdradliwie grzaska.

W tym statycznym boju walki nagle słysze pojedyncze strzały z armat. Przy każdym działaniu, z obydwu jego stron, wybuchają i szybko nikną czarne chmurki dymu. Patrząc w kierunku linii frontu, gdzie skoncentrowane są czołki, Tkwia na stanowiskach i nie się nie dzieje. Czy przelatujące nad naszymi głowami pociski są tylko wstrzeliwaniem się artylerii? Fakt jednak, że parokrotne wojska irańskie usiłowały opanować ten fragment drogi i odciąć Basrę, nie pozwała nam lekceważyć sytuacji. Przyspieszając, opuszczamy naspikowany bronią teren.

NA TLE MECZETÓW

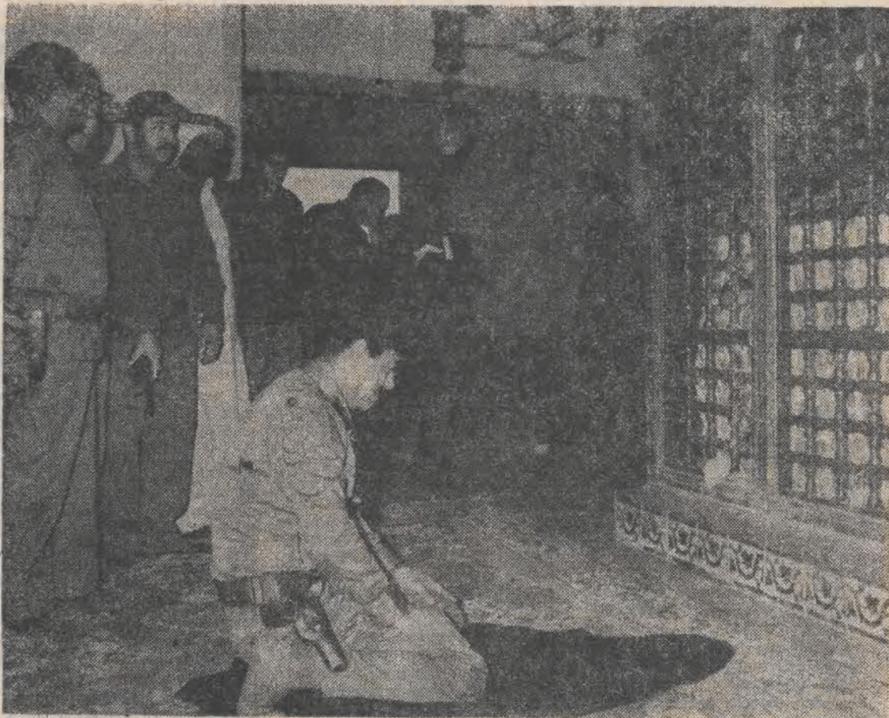
Samolot, którym przybywałem do Bagdadu, lądował w nocy. W czerni okrywającej półpustynne obszary Iraku, najpierw wyłonili się długie sznurki światła wzdłuż autostrad, a potem zalane jasnością łuki obwodnic i szachownice ulic. Czteromilionowa stolica mieniła się milionem kolorowych lamp. Przyszedłem, że nie tak wyobrażałem sobie miasto, które leży w niewielkiej odległości od granicy irańskiej.

Alle nie to było największym zaskoczeniem. Przede wszystkim uderza szybki rozwój mimo wojny, stolicy jak i całego kraju. W Bagdadzie zwraca uwagę nowoczesność rozwiązań głównej sieci komunikacyjnej miasta; przypomina ona podobne systemy w dużych aglomeracjach Europy. Rzucą się również w oczy nawaluzająca do tutejszych tradycji architektura gmachów i dzielnic mieszkaniowych. Na tle bogato zdobionych meczetów i zabytkowych budowli, nowy Bagdad rozsada stare struktury miasta.

Wokół stolicy i innych dużych ośrodków powstają pierścienie zabudowy przemysłowej. Na niektórych prowadzących do tych stref odcinkach dróg toczą się TIR-y i inne samochody z maszynami i ciężkim sprzętem.

Powstają też zupełnie nowe okręgi, jak choćby ten, który częściowo zwiadałem na południu kraju: ciągnie się on od Basry aż po Umm Qasr i obejmuje rafinerie, huty żelaza i stali oraz fabryki nawozów sztucznych. Łącznie w całym Iraku buduje się obecnie, jak powiedział mi w Ministerstwie Planowania, dr Zuher El Fatał, 200 dużych zakładów przemysłowych.





Równocześnie trwała wielka zmiana w rolnictwie. Mezopotamia, która należała do najbogatszych w żywność obszarów arabskich, wymaga dzisiaj ogromnych przedsięwzięć w nawadnianiu i odsalaniu ziemi. Byłem w liczącej 2 tysiące hektarów fermie państwowej El Maseb, gdzie dzięki nowym kanałom doprowadzonym z Eufratu, zbiera się bawełna oraz uprawia rośliny paszowe dla 1400 sztuk bydła. Takich gospodarstw powstało wiele i jest w tym częściowo zasługa Polaków; obecnie prowadzimy tu prace nawadniające na obszarze 40 tysięcy hektarów.

Ziemie otrzymują fellachowie za darmo. Każdemu, kto chce pracować w rolnictwie, państwo udziela kredytu dostarcza po niskiej cenie sprzęt i maszyny, nasiona i nawozy. Ale wciąż jest problem z postępem na wsi. Stopniowo, i często z trudem, przekonyuje się fellachów do stosowania mechanizacji, wprowadzania nasion selekcyjowanych i do przyjmowania nowoczesnych metod uprawy ziemi. Mimo iż na wsi zmniejszył się, wskazywać na to, odsetek męskich rąk do pracy, często niechętnie patrzy się na kobiety obsługujące maszyny czy prowadzące traktory.

— Chcemy dokonać głębokich zmian w kraju — mówił mi członek Dowództwa Rewolucji, wybitna postać w Iraku Naim Haddad. Szczytowa charakter rewolucji, które były tu dokonywane począwszy od obalenia monarchii w 1958 roku i podkreślał znaczenie przemian wprowadzonych przez partię BAAS od 1968 r. Nacjonalizację przemysłu naftowego, której Irak dokonał jako pierwszy wśród państw arabskich, mój rozmówca uznał za krok decydujący o przyszłym rozwoju kraju.

— Dzisiaj, na naszej drodze do socjalizmu, funkcjonują w Iraku różne sektory gospodarcze. Nie mamy zamiaru tego zmienić. Naszą uwagę koncentrujemy na takich drogach postępu, które pozwalają szybko odrabiać zaległości i podnosić poziom życia całego społeczeństwa. Partia BAAS ma szerokie programy, których celem jest uczynienie życia społeczeństwa możliwie każdemu obywatelowi kraju — powiedział Naim Haddad.

PRZEZ SAUDIJSKIE PIASKI

Niewiele jest w Iraku, namiętnie strefe frontu, oznak wojny. Nawet telewizja w swych dziennikach ogranicza się do lakonicznych komunikatów wojskowych, bez ilustracji filmowej. Ale pod tą pozornie trzaskającą twórczością pozory normalności życia, zalega prawda o rzeczywistych skutkach wojny.

Jest to ból po poległych i obawa o losy tych, którzy pozostają w obozach jeńców. Sa to również utrapienia i ciężary życia, jakie niesie każda wojna.

W pierwszych latach konfliktu zbrojnego z Iranem gos-

podarka Iraku nie odczuwała w sposób dotkliwy skutków wojny. Kraj ten posiadał duże możliwości eksportu ropy, dysponował również znacznymi rezerwami dewiz. Sytuacja jednak nagle pogorszyła się w kwietniu 1982 roku, kiedy Syria zamknęła stacje końcowe ropociągu irackiego, który biegnie przez jej obszar. Zważywszy, że wcześniej Iran zadał druzgocące ciosy portom wyzozowym na południu Iraku i praktycznie zablokował tu eksport, Bagdadowi pozostało tylko jedno ujęcie dla wywozu ropy: ropociągami przez Turcję. Ta „nitka” w żaden jednak sposób nie mogła zrekompensować utraconych możliwości eksportu ropy.

Podjęto więc w budżetach i planach inwestycyjnych drastyczne cięcia. Aby jednak nie ograniczać wydatków na cele społeczne i socjalne, przyhamowano import artykułów przemysłowych, głównie sprzętu elektrycznego i elektronicznego. Również w trosce o planowy rozwój gospodarczy kraju prowadzono z licznymi wykonawcami zagranicznymi rozmowy w kwestii terminowej realizacji inwestycji przy opóźnionej płatności rachunków.

Najtrudniejszy okres, jak się wydaje, Irak ma już za sobą. Jesienią 1983 roku uruchomiono, budowaną bez większego rozgłosu, odnogę ropociągu, która łączyła pola naftowe na południu z ropociągami Arabii Saudyjskiej. W ten sposób codziennie można transportować do portu Yanbu nad Morzem Czerwonym przez saudyjskie piaski około 600 tysięcy baryłek ropy. W lecie 1983 roku podpisano również umowę z kilkoma towarzystwami zachodnimi, na budowę oddzielnego ropociągu przez Arabię Saudyjską, którym jeszcze w 1986 roku będzie można transportować każdego dnia ponad milion baryłek ropy. Jeśli uwzględni się, że jednocześnie trwa prace nad zwiększeniem zdolności przesyłowych ropociągów przez Turcję, można powiedzieć, że w niedalekiej przyszłości Irak odzyska zdolność eksportową z okresu przed wybuchem wojny z Iranem i znów stanie się jednym z głównych eksporterów ropy (zasoby Iraku obliczane są na drugie co do wielkości, po Arabii Saudyjskiej).

DO NIEZNANEJ METY

W Basrze wyczuwałem swad piosenki ropy niesiony wiatrem od zatoki. Tak jeden, jak i drugi kraj stara się bowiem niszczyć przeciwnikowi źródła wywozu surowca, dzięki którym finansuje wojnę. Od połowy sierpnia 1985 roku Irak rozpoczął bombardowanie najbardziej niewralgicznego rejonu wywozu irackiej ropy — wyspy Charg.

Petla, która obecnie Irak usiłuje zaciągnąć na irackim ekspozycje ropy jest militarna forma wywierania nacisku na Teheran w celu zakończenia wojny.

— Mamy możliwość atakowania każdego punktu w Iranie i wykorzystywania naszej przewagi. Nie chcemy jednak

przynosić szkód narodowi irackiemu. Dążymy tylko do ograniczenia korzyści z ropy, pozwalających na kontynuowanie tej bezsensownej wojny — uzasadniał obecna taktykę Iraku, Naim Haddad.

Nie wydaje się jednak możliwym, wobec nieustępliwości Iranu, szybkie zakończenie konfliktu. Snując rozważania na temat wojny iracko-irańskiej należy uwzględnić kilka wariantów.

WARIANT PIERWSZY

— rozstrzygnięcie na polu walki. Choć Irak przeważa pod względem liczby ludności (posiada jej około 45 mln, podczas gdy Irak — 15 mln) to jednak Irak dysponuje znacznie silniejszą i lepiej wyszkoloną armią. Straty Iranu na polu walki, jak zgodnie szacują różne źródła, są po stronie irańskiej kilkakrotnie większe. Mimo to ani jedna, ani druga strona nie ma żadnych szans rozstrzygnięcia konfliktu drogą ofensywną militarną.

WARIANT DRUGI

— zmiany wewnętrzne. Irak od początku wojny wzywał do obalenia w Bagdadzie prezydenta Saddama Husaina i rządów partii BAAS, stawia tę kwestię jako jeden z warunków zakończenia wojny. Rzeczywistość przeczy jednak takim nadziejom. Partia BAAS, która swym konsekwentnym działaniem rozwinęła kraj i realizuje szerokie programy społeczne, posiada silne wsparcie w kraju, a prezydent cieszy się wielkim szacunkiem. Nie sposób jednak twierdzić, że w takim samym stopniu jest skonsolidowane społeczeństwo Iranu. Obiektywni obserwatorzy w Teheranie podkreślają, że upór rządu tego kraju w kontynuowaniu wojny, budzą w społeczeństwie coraz większe niezadowolenie.

WARIANT TRZECI

— presja międzynarodowa. Konflikt iracko-irański dzieli i osłabia, wobec Izraela, państwa arabskie. Jest on także na ręce tym, którzy obawiają się ze strony Iranu, islamskiego fundamentalizmu, a ze strony Iraku — idei lewicowych. Często więc podejmuje się różne misje pojednawcze, ale nie zawsze sięga się po skuteczne metody nacisku.

Który by nie rozważał wariant, szanse na szybkie zakończenie konfliktu są niewielkie. Z pewnością realne perspektywy położenia kresu tej wojnie otworzyłoby uregulowanie zasadniczych problemów Bliskiego Wschodu na międzynarodowej konferencji. Niestety i ten postulat nie ma na razie szans realizacji.

Islam — religia, która pojawiła się w pierwszej połowie VII stulecia na pustynnym Półwyspie Arabskim — był i jest ciągle przedmiotem wielkiego zainteresowania społeczeństw całego świata. To zainteresowanie wzrosło się jeszcze bardziej w drugiej połowie XX w., kiedy wiele krajów muzułmańskich włączyło się aktywnie do światowego systemu gospodarczego i politycznego. Islam, dostojnie poddanie się Bogu, druga po chrześcijaństwie, pod względem liczby wyznawców, wielka religia monoteistyczna. W ciągu wieków religia ta przeszła wiele przemian przystosowując się do ducha różnych kultur i cywilizacji. W chwili pojawienia się islamu w al-Hidżazie, nieogóscinnej krainie leżącej nad Morzem Czerwonym, zachodziły poważne przeobrażenia natury gospodarczej, społecznej i duchowej. Tutaj, na skutek zmian spowodowanych rywalizacją bizantyjsko-sasanidzką, rozwinęły się nowe ośrodki wymiany towarowej oraz powstało rzemiosło.

REFORMY I WOJNY HERAKLIUSZA

W okresie narodzin islamu dwa wielkie imperia prowadziły ze sobą śmiertelne zmagania. Państwo bizantyjskie na początku VII w. znajdowało się w stanie gospodarczego i politycznego upadku. Wiele prowincji cesarskich znaj-

JAN ZASTOMAR

Początki imperium muzułmańskiego

dowało się pod panowaniem najezdźców. Słowianie i Awarowie opanowali Bałkany, a Persowie prowincje w Azji Przedniej. Cesarz Herakliusz wstąpił na tron w 610 r. i stanął w obliczu trudności wydawałoby się nie do pokonania. Zaczął więc od zakrojonych na szeroką skalę reform administracyjnych, wojskowych i gospodarczych na terenach które jeszcze pozostawały pod władzą bizantyjską, czyli jedynie w Azji Mniejszej. Po wieloletnich przygotowaniach i zawarciu pokoju z chaganem Awarów na Bałkanach cesarz Herakliusz wyruszył w kwietniu 622 r. z całą swoją armią do Armenii, gdzie doszło do bitwy z Persami. To pierwsze starcie wygrali Bizantyjczycy. Wojna toczyła się nadal ze zmiennym szczęściem. Ostatecznie wojska cesarskie zmusiły w sierpniu 628 r. Awarów, Słowian i Persów do ucieczki spod obleganego Konstantynopola. Jesienią 627 r. Herakliusz zadał druzgocącą klęskę pod Ninivą armii perskiej. W 628 r. władca sasanidzki Chosroes musiał abdykować i do cesarstwa wróciły utracone prowincje: Armenia, Egipt, Palestyna, Syria oraz rzymska Mezopotamia. Po sześciu latach trudnej kampanii wojennej cesarz Herakliusz wrócił do stolicy jako obrońca wiary i imperium. To zwycięstwo przyniosło osłabienie potęg Persów i Awarów. Dzięki umocnieniu się Bizancjum plemiona słowiańskie zrzuciły jarzmo niewoli awarskiej. Serbowie, Chorwaci i Bułgarzy dzięki poparciu Bizancjum wyłamali się ostatecznie spod zwierzchnictwa Awarów. Fala nowych przybyszów wzmożniała na Półwyspie Bałkańskim element słowiański.

W dziejach cesarstwa bizantyjskiego panowanie Herakliusza było pod każdym względem wyjątkowe. W tym czasie zmieniły się nie tylko zasady ustrojowe i organizacyjne państwa, ale także nastąpił przełom w życiu kulturalnym. Od Herakliusza datuje się początek właściwej historii Bizancjum, a był to okres epoki rzymskiej. W tym czasie skończyła się w zasadzie dwujęzyczność w cesarstwie. Język grecki, a więc język mas ludowych i kościoła stał się teraz językiem oficjalnym państwa. Przemiany dotknęły także i kościół.

ROZPADŁ SIĘ KOŚCIÓŁ

Sobór Chalcedoński w 451 r. spowodował podział Kościoła apostołowego na Kościół wschodni: monofizyczny i Kościół zachodni: diofizyczny. Jednym z najbliższych ośrodków nabożnych ówczesnego chrześcijaństwa była Aleksandria, a teologowie tego miasta głosili doktrynę monofizyczną. Już w 482 r. cesarz Zenon wydał tzw. Akt Jedności (Henotikon), który miał na celu znalezienie formuły pojednania pomiędzy zwaśnionymi odłamami chrześcijańskimi. Jednakże edykt ten nie rozwiązał problemu podziałów w kościele chrześcijańskim. Nadal trwały spory pomiędzy Konstantynopolem, Rzymem i Aleksandrią. Następnym władcy bizantyjscy jeszcze bardziej uwikłali się w spory i dysputy religijne. Czynnione były wysiłki, by te spory skutecznie łagodzić. Następną doktryną jednoczącą miał być monoteletyzm, uznający w Chrystusie dwie natury, ale jeden pierwiastek działania. Doktrynę tę popierał patriarcha bizantyjski Sergiusz, który zdawał sobie doskonale sprawę z ważności zjednoczenia dla cesarstwa monofizytów Syrii i Egiptu. Ta doktryna, jak i następne, zwana monoteletyzmem, nie osiągnęła celu politycznego i nie doszło do pojednania.

W takich to warunkach politycznych pod bokiem dwóch wielkich skłóconych mocarstw: Bizancjum i Persji rozdzielił się islam. W tym samym roku, gdy prorok islamu Mahomet uchwodził ze swego rodzinnego miasta Meeki, cesarz bizantyjski rozpoczął zwycięski pochód przeciwko Persom. Imperium Sasanidów upadło pod ciosami armii bizantyjskiej, a w tym samym czasie kielkowała nowa potęga — islam.

Po zwycięstwach nad Persami cesarstwo bizantyjskie mogło odbudowywać swoją potęgę, bowiem nie mogli nabywać ziemi poza Półwyspem Arabskim, a poddane ludy musiały płacić mu poddaństwo. Stąd spory religijne, w przeddzień podboju arabskiego dwa wielkie kościoły chrześcijańskie na terenie Bliskiego Wschodu: jacobicki i nestoriański stały się nielegalne. W posiadłościach bizantyjskich monofizyci byli prześladowani, a Nestorianie opu-

ścili cesarstwo i osiedlili się w Imperium sasanidzkim, gdzie znaleźli bardziej przychylną atmosferę dla swojej działalności. Nie więc dziwnego, że wobec muzułmańskich najezdźców w Syrii i Iraku ludność nie stawiała oporu, a nawet im sprzyjała.

Muzułmanie niewiele wiedzieli o religii chrześcijańskiej i podzielałach sekcjarskich. Traktowali wszystkich chrześcijan jako ahl al-kitab (ludzie Księgi), którym przyrzekli opiekę i nietykalność. W 635 r. wódz arabski Chalid ibn al-Walid udzielił ludności Damasku takich oto gwarancji, gdy miasto oddawało się pod zwierzchnictwo muzułmanów:

„Zapewniam się bezpieczeństwo życia ludności, poszanowanie ich mienia i kościołów. Mury miasta nie będą zburzone, a żaden muzułmanin nie zostanie zakwaterowany w domach mieszkańców miasta. Opiekę ludności Damasku poręcza Allah, jego prorok i wstępcy wierzni na tak długo jak długo będzie płacone poddaństwo” (dżizja).

ZA CZASÓW KALIFA OMARA

Największe podboje i mające decydujące znaczenie dla rozwoju islamu nastąpiły w okresie panowania drugiego kalifa Omara sprawującego swą władzę w Medynie. O sposobie rządzenia i stosunkach panujących na dworze surowego kalifa Omara mówi się wiele w tra-

dycjach przekazywanych „najpierw ustnie, a dopiero w późniejszych wiekach spisanych. Wiadomo jest, że kalif kazał aresztować jednego z największych wódców Chalida ibn al-Walida zwanego „Mieczem Allacha” za brak poszanowania zasad islamu, nazbyt wystawne życie i niepodporządkowanie się rozkazom przełożonych. Prawdopodobnie kalif okazał się zawistny o sławę, jaką w szerokich kręgach społeczeństwa muzułmańskiego otaczało utalentowanego wodza. Wiadomo jest, iż Chalid przywłaszczył sobie znaczną część zdobytych łupów i zamiast przekazywać do wspólnej kasy wydawał szczerą ręką na poetów, którzy opisywali jego czyny wojenne. Chalid stał się pierwszym dowódcą wojskowym, który został zdegradowany i usunięty z armii. Żył w nędzy w pobliżu miasta Hims. Umarł w 642 r. w zapomnieniu.

Syria stała się polem do prowadzenia dalszych podbojów na wschodzie, północy i zachodzie. Na miejsce Chalida przyszedł nowy, utalentowany dowódca, wywodzący się także z mekskańskiego rodu Qurajsytów, a był to Amr ibn al-As. Siawę zdobył podczas podboju Syrii i chciał ją jeszcze bardziej ugruntuwać. Dlatego to zwrócił się do kalifa Omara, aby pozwolił mu uderzyć na Egipt. W piśmie do kalifa uzasadniał swoje przedsięwzięcie tym, iż dobrze zna drogę i kraj, który poznał podczas karawanowych wypraw kupieckich do tego zakątka świata. Kalif odpowiedział pismem, w którym rozkazywał: „Jeżeli to pismo otrzymasz przed przekroczeniem granicy, zwróć! A jeśli później, podążaj naprzód i niech pomoc boska ci towarzyszy!”

Naturalnie Amr otrzymał pismo po przekroczeniu granicy i szybkim marszem dotarł do twierdzy Babylon (dzisiejszy Kair). Po siedmiomiesięcznym oblężeniu twierdza poddała się i armia muzułmańska wyruszyła do Aleksandrii, ówczesnej stolicy prowincji egipskiej. We wrześniu 642 r. Bizantyjczycy ewakuowali Aleksandrię, a Amr wysłał krótkie pismo do kalifa, w którym donosił, iż zdobył miasto.

Na froncie wschodnim w Iraku, wojska arabskie po pierwszych sukcesach otrzymały rozkaz nieatakowania Persów. Ale upojeni powodzeniem arabscy dowódcy chcieli sięgnąć po nowe łupy. Dlatego też ze swojej kwatery wojskowej w al-Hira, położonej nad brzegami Eufratu, został wysłany poseł do cesarza Jazdegarda w Ktezifonie. Misja zakończyła się niepowodzeniem i działania wojenne zostały wznowione. Ostateczną klęskę Persowie ponieśli pod Nihawandem, ale i po 642 r. opór Iracyzów trwał jeszcze przez dziesięć lat. Kalif Omar ten podbój przypisał życiu. W piątek 3 listopada 644 r. kalif zjawił się w wielkim meczecie w Medynie, by poprowadzić południową modlitwę, podbiegł do niego człowiek owinęty w czarny płaszcz i uderzył w pierś zatrutym szyletem. Zabójcą okazał się chrześcijański Pers, który został rozszarpany przez muzułmanów znajdujących się w meczecie. W ten sposób zinał kalif, który zniszczył dwa największe mocarstwa, a na ich gruzach zapoczątkował budowę wielkiego i potężnego imperium muzułmańskiego.

Omar poświęcił bardzo dużo energii i wysiłku w celu zorganizowania i skonsolidowania państwa muzułmańskiego. Wprowadził szereg przepisów i skodyfikowanych praw, które stanowiły podstawę funkcjonowania nowego imperium muzułmańskiego. To właśnie on nakreślił zasady i teorię religijną dla wspólnoty muzułmańskiej, a także wypędził zarówno chrześcijan, jak i Żydów z Półwyspu Arabskiego, ponieważ na tym terenie nie mogła istnieć żadna inna religia, prócz muzułmańskiej. Arabowie poza Arabią musieli żyć w obozach, bazach wojskowych. Arabowie nie mogli nabywać ziemi poza Półwyspem Arabskim, a poddane ludy musiały płacić podatki, lecz nie mogły wstępować do armii muzułmańskiej. Ludy te nie podlegały prawodawstwu muzułmańskiemu, lecz rządzili się według swoich własnych praw i tradycji. Ta autonomia przetrwała aż do czasów upadku Imperium tureckiego.

Za kalifa Omara przeprowadzono ze względu czysto praktycznych pierwszy spis kufuńci. Chodziło bowiem o konieczność rozdzielenia dochodu pomiędzy muzułmanów. W ten sposób tworzyły się zreb organizacyjne wielkiego imperium muzułmańskiego.

„Charley” jest dobry na wszystko

Rock-Festival” w Montreux sala jest skromna choć rozległa, mieści się wprawdzie w Kasynie, lecz nie ma pretensji do wytworności Świąta przyniosło „Lastró” pełen luzu i swobody. Tu się stoi a nie siedzi. Wszyscy stoją, jeden przy drugim w dużym sterczeniu. Parada młodych — święto radości i wesoła.

— Też mi coś, kiedyś, ach kiedyś, żebym słyszał te dawne koncerty „Beatlesów”...

Czterech chłopców z Liverpoolu wciąż się jeszcze o nich pamięta. Paul nadal występuje. Ringo zgrywa się na dowcipnisia i kawalarza. Georg zakopał się na wsi. Żyje niczym mnich. Johna już nie ma. Kiedyś był „Beatles” śpiewali: „Yesterday all my troubles seemed so far away... Oh, I believe in yesterday... wczoraj wszystkie moje troski tak dalekie się wydawały... Oh, ja wierzę w to wczoraj...”

Dziewczyna o brązowych ramionach i kruczych gładko zaczesanych włosach stała nieruchomo. Wyglądała tak ściemniając, jakby ktoś wyciągnął ją z wnętrza ciemnego kościoła. Stała milcząca, samotna jakby w tej ciżbie zaburzona. Wtem przytknęła sobie chusteczkę do nosa i głęboko wciągnęła powietrze. Po jakimś czasie posąg ożył, zadzwonił jak w transie.

Czarna podrygiwała nóżką do rytmu, klaszcząc nad głową w dłonie.

— Tak jestem teraz no, ale oni też są no...

Miała na myśli czwórki rockowe na scenie. Dotkniętych zbiorowa iakw konwulsja. Chłopcy rzucali się wściekle na wszystkie strony. Zdało się, że lada moment runą obezwładnieni przewlekłym atakiem padaczki. Ale nie choć powyginiani i poskrepani w najbardziej nieprawdopodobne esy floresy, utrzymywali o dziwo idealną równowagę typic bez przerw w białkami. Mieli zdrowie te chłopaki, a kondycje żelazna.

Czy oni istotnie też byli po malej... dawce?

Nim Peter Fonda i Dennis Hopper dostępi rumaków w filmie „Easy Rider” z 1963 r. wepchnęli sobie do nosa z nieukrywaną rozkoszą nieco tabaczki. Kto był na tym filmie, scena zapamiętał. Domyślano się od razu że tabaczką była kokaina. Tak to się zaczęło. Wartość potęgi „coca” podbiła Amerykę.

Chłopcy z Liverpoolu John Lennon, George Harrison, Paul McCartney, Ringo Starr. Na szczycie chwalił i powodzenia wspięli się 20 lat temu Ameryka zgotowała im owocny przyjęcie. Nastolatki oszaleły. Każdy występ „Beatlesów” sledziło z zapartym oddechem 80 milionów telewizorów... yeah, yeah, yeah... płyt z tym jednym tylko nagraniem rozszło się w jednym tylko roku ponad 200 milionów.

„Beatlesmania” i zaraz potem kokainomania.

Zastanawiające właściwości peruwiańskiego krzewu „coca” doceniono już przed wielkimi. Nie uszło uwadze wielu że zawierają one silny narkotyk. Indianie w wysokich Andach od pokoleń mieszały „coca” z rozżwierzonym wapnem. Po czym żużali. „Coqueros” pakowali liście wprost do ust i tak żużli. Gdy się usyćli tap babe i do chaty. W siódmym byli niebie „coca” dobrze robi chłopom... yeah, yeah, yeah...

Sigmund Freud przepisywał pacjentom „coca” już w 1885 r. Leczył tym narkotykiem astmę, bóle żołądka, depresję i stany nerwowe. Wyczerpania. Po dłuższym leczeniu nawet inpotent stawał się wzbudziw i erotycznie. Beznadziejnego czasem melancholika Freud wyliczał narkotykiem na obłoki radości euforii. Anj mógł wiedeński psychoanalityk ożwiedzieć że z biegiem lat „coca” obok heroiny i alkoholu stanie się społeczną plagą — jednym z trzech źródeł Apokalipsy. Na czwartego przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać.

Korsykańczyk Angelo Mariani długo bity przez los i kopany, wpał wreszcie na genialny pomysł. Z końcem wieku rzucił na rynek czerwone wino wytrawne z domieszką „coca” „Vin Mariani” napój cudowny.

boskiej zaiste nektar. Na liście stałych klientów signor Mariani znalazła się Sarah Bernhardt, Jules Verne, Emil Zola i papież Leon XIII.

Ta wielka kokainowa fala nadeszła wszakże dopiero po pierwszej wojnie światowej.

Pitigrilli opublikował w ten czas „Kokaina”. Książka z miejsca stała się bestsellerem i biblią niejakiego mieszczańskiego Berlina. Niemcy, zniesieni klęską szukali w latach dwudziestych ukojenia w narkotyku. W aptekach pojawiła się kokaina syntetyczna, pod nazwą „nowokokainy” i „tutokainy”. Herman Goering już wtedy stał się nalogowcem Hitlerowi wstrzykiwał ten narkotyk dr Morell w latach wojny w formie „amfitamin”.

Najnowsza kokainowa fala uderzyła wplw w oba brzegi Ameryki w latach siedemdziesiątych. I od razu zawiadła lepiej sytuowanymi z tak zwanym „middle class”. Codziennie używa kokainy blisko 6 milionów osób rozrzuconych po wszystkich rejonach Starów Zjednoczonych. „Coca” trzykrotnie jest tańsza od heroiny, rzadko kogo ogolacza do szczętu.

Obroty tym narkotykiem przekroczyły w Stanach w ubiegłym roku 40 miliardów dolarów. Według „Fortune” stale wzrastają. Czasopiśmie zauważyło niedawno z sarkastyczną ironią, że „Coke and Co” wysunęło się przed koncernem Forda na siódme już miejsce wśród najbogatszych przedsiębiorstw tego świata. Peruwiański listek okazał się złotą żyłą.

„Charley” jest dobry na wszystko to mój najwierniejszy przyjaciel... „Charley” to oczywiście codzienna porcyjka czystej w miarę możliwości kokainy. Słodki mój „Charley”... W 1982 r. Rainer Fassbinder przekonał kilka prosków nasyennych. Następnie sięgnął po nieodłączną „coca”. Z czymś przeholował, gdyż po kilku godzinach zmarł w swym monachijskim apartamencie. Przedtem odeszła Marilyn Monroe. Odeszło wielu innych aktorów w pełni niejako sił twórczych.

zawsze w dość tajemniczych okolicznościach.

— Człowieku, czyś spadł z księżycy, oni wszyscy biorą „coca”, to jest w dobrym tonie, cały Hollywood chodzi jak w transie...

Jedni kryją się za kotara, inni się tym zgola ańszują. „Rolling Stones” żadnych nie robią uników. A coż to nie wolno? Muszą, inaczej skąd by wzięli tyle siły i energii? Nie tylko sportowcy się dopingują takie czasy, a nie inne. Kiedyś „Stonowcy” opóźnili występ o pół godziny: „no snow, no show... nie ma śniegu, nie ma koncertu...”

„Snow”, zatem śnieg to nie innego jak białutki oroszek kokainowy do wachania. Czterech chłopców z Liverpoolu, im też nieźle uderzyło... transcendentalne medytacje... tybetański joga... guru Maharishi... seanse narkotyczne... japońska dziewczyna. No i bomba wybuchła. Ślub Johna z Yoko Ono oznaczał początek szybkiego końca. Zespoli się rozpadł. Od 1970 r. nigdy już wspólnie nie wystąpił.

100 milionów dolarów, taki kasek podsunął im Hollywood za jeden jeszcze jedyny wspólny występ. Nie i już, szkoda gadania, minęło i nie wróci. Pęknięty dzwon nigdy dawnego tonu nie wyda. Każdy poszedł swoją drogą na przeczaczeniu. W grudniu 1980 r. John Lennon padł od kul schizofrenika. Był duszą zespołu i jego sercem. Szokował i prowokował. Pozował fotografom nago w małżeńskim łóżu z nagą Yoko Ono. Była „Beatlesmania”, dzisiaj jest „kokainomania”.

W Lozannie znajduje się kokaina w barze Bel-Air. w Yverdonie w jednym z bistro, w Genewie na placu du Molard, w Bernie na rynku pod arkadami i na przykatedrałnym skwerku. Nie ma problemu: „qui veut du marocain, du libanais... komu marokańską, komu libańską?”

Ceny dosyć wyśrubowane, 120 franków, zatem 50 dolarów za gramową porcyjkę. To już nie w kij dmuchał, jeśli się zważy że przeciętny zarobek w Szwajcarii oscyluje wokół 3600 franków miesięcznie. Kokainomania szerzy się głównie w środowisku aktorów, muzyków, artystów, śpiewaków i dziennikarzy. Z wolna demokracja się wychodzi na ulicę, przedostaje się do szkół. Przypadano na „kokainowym” seansie” grupkę 14-latków z ultrakatolickiego gimnazjum w Saint-Maurice.

W 1980 r. skonfiskowano w Lozannie zaledwie 700 gramów „coca”, w trzy lata później już kilkanaście kilogramów.

— Po szampianie z „coca” mam tygrisa w głowie i lwa między nogami, żadna mi się wtedy nie oprze...

Na „Rock-Festivalu” w Montreux tańczą na sali dziewczęta Wirują lekko biodrami z rękami wysoko uniesionymi nad głowę. Mało się nie zaklaskują. Jest fajnie, jest wspaniale, jest jak nigdy przedtem. Te dziewczęta wydeptują w weekendowe przedpołudnie chodnik przed „Montreux Palace Hotel”. Przed marmurowym portalem stoi tu wytworny portier w galowym mundurze, w kurtce zdobnej w epolety i pończacane spinki.

Po południu dziewczęta przenoszą się na bulwar biegnący nad samym jeziorem lemańskim. Spacują i wypatrują. Są piękne i świeże jak polne kwiaty po rannej rosie. One wiecznie polują. W Montreux roi się od nadzianych turystów i milionowych bogaczy. Kiedyś zjeżdżał tu kupcy z Moskwy i polscy ziemianie z Ukrainy. Dziś zjeżdża tu cały świat.

Na scenę wyskoczyła Nena ze swym zespołem i przez moment sala zamarla. Nawet czarna zastęga znów w pozie kościelnego posagu.

Co się dzieje z dawnymi „Beatlesami”?

„Georg Harrison zamieszkuje neogotycki pałac o 70 pokojach w Oxfordshire nad brzegiem Tamizy. Budynek zachwyca przepychem i majestatem. Georg uprawia warzywa i żyje jakby w zamknięciu ze swą meksykańską żoną Olivią Arias. Wszędzie ma pozakładane kraty, żaluzje i zasuwki. John już odeszł...”

„Paul McCartney osiadł na wsi. Ma dużą farmę. Jest z nich wszystkich najbogatszy. Jego majątek szacuje się na 400 mln dolarów. Wciąż występuje. Prowadzi z żoną zespół „Wings”. Ma czworo dzieci. Jest wegetarianinem. Sielankowa to niemal idylla w otoczeniu koni, psów, kotów i kanarków.

„Ringo Starr, ostatni z czwórki liverpoolskich „boys” mieszka w Berkshire, w białym piętrowym pałacyku. Własne rezydencje posiada też w Los Angeles i Monte Carlo. Dowcipniś to i kawalarz. Urządza wesela przyjęcia. Należy do międzynarodowej „Jet set society”. Bawi się i spoczywa na laurach.

W szykownej willi nad jeziorem lemańskim podaje się do stołków przy basenie kąpielowym srebrną tacę z piramidką białego proszku pośrodku. Goście wachają. Następuje seria koktajli. I znów pojawia się srebrna taca. Krąży między

stołkami. Nie ma obawy. Sami swoi. Dziś tutaj, za tydzień gdzie indziej. Nie jest to środowisko rozwiazne czy dekadentkie. Może raczej lekko komiśne, szukające ucieczki od rozterek i kłopotów.

Inżynier jest otyły, z czarną brodą i w ciemnych szkłach. Już bardziej przypomina arabskiego szejka niż dużej klasy szwajcarskiego chemika. Inżynier wrócił z ordred rękami z Kalifornii i oprzwłóki ze sobą pewien nawyk i przyzwyczajenie.

— Ta przyjemność kosztuje mnie już 2000 franków „nie-sięcznie. Ale co mam robić? Nie mam wyjścia, płacę ten naracz, bo inaczej bym się nadawał już tylko na złom i emeryturę.

Kokaina ma zdecydowaną przewagę nad heroiną. Jest dogodniejsza w użyciu. Wstrzykuje się ją dożylnie, łyka wacha, miesza z winem, wciąga jak tabaczkę. Wygodnie to i nie wzbudza podejrzeń. „Coca, coca”, cudowne życie, takie bez trosk i zmartwień o jutro. Wszystko zdaje się nagle łatwe i dostępne. Starczy powaćać. Sama rozkosz, naprawdę...

Nalogowiec wchłania po 3-4 gramy narkotyku dziennie. Powoli choć nieuchronnie sam sobie zaciska węzeł na szyi... bicie serca, chorobliwa białochława, drżenie kończyn, niebyła pobudliwość. Wreszcie, któregoś ranka widzi się kosmitów na balkonie. Coż to, halucynacja, czy żyć może sen? Od tego dnia kosmici wloką się za ofiarą już wszędzie. Nie ma przed nimi ucieczki.

Nena, z domu Gabriela Kerner, lat 24, to nowa gwiazda teutońskiego rocka. Już zadręgał jej wiotkie ciało w jakimś szpazmatycznym skrecie. Już wyleciał z jej krtań słodki żądliwiający zaśpiew z mocno wybijanym rytmem. Przeciagle zawtórowali jej „boys” z gitarą na brzuchu i długim kołczykiem w prawym uchu. A potem, to już było potem.

Było fajnie, było swojsko i było wesoło. Życie w radości, w ekstazie, w jakiejś niepojętej euforii, choćby tylko przez krótką chwilę. A ten starszy facet skąd się tu wziął? Po co tu wlaź ten prehistoryczny relik, za czym tu chłucha? Muzyka musi być z ładunkiem, z ekspresją, musi być z szarpiącym nerwy rytmem. Tego dopiero chce się słuchać. Nie dla ciebie, sklerotyku, ten miód.

JAN BĄBINSKI

W pulsującym światłami labiryncie

1.

W Buenos Aires nieliczne domy towarowe rzadko podobne są do wielkich magazynów, spotykanych na przykład w Europie. Przeważają małe i średniej wielkości sklepy, których duża liczba powoduje, że zakupy przypominają błądzenie w szklanych labiryncie. Zdarzało się, że gdy chciałem ponownie odwiedzić sklep, w którym widziałem coś ciekawego, miałem nieraz kłopoty z jego odszukaniem.

Kolorowe wystawy zapowiadają wiele atrakcji, jednak po wejściu do środka można się niekiedy rozczarować. Oczywiście są sklepy, które oferują artykuły wysokiej jakości, ale nie brak też tandety. Dotyczy to zwłaszcza ubrań. Oglądana przez szybę bluzka, odpowiednio oświetlona i ułożona na wystawie, na ogół nieco gorzej prezentuje się w sklepie, gdy widzi niedbale na wieszaku. Ale przecież właśnie chodziło to, aby przyciągnąć uwagę potencjalnego nabywcy.

2.

Sprzedawcy witają klientów przyjaznym uśmiechem i obowiązkowym „buenos dias”. Po tem następuje lawina pytań.

— Czy możemy pomóc?
— Nie, dziękuję. Chciałem tylko się rozzejrzeć.
— Czy szuka pan czegoś szczególnego?
— Właściwie nie zamierzam niczego kupować...
— A może jednak pan coś wybierze?

Gdy tylko klient zainteresuje się jakimś artykułem, np. swetrem, na ladzie pojawia się od razu kilka podobnych wyrobów, różniących się nieco rozmiarem lub zestawem kolorów. Wystarczy tylko powiedzieć „ten”, a po chwili — nim kupujący zdąży sięgnąć po portfel — sprzedawca pokazuje koszulę, która — jak twierdzi — znakomicie pasuje do wybranego przed chwilą swetra.

W sklepach z ubraniami dla pań ekspedientki przeważnie mają na sobie najbardziej atrak-

cyjne stroje znajdujące się aktualnie w sprzedaży. Klientka od razu może ocenić jak wyglądać będzie w nowej sukience, nawet jej nie przymierzając. Również mężczyźni, którzy szuka prezentu dla żony lub narzeczonej, łatwiej jest się na coś zdecydować, gdy może sobie wyobrazić jak osoba obdarowana będzie w tym wyglądać. Przekonałem się dzięki temu do modnych ostatnio dżinsów w kwiatki. Tradycyjnych teksasów już się nie nosi.

Ale bardziej niż odzież interesował mnie sprzęt grający. W Buenos Aires nie znalazłem, niestety, typowych salonów muzycznych. Magnetofony, kasety i gramofony sprzedaje się tam razem z pralkami, żelazkami czy wszystkim, co również pracuje na prąd. W ogóle natomiast nie widziałem szlagieru ostatnich lat, który — na razie kanałami prywatnymi — dotarł również do nas, a mianowicie odtwarzacza płyt laserowych. Widać tamtejszy rynek nie docenia zalet urządzenia przekazującego muzykę bez żadnych zakłóceń. Za to Argentyni, zwłaszcza młodzi, szaleją na punkcie gier elektronicznych i minikomputerów. Sporo klientów mają też wypożyczalnie kaset video.

3.

Dla przeciętnego Argentyniaka istotne znaczenie w podejmowaniu decyzji o zakupie towarów ma ich cena. Dlatego też podaje się ją w reklamach. Oczywiście tylko wtedy, gdy jest ona atrakcyjna dla nabywcy. Niektóre dobra trwałe użytku, jak np. telewizory czy magnetofony są — w porównaniu ze średnią pensją — bardzo drogie. Czy można wówczas oddziaływać na popyt? Okazuje się, że można, ale slogan musi wówczas być oryginalny. Podobala mi się reklama kolorowego telewizora, w której nawet nie próbowano nikomu wmówić, że odbiornik mało kosztuje, co zresztą nie było prawdą. Po informacji o wszelkich jego zaletach następowało jedynie suche, lecz jakże wiele mówiące, stwierdzenie: „Drogi, ale najlepszy”.

Dziś Argentyni nie musi się specjalnie śpieszyć z podejmowaniem decyzji. Minęły czasy, gdy galopująca inflacja, której wskaźnik roczny przekroczył już 1000 procent, zmniejszała, niemal z dnia na dzień, siłę nabywczą pieniądza. Doszło do

tego, że za banknot o nominale 1 mln „starych” pesos można było kupić żeton uprawniający do jednego przejazdu metrem.

Po wprowadzeniu w życie, w czerwcu 1985 roku „Planu południowego” („Plan Austral”) sytuacja się unormowała. Dzięki zamrożeniu plac, kontroli cen i innym krokom, podjętym przez rząd, tempo inflacji zmalało, a Argentyniacy mogli spokojniej planować zakupy.

4.

Jeśli więc ktoś z góry nastawia się na mniejszy wydatek, to musi wybrać się w okolice stacji kolejowej „Once”. Tu wszystko jest nieco tańsze. Towar leży na stołach. Można do woli oglądać, wybierać. Ekspedient chętnie doradza, znajduje odpowiedni rozmiar, ale nie są już tak wylewni jak w salonach cłagnących się wzdłuż ulic 9 de Julio, Florida czy Corrientes. Aby nie było w sklepach tłoku wypuszcza się tylko nieliczną grupę klientów. Pozostali muszą czekać na zewnątrz. Można tu nieraz coś okazjnie kupić, ale nie jest to wcale takie proste. Nietrudno trafić na bubel, z którego nabywca nie będzie się długo cieszył i wkrótce przekona się, że źle zrobił załóżąc kilku australi. Ponadto trzeba się uzbroić w cierpliwość i oglądać wystawy z daleka, gdyż zwykle sprzedawcy stoją przed sklepami, wypatrując potencjalnych klientów. Jeśli zobaczą, że ktoś zdradza zainteresowanie ofertą handlową, zapraszają do środka. Każda wystawa to kolejne pytanie „Czy widzi pan coś dla siebie?” Być może mieszkańcy Buenos Aires są do tego przyzwyczajeni, natomiast mnie dość szybko rozboleła głowa. Postanowiłem się wycofać.

Na szczęście autobus „41” lacy stację „Once” z innym miejscem, gdzie — jak mnie poinformowano — jest też niedrogo, ale za to sprzedawcy nie są tak namolni.

— Czy dojadę do „Munro” — spytałem klientowce.

— St. senior. Do sklepów fabrycznych?

— Tak. Czy to daleko?

— Za aleją General Paz. Powiem panu kiedy wysiąść. Zresztą, jak się będziemy zbliżać, to pan sam się zorientuje.

Zająłem więc miejsce z tyłu autobusu, rozłożyłem na kolanach plan miasta i czytając tabelki z nazwami ulic, próbowałem określić gdzie jestem. Podróż była długa, ale też билет kosztował ponad dwa razy drożej niż z ulicy 9 de Julio do „Once”. Wreszcie dojechałem. Nie miałem wątpliwości, chociaż jeszcze na wszelki wypadek, spytałem kierownicę Potwierdził kiwnięciem głowy. „Wrangler”, „Lee”, „Fu’s”. Można by wymienić bez końca nazwy słynnych firm, które widnieją nad witrzynami.

Szczególnym powodzeniem cieszy się magazyn, gdzie można nabyć kurtki, spodnie, koszule i inne artykuły z metką „Levi’s”. Codziennie gromadzi się przed nim spora grupa ludzi, którzy grzesznie czekają w kolejce aż otworzą się drzwi. Co parę minut opuszczają sklep klienci skiskając w dłoniach reklamówki z wydrukowaną na nich, znaną w wielu krajach, nazwą producenta odzieży.

5.

Na ulicy Florida spostrzegłem niedbale ubranego mężczyznę z siwą brodą, który stał przy jednym z nielicznych w okolicy kawałków muru, między dwiema witrzynami, trzymając w dłoni małe zwiniałko. Gdy podszedłem bliżej, zwrócił się do mnie.

— Tylko pół australa, senior.
— Ale co to jest?
— Proszę spojrzeć — powiedział, wskazując ręką na podskakującą przy murze, na wysokości kilkunastu centymetrów, papierową figurkę, dość niestarannie pokolorowaną.

Ku mojemu zdziwieniu lalczka sama odbijała się od ziemi. Nie mogłem uwierzyć. Obok zatrzymałem się kilkunaltki chłopiec.

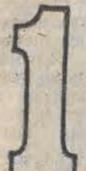
— Kup mi tego skaczącego pajacyka — prosił mamę.

Odsunąłem się na odległość kilku metrów, aby uchwycić w obiektywie aparatu brodatego mężczyznę i lalczkę.

— Proszę nie fotografować — krzyknął do mnie sprzedawca. — Dopiero jak pan kupi, będzie pan mógł zrobić zdjęcia. Tylko pół australa.

Sięgnąłem do kieszeni, chociaż wciąż nie wiedziałem na czym polega sekret. Nagle zauważyłem cienką, niemal całkiem przezroczystą żyłkę, która biegła od leżącego na ziemi kamienia do ręki sprzedawcy...
Odcinając przypomniałem sobie szczęśliwą minę chłopca i pomyślałem jak wielkie będzie jego rozczarowanie, gdy w domu wyjmie z folii zabawkę, a ta nie zechce sama skakać.

GRZEGORZ WALENDA



Nagle zastępstwo

Jakobini kontra „Veto”

Pisałem już — kilka miesięcy temu — o secesji w ruchu naturystycznym. Wracam do sprawy, nie ze względu na szczególną wagę tematu, przeciwnie, cały ruch naturystyczny tyle mnie interesuje, co problemy windsurfingu na przykład. A windsurfing interesuje mnie akurat tyle, co — dajmy na to — heliofizyka. Nie wiem, czy nie takiego nie ma wcale? Otóż secesja w ruchu naturystycznym wraca w pole moich zainteresowań, bowiem są nowe fakty i wydarzenia, nowa — za przeproszeniem — jakość.

Przypomnijmy w skrócie. Naturystyczny Józef odchodził się był swego czasu od zasadniczego trzonu tego ruchu, reprezentowanego przez tzw. frakcję warszawską, dowodzoną przez ideologa, stratega i organizatora naturyzmu polskiego, Sylwestra Marcza. Zarzucili oni frakcji Marcza, że nazbyt lekko traktuje doktrynę ruchu, zamiast tylko promować wspólne kąpiele i planowania bez majtek, marczakowski organizacja jakiejś bale, popierają stryptyz i frywolne rozrywki w rodzaju „sekscesów” uprawianych przez niejakiego Drodę w koprodukcji z Feridunem Erolom przy wsparciu pozostańki Zielińskiej Krystyny i filara „Trybuny Ludu” Brętarka Zymunta.

Od paru tygodni sprawa ma dalsze reperkusje. Oto prezes naturystów Józef Józef Kubiński zaciął anateme na tygodnik „Veto” a zwłaszcza jego redaktora naczelnego, Nabęca Jaweckiego. Wspomnijmy. Należąc (nie jest to mieliby) w ścisłej współpracy z frakcją Marcza propaguje już nie tylko stryptyz i bale, ale posunął się tak daleko, że łączy z ideą naturyzmu nawet homoseksualizm i nawołuje do różnych orgii seksualnych, które wyznaczają rolę Nerona!

Skąd nad rozumieniem zwrot ku cesarstwu rzymskiemu w redakcji pisma, które jako jedne obok „Forum” pismo laickie ma łaciński tytuł.

Jednym słowem, sytuacja „na dzień dzisiejszy” ma się tak — z jednej strony dość potężna frakcja Marcza i „Veto”, skupiające pod sztandarem naturyzmu praktycznie bardzo szeroki front wszystkich miłośników rozrywek, do uprawiania których raczej niezbędna jest pozbycie się co najmniej dolnej garderoby, a z drugiej strony mniejszościowe stronnictwo Józefkie, które można nazwać fundamentalistami albo — od nazwiska prezesa — jakobinami ruchu. Ci znów traktują naturyzm ortodoksyjnie ograniczając go do — całkowicie wręcz — ale tylko do wspólnego obmywania się bez żadnych tam takich. Domagają się zech „zabici Drodę” i rozzeromić. Jak król Jan III wszelkie sekscesy. Feriduna Erola. Mało tego, Żadają zaka za z publikacji z całej oma wianej dziedziny w tygodniku „Veto”.

Ten fakt ostatni właśnie skłania mnie, aby podjąć temat secesji i zabawić się w futuro-poltologię. Ekspertyzę moja — do celów taktycznych — wykorzystywać mogą obydwie strony, honorarium zgórć się zrzekać i przeznaczam na propagandę naturyzmu wśród Łaponczyków. A oto moja ekspertyza.

Póki co, góra frakcja Marcza. Po pierwsze, jest stolczna i wiadomo, że ma agendy w terenie. Po drugie ma oręź propagandową w postaci tygodnika który — gdy sprawy posuną się dalej — może nawet uzyskać status dziennika a swój podtytuł tygodnik każdego konsumenta” zmienić na „organ każdego naturysty” choć przynajmniej będzie co do owego dwuznaczności. Po trzecie, marczakowski urawiała co w rodzaju wielowiatonolado-

wości, odwołują się do szerszej bazy społecznej — jak wspomniano wyżej, do wszystkich, którym nieobce są wszelkie rozrywki, wymagające choćby czasowej i choćby częściowej rezygnacji z garderoby. Jak się tak dobrze zastanowić to blisko 100 proc. dorosłej populacji mniej lub bardziej zapalczywie coś z tych rzeczy uprawia! Zatem frakcja odwołuje się do bardzo szerokiej bazy społecznej, do prawie całego społeczeństwa. Ma więc szansę na prawdziwy front ludowy!

Wszystko, co mogą marczakistom przeciwstawić jakobini to czystość doktryny. Niewątpliwie atrakcyjna dla prawdziwych, zdecydowanych na wszystko, kadrowych członków ruchu. Jednak czy atrakcyjna dla szerokiej mas naturystycznej?

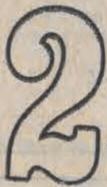
Przyszłość może zarysować się następująco: fundamentalistyczna rezygnacja z masowej propagandy, wprowadza ceremoniałne, na pół tajne formy wtajemniczenia i coraz węższe kręgi wtajemniczenia. Powołają gruncie ideologów dbających o rzetelną podbudowę ideologiczną i czystość doktrynalną. Oddziałują się od reszty, a ewentualna walka o przewodnictwo ruchu odłożą na dalszą przyszłość. Jeśli jednak znajdzie się wśród nich człowiek czynu, obdarzony charakterem, energią i ambicją, wybiora inną drogę — wyszkolą własne ramie zbrojne, jakieś bojówki, jakieś pikietki na placach naturystycznych, jakieś demowalowanie saty i rozbijanie balów naturystycznych. Naturysta — jakobina można będzie poznać np. o pasce na — dajmy na to — lewym ramieniu... albo gdzie indziej, gdzie tam naturystę wygodnie.

Staną się zmorem marczakistów spowodują, że ze strachu znaczna ich część opuści szeregi itd. itp.

Jest jeszcze inny sposób. Korzystając z doświadczeń przeciwnika postarać się o rozszerzenie bazy społecznej o sojusze taktyczne, choćby ze stronnictwem zielonych (Stronnictwo zielonych to od tam stajacy po stronie ochrony środowiska, Nie należy ich mylić z panami wystającymi pod Pewexem).

Przydałby się także organ prasowy „Veto” już założony. A może powołać nowe pismo. Oczywiście, doktrynalnie czyści. Najlepiej pod ładnym, łacińskim tytułem. Krótkim wpadającym w ucho. Co o nowie powieźda na „Veritas nuda”? Nie znając języka łacińskiego wyjaśniam, że nie znaczy to wcale „nudny sklep z dewocjonaliami” tylko „Naga prawda”!

ANDRZEJ KAROL



Przypowieść wschodnia

Perszeronia od dawna borykała się z kłopotami mieszkaniowymi. Jednym ze sposobów, jakie wymyślił regent Przewalski była reorganizacja powierzchni stajni. Regent wydał był edykt, który jasno określał że „każdy obywatel Perszeronii ma prawo do jednego boksu w stajni”. I konie... Oporyczy wnosila protesty, dworacy sarkali, że za swoją wierną służbę nie mają prawa nawet do tego kawałka dachu nad głową i wiazki słomy więcej niż szary obywatel. Tak było do przewarto. Kiedy po zęgencie Przewalskim władzę objęła junta pół-krwi-arabów znów zaczęły się protesty nadania, przywileje... Do czasu restauracji regencji! Nowy regent Siwek II był władcą sprawiedliwym, ale i rozważnym. Zasada elementarnej sprawiedliwości społecznej obwarował rozsądnymi, umotywowanymi wyjątkami. W największym

skrócie brzmiała ona tak: obywatela szczególnie zasłużeni i piastujący najwyższe urzędy mieli prawo do dwóch boków. Obywatele wyróżniający się w wyszczególnionych i urzędniczej rangi — jeden bok, ale trochę większy, z tzw. dodatkową powierzchnią. Po namyśle rozszerzył jeszcze mądry, stary regent te klauzule — do powiększonego boksu uzyskał prawo obywatela zatrudnieni w szczególnie ciężkich warunkach. Dotyczyło to pewnej kłopotliwej mniejszości obywateli Perszeronii, mianowicie dromaderów, zatrudnionych głównie w przedsiębiorstwach Transportu Pustynnego.

Dromader Ali Ben Kara, starający się od dawna i bezskutecznie o przydział miejsca w stajni wyległ się po pracy pod drzewem i — pozewuiac — przelał organ urzędowy „Rzecz poranne”, kiedy natknął się na tekst nowego edyktu. Nie ma się czym ekscytować — pomyślał — znam ja urzędników z Urzędu Kancelarskiego. Żadnego boksu nie dostane a co dopiero powiększony!

Nie miał racji! Nie mogło kilka dni jak przybiegła do niego zebra pocztowa: — proszę pokwitować! — zakwitowała i pobiegła, była bowiem ekspresowa.

Ali Ben Kara spojrział... i ślepiem nie uwierzył! Wezwania do Urzędu Wielkiego Stajennego w sprawie przydziału boksu w stajni!

Stara kobyła w UWS nie kryła niezadowolona: — Popatrzcie konstwo, dla zwykłych, rodzinnych chabeł nie ma dość miejsca, a oto przybioda gromade, ma przyspieszony przydział!

I rzeczywiście. Był przydział, zgodny z edyktem na boksu o zwiększonej powierzchni. Nie tylko, z doskonałą lokalizacją, w śródmieściu, obok centralnego wodonoju i w pobliżu kamunatnej jakli!

A zaświadczanie — zaświadczanie się złożyła kobyła — o prawie do dodatkowej powierzchni jest?

— Nie ma — stropił się Ali Ben Kara — a jest potrzeba? Przecież w edyktie wyraźnie stoi, że dodatkowa powierzchnia przysługuje dromaderom. Ze jestem dromaderem widać, niestety, na odległość.

— Widać nie widać, ja tam nikomu w garby nie zaglądam. Oto formularz. Z tym formularzem, poświadczonym w miejscu pracy udaj się do Urzędu Kancelarskiego, Wydział Ceremonii i Widowisk!

Nasz dromader pobiegł truchtem. Zaświadczenie w dziale kadr Przedsiębiorstwa Transportu Pustynnego dostał od ręki i pognał co tchu do Wydziału Ceremonii i Widowisk.

Ciężka sprawa — pokraczył ibem nierzym w Wydziale — dużo mamy takich spraw, potwra ze dwa miesiące...

— Nie rozumiem — zdziwił się dromader — sprawa jest prosta, gołym okiem widać, że nie jestem kucykiem a dromaderem, zaświadczenie z Transportu jest, co tu zatwierdzać? Przystawili kopyto i tyle...

— Wy tu, sobie kucykami pyska nie wycierajcie. Sprawa prosta nie jest! Musi ją zaopiniować Naczelnik Gniazdosz z Wydziału Ceremonii i Widowisk. Co tu ma wspólnego z przydziałem boków?

— Nie nie rozumiem, jak to opłaca Baalama — zerknął na apetyczną oślicę, swoją sekretarke — pardon, jak dromader jakli Wydziałowi Ceremonii podlegają wyściگی a zdobywcy nagród na wyszczególnionych boksu w stajni? I konie... Oporyczy wnosila protesty, dworacy sarkali, że za swoją wierną służbę nie mają prawa nawet do tego kawałka dachu nad głową i wiazki słomy więcej niż szary obywatel. Tak było do przewarto. Kiedy po zęgencie Przewalskim władzę objęła junta pół-krwi-arabów znów zaczęły się protesty nadania, przywileje... Do czasu restauracji regencji! Nowy regent Siwek II był władcą sprawiedliwym, ale i rozważnym. Zasada elementarnej sprawiedliwości społecznej obwarował rozsądnymi, umotywowanymi wyjątkami. W największym

skrócie brzmiała ona tak: obywatela szczególnie zasłużeni i piastujący najwyższe urzędy mieli prawo do dwóch boków. Obywatele wyróżniający się w wyszczególnionych i urzędniczej rangi — jeden bok, ale trochę większy, z tzw. dodatkową powierzchnią. Po namyśle rozszerzył jeszcze mądry, stary regent te klauzule — do powiększonego boksu uzyskał prawo obywatela zatrudnieni w szczególnie ciężkich warunkach. Dotyczyło to pewnej kłopotliwej mniejszości obywateli Perszeronii, mianowicie dromaderów, zatrudnionych głównie w przedsiębiorstwach Transportu Pustynnego.

Dromader Ali Ben Kara, starający się od dawna i bezskutecznie o przydział miejsca w stajni wyległ się po pracy pod drzewem i — pozewuiac — przelał organ urzędowy „Rzecz poranne”, kiedy natknął się na tekst nowego edyktu. Nie ma się czym ekscytować — pomyślał — znam ja urzędników z Urzędu Kancelarskiego. Żadnego boksu nie dostane a co dopiero powiększony!

Nie miał racji! Nie mogło kilka dni jak przybiegła do niego zebra pocztowa: — proszę pokwitować! — zakwitowała i pobiegła, była bowiem ekspresowa.

W Zoofilli była właśnie akcja kastrowania zająców, trzeba było przedstawić zaświadczenie, że się nie jest zającem. Groziło mi, że nie będę mógł mieć synów podobnych do mnie...

Kiedy przyjechałem, Jego Wysoka Parzystokonytność zaręczała, że tu, w Perszeronii jest prawdziwa praworzadność i żadnej biurokracji nie ma...

BEN GRUNDIK

P.S. Wszelkie podobieństwo sytuacji itp., itd...



Nie chcę być wynalazcą

Przynajmniej publicznie i zupełnie dobrowolnie, że nigdy nie chciałem być wynalazcą. Chociaż z drugiej strony... Wiaściwie to byłoby bardzo miło chodzić z głową pełną pomysłów, koncepcji, teorii, grzebiąc w skomplikowanych wykresach, obliczeniach, nie tylko rozumieć dlaczego działa komputer i umieć się nim posługiwać, ale też samemu umieć zbudować coś bardziej wynalazczego od komputera. To musi być rozkosz, niebywała. Chociaż z drugiej strony...

Luź to wynalazców chodzi nieszczęśliwych po świecie. Ich wynalazek zyskał ogólne uznanie, parę tytułów i nagród, a oni pochyliło się nad rysunkami i wyliczeniami i z uznaniem kiwają głowami. Urząd Patentowy uznał wynalazek za oryginalny, a później wszyscy okazali całkowity brak zainteresowania tym genialnym pomysłem, który mógłby zrewolucjonizować to i owo w naszym życiu i pełną je daleko naprzód.

Ja ich zresztą rozumiem, tych facetów z przemysłu. Robią od lat, to co robią i robią dobrze. No, może nie na najwyższym światowym poziomie, do tego jeszcze daleko, ale na poziomie średniośrodkowoeuropejskim. Biorą to, co oni robią i faceli z krajów rozwijających się i jeszcze długo będą, dopóki nas nie przegonia. Premie leca, wskaźniki układają się w górnych rejonach tabeli, minister ręką ścisną, w gazetach dobrze piszą, z kooperantami układy prawie rodzinne. I nagle jakiś zwiariowany wynalazca proponuje, żeby wszystko to zburzyć, naruszyć błąd spokój, utarte i wytarte układy, współzależności i wszystko zaczynać od nowa. Przecież trzeba być kompletnym głupcem, aby dać się wpuścić w takie „maliny”. Po cholere nam to? No i wszystko nadal idzie starymi koleinami. Nowe nie ma lekko. Stare trzymasz mocno. Najtrudniej przebiła się rzeczy najprostsze.

W „Sztandarze Młodych” wyczytałem, że firma polonijna „Marbet” wymyśliła i produkuje styryol. Jest to po prostu piwa styropianu wyklejona folią aluminiową. Montuje się ją na ścianie — przykleja wewnątrz domu, w miejscu, gdzie będzie umieszczony kaloryfer. Folia odbija ciepłe promieniowanie, styropian izoluje i ciepło nie ucieka przez mur na zewnątrz, a w mieszkaniu robi się od 2 do 5 stopni cieplej. Ponoć koszt ogrzewania mieszkania tanieje o 15 procent. Proste, a jakie skuteczne!

Wysłuchałem już kilku przemówień, w których wspomniano, że powinniśmy oszczędzać przede wszystkim energię pod wszelkimi postaciami, a w ogóle oszczędzanie jest nakazem chwili i od tego, jak będziemy oszczędzali zależy powodzenie naszych planów gospodarczych, czyli poziom naszego życia w najbliższych latach. I później też. Mogłem więc — jako człowiek bardzo naiwny — sądzić, że teraz budowlani rzucą się na te płyty styropianu oklejane folią, bo to w końcu nie takie drogie, a skuteczne i, w mieszkaniu będzie cieplej, a

elektrociepłownię i kotłownię będą spalały mniej węgla. Bo od tego, ile mamy węgla...

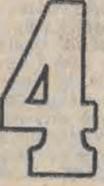
Tymczasem z tego, co napisał w „Sztandarze Młodych” Andrzej Rogoziński wynika, że nie jest tak pięknie, jakby się zdawało. Gdzie może ów styryol znaleźć zastosowanie. Moim zdaniem wszędzie, a przede wszystkim w blokach. Andrzej Rogoziński jest jednak sceptyczny. „Na pewno — pisze — w domkach jednorodzinnych, wyposażonych w instalacje centralnego ogrzewania, zasilane z indywidualnych źródeł ciepła. W takich domach, w których zainstalowany jest regulator ciepła, widać jak na dłoni, ile ciepła można zaoszczędzić. W dużych blokach mieszkalnych natomiast, gdzie za ciepło płacimy ryczałtem tego się nie sprawdzi, ale zapewne również się opłaci”. Otóż tego nie mogę zrozumieć. Wydawało mi się, że właśnie w dużych blokach, gdzie straty ciepła są ogromne, takie proste urządzenie miałoby przede wszystkim zastosowanie. Zresztą budownictwo posiada różne instytuty i placówki naukowe, nich się one zajmą kalkulacją. Po to są.

Ala przecież my w ogóle nie dbamy o ciepło. Proszę tylko przyjrzeć się uważnie swojej klatce schodowej. Czy drzwi zamykają się? Czy w drzwiach jest zamek? Czy w piwnicy wszystkie okienka są oszkłone? Czy okna na klatce schodowej domykają się i są uszczelnione na zimę? Czy kaloryfery na klatkach schodowych ogrzewają powietrze w tych klatkach, czy też na dworze? Ludzie często zapominają do czego służą drzwi. Wchodzą do sklepu, urzędu, własnej klatki schodowej i nie zamykają za sobą drzwi, choć na dworze śnieg i mróz.

Każda administracja znajduje natchniamst sprawiedliwie, że to przede wszystkim wszystko zniszczyli sami lokatorzy, a poza tym oni nie mają ludzi, materiałów, czasu i pieniędzy. I że od świętego powietrza nikt nie umarł. Przynajmniej nie będzie tak śmiesznie na klatkach schodowych.

Więc jednak nie chciałbym być wynalazcą, nawet najbardziej prostego wynalazku. Po co mi to, skoro innym to też nie jest potrzebne. Wprawdzie „nasza chata nie jest z kraja”, tylko w środku Europy, która cała parą gna do przodu, ale nam ciągle brakuje wyobraźni, aby pojąć, że stać w miejscu nie wolno.

WITOLD BOROWY



Nauka kontra duchy

Japoński poeta i aforysta, który zmarł w 1942 roku, a więc był poetą nowożytnym, choć pisał w języku starożytnym — Hagiwara Sakurajo napisał kiedyś, że „kiedy się wyczerpuje siła wyobraźni, człowiek zaczyna kochać swój dom”. Pięknie to powiedziane. Tylko być może w Japonii dom, to coś innego niż dom u nas.

Dla wielu z nas dom, to te kilka betonowych klatek w bloku, obok takich samych klatek, które są komus innemu domem. Niedługo pojęcie domu stanowiło o stopniu izolacji od reszty społeczeństwa. Człowiek, choć jest istotą społeczną nie może bezustannie żyć i być wśród ludzi. Odpoczywa, przeżywa, smuci się, jeśli nie w samotności, to wśród najbliższych. I chce mieć w domu spokój.

Łatwiej jest niekiedy wymyślić piękny aforyzm, cieszysz się jego prawdziwością, niż uciec go później w życie. Nasza samotność w betonowym domu narusza ciągle hałas dochodzący od sąsiadów. Wstaje rano, boli mnie głowa, że spa-

lem, mam swoje powody, żeby patrzeć na świat czarno, a tu nagłe bucha rytmem muzyka z szóstego piętra. To u Zetów maly Henio widać choruje, nie poszedł do szkoły i mimo wczesnej pory puszcza magnetofon czy adapter na cały głos. Innym razem człowiek wstaje radosny, cały świat by do serca przycisnął, a tu właśnie obok wrócił K. do domu z nocnej popijawy i raban czyni niemięziwy, przeprowadzając szczerą rozmowę z własną żoną, która się śpieszy do pracy i nie ma czasu na porządną małżeńską kłótnię. Radość moją diabli biorą i chętnie bym tego K. solidnie objechał, żeby wreszcie zamknął te swoją...

To wszystko są jednak niewinne ieraskki wobec tego, co dzieje się w Myszkowie przy ulicy Władysława Sikorskiego u państwa K. Najpierw przedstawmy rodzinę: jej głową — przynajmniej formalnie — jest Czesław K. — rencista, jego żona Anna pracuje w handlu. Mają oni troje dzieci: siedemstoletniego Roberta, szesnastoletnią Ewę i czternastoletnią Iwonę. Żyli sobie do tej pory spokojnie, nikomu nie wadziło, aż pewnego dnia stało się to, co może się stać najgorszego.

Jeden z moich przyjaciół miewa takie głupie przyzwyczajenie, że telefonuje do mnie na przykład o godzinie 0.30 i pyta: — Spisz już? — Spie — odpowiadam — właśnie mnie obudziłeś. — A to cię przeproszę — powiada on i wtyka się, choć mógłby powiedzieć już, po co mnie budził. Dzwoni natomiast rano i dopiero wtedy wyjaśnia, ale to już nie ma żadnego znaczenia, bo te pół butelki koniaku, które miał o 0.30 wypić z innym sąsiadem.

Ala takie budzenie ze snu to frazka wobec tego, co dzieje się u państwa K. w Myszkowie. W bloku przy ulicy Władysława Sikorskiego. Proszę sobie wyobrazić, że zaraz po północy ktoś gwałtownie dobija się do drzwi. I to tak, że nie tylko Czesław K. biegnie do drzwi, ale i sąsiedzi. Wszyscy wyglądają na korwaty, a tam... nie ma nikogo. Ale żeby to tylko ktoś nieoboczny dobijał się do drzwi.

Każdego dnia po południu w mieszkaniu państwa K. zaczyna się przedziwna „zabawa”. Nagle, ni stąd ni zowąd zaczynają pekać butelki i słoki. Szkoło rozsypuje się w drobne kawałeczki, choć nikt z sąsiadów naczyń nie dotyka. Anna K. stawia na ogniu garnek z wodą na zupę, a garnek sam spada na podłogę i woda się wylewa. Mało tego. Zdarzało się już, że z zamkniętej lodówki... wypadła butelka z mlekiem i rozbiła się. Naczynia wypadają też z zamkniętego kredensu. Zwarłówek można!

W bloku wszystkim słychać, więc najpierw sąsiedzi myśleli, że to tylko „żywienie małżeńskie dyskusje”, ale gdy okazało się, że to coś nienaturalnego, poradzili, żeby pójść z tym na milicję. Na milicji — owszem — wystuchali, nawet nie zdziwili się, nie wymyśli. Przyjechali, wszystko obejrzeli i powiedzieli, że przestępstwa nie ma, nie ma podstaw do interwencji, a w ogóle, to wobec kogo? I pojechali, ale nadal interesują się tym, co się dzieje u państwa K. Zwróceno się do lekarzy, ci sądzili, że może młodsza K., ma podobnie jak to było w Sosnowcu, jakieś nadnaturalne sily, że w jej obecności martwe przedmioty ożywają. Ale nie. Nie ma.

W Myszkowie opowiada się, że w bloku u państwa K. straszny. Kto straszny? Ano że tam dokazuje. Pewnikiem jakiś diabeł albo inne złe duchy? Ale dlaczego właśnie u państwa K., a nie u państwa Z., Ch., R., czy B.? Tego nikt nie potrafi wrthmaczyć. Najprościej jest powiedzieć: — duchy! Niektórzy to wstarcza i wszystko tłumaczy. Rodzina K. jest jednak już fizycznie i psychicznie zmaltretowana. Spróbujcie mieszkać w mieszkaniu, w którym spręty nagle ożywają i to nie wiadomo, kiedy i dlaczego.

Ala zblizamy się do końca XX wieku, po następnym XXI oczekujemy cudów techniki i nauki, więc to zobowiązuję i dlatego jedna z sąsiadek, bardziej światła widać, udala się do Krakowa, na Uniwersytet Jagielloński, aby tam wyprosić u naukowców pomoc i radę. Oczy wszystkich zwróciły się teraz ku nauce. Czy nauka rozwiąże ten skomplikowany problem? Czy nie zawiedzie ludzi w Myszkowie? Oto jest pytanie.

ZENON POROWATY

— Dopilnuj, aby Horst naprawdę tej nocy nie umarł. Noc jest ciepła, on jednak może się zaziębić. Gdy zaśnie w swojej trumnie, nakryj go kocem. Jutro już będzie po wszystkim.

Powiedziała z powagą:
— Nie chcesz pieniędzy, nie żądasz kobiety. Zaczynam wierzyc, że jesteś wilkiem. Pojedziesz aby znowu bić i masakrować ludzi.

— Nie gadaj głupstw. Czynię to, co powinien strażnik łowiecki. A tej dziewczyny już więcej nie chcę, bo tęsknię za miłością prawdziwą.

— A co zrobiłbyś z miłością kobiety? — zapytała go drwiako.
— Co by się stało, gdyby jakaś kobieta pokochała cię miłością czystą i prawdziwą?

Po raz pierwszy ujrzała na jego twarzy jakiś nowy wyraz. Coś jak gdyby strach. Wyrwał z jej dłoni lejcę. Wskoczył na klacz i uderzył ją pejcem tak mocno, że aż przysiadła na zadzie. Jak kula karabinowa wyskoczył z podwórka na drogę i pojechał galopem.

Stała przerażona, gdyż zrozumiała jego strach. I w niej obudził się podobny. Bo co by się stało, gdyby pokochała tego dziwnego człowieka, który nie dawał się nawet polubić? Jak zareagowałoby na to uczucie jej ciało?

Przy jej kolanach zaskomlił cicho Ivo. Bezszelestnie nadbiegł z głębi sadu, wywabiony tętentem kopyt klaczy i teraz pojeżdżał z tęsknotą, patrząc tam, gdzie zniknął Maryn. „Ivo kocha go, ponieważ się go boi” — pomyślała. — „Ja też go może kocham, ponieważ się go boję”. Zaczęła psa głaskać po łbie, po bujnym futrze na karku. Wyobraziła sobie, że oto w ten sam sposób głaszcząc leśnego wilka, który jest tak samo łagodny i oddany jak ten pies u jej kolan. Przypomniała jej się stare legendy o wilkołakach, o kobietach, które rodziły im dzieci. I nie wiedziała dlaczego, lecz nie czuła na tę myśl ani strachu, ani wstrętu. Głaskała miękkie, grube psie futro i myślała o ciele Maryna, o tym, że tyle razy miała ochotę dotykać jego nagiej gładkiej skóry.

Wróciła do domu, odszukała koc i na palcach zbliżyła się do szopy, gdzie leżał w trumnie stary Horst. Przyłożyła ucho do chropawej ściany z desek i usłyszała równy, głęboki oddech. Horst spał, choć w deskach trumny musiało mu być bardzo niewygodnie. Bezszelestnie weszła do szopy i tak jak to jej kazał Maryn — nakryła starego ciepłym kocem. Potem pośpieszyła do domu i weszła na górę do swojego pokoju. Długo stała przy oknie, patrząc w las, który już został ogarnięty przez krótką czerewoną noc. Chciała wiedzieć, co teraz robi Józef Maryn, dokąd pędzi na swej izabelowatej klaczy. Być może, gdyby była taką kobietą jak inne, jak choćby Leśniakowa, może potrafiłaby zatrzymać w domu tego dziwnego człowieka, przy którym czuła się bezpiecznie. Dałaby mu swoje ciało, chyba znacznie piękniejsze niż ciało chudej kelnerki z Gaud. Ale on powiedział jej już kiedyś i powtórzył to dzisiaj, że pragnie miłości. Zarazem bał się jej i dlatego nawet myśli, że jakaś kobieta może go tylko polubić, już napełniała go lekkiem. „Nigdy go nie zrozumie” — pomyślała, westchnęła i położyła się w sukience na łożku, aby — jeśli Józef wróci z lasu — natychmiast wstać i zająć się przygotowaniem posiłku.

Maryn zaś przemierzał las po krętych ścieżkach, liniach oddziałowych, między młodnikami i starodrzewami, omijając mokradła i małe leśne oczka. W lesie było tak ciemno, że z trudem dostrzegał uszy klaczy i dlatego przylgnął twarzą do grzywy zwierzęcia, aby go nie zrzuciła jakaś nisko rosnąca gałąź. Klacz widziała w ciemnościach i mimo że pędziła po krętych drózkach, ani przez chwilę nie zwalniała biegu, nie potykała się o wystające z ziemi korzenie. Ona i ten człowiek na jej grzbiecie zdawali się tworzyć jedność z ogromnym i pełnym ciemności lasem. Maryn poznał go przez te kilka miesięcy — podsiąknięte wodą zdradliwe zapadiska, zreby obstawione przygotowanymi do wywozu stosami papierówek, kopalniaka, grubymi dźwycami. I po raz pierwszy od chwili swego tutaj przybycia czuł się w lesie naprawdę bezpiecznie, jak dawniej, gdy prowadził samochód na ulicach najludniejszych miast. Może to prawda, że odnalazł w sobie coś z wilka-samotnika, który w poszukiwaniu zwierzęcy przebywa nocami leśne drogi i sam bieg w ciemnościach i w ciszy leśnej sprawia mu przyjemność, daje poczucie wolności. I podobnie jak u owego wilka u celu tej pogoni czeka go zwierzęcina. Pragnął walki — odczuwać ból i zadawać ból. Nie, nie czuł w sobie nienawiści do lasu, choć tylekroć chciał go nią zarazić Horst Sobota. Z lasem się pobratiał, a nawet jak gdyby go pokochał. Wśród leśnych drzew, w swoich samotnych wędrowkach po leśnych drogach, mógł ukryć przed innymi swoją klęskę i swoją samotność. To tylko z początku czuł się wśród drzew jak za kratami więzienia, potem raptownie pojął, że tylko jeszcze wielki las ofiarowuje mu nieskończoną wolność. Jakże piękne i przyjazne zaczęły mu się wydawać olchy na bagnie, jak piészczoty przyjmował leciutkie drapania świerkowych igiel, a kiedy brał w dłoń liść dębu wydawało mu się, że słyszy szelest podobny do tego, gdy dotyka się stronicy nieprzeczytanej książki. Być może kiedyś tę książkę przeczyta i nauczy się lepiej mowy lasu, tak samo dobrze jak Horst Sobota. Bo las mówił, ciągle coś ludziom mówił — nawet teraz przemawiał swoją ciszą i wirującymi w ciemnościach jasnymi kropkami świetlików. Być może kiedyś kupi sobie mały dom na skraju lasu, postawi ławkę przed domem i będzie patrzył jak las chce mu zabrać skrawek ziemi, przenosi nosioną drzewo do jego ogródka, huczy jesiennym wiatrem i zdaje się unosić na swoich barkach ogromne zwaliska chmur. Las zawsze był inny i zawsze pozostawał piękny — nawet teraz w mroku, raz po raz lizal twarz Maryna to wilgocią bagien, to w młodniku uderzał ciepłem i zapachem żywicy. Z bukowych siedlisk zalatywało wonią pleśni i grzybnia, a kiedy już można było prawie zatonąć w ciszy, raptownie zaczynał piakać puszczycy albo zakrzyczał lelek. Las żył — w nocy i we dnie, zimą i wiosną, latem i jesienią. Wciąż wyciągał niewidzialną dłoń po ludzkie serca i ludzkie dusze. Co z nimi robił? Gdzie, na jakim ołtarzu zawieszal ludzkie serca jak święte vota i gdzie, na jakich wysepkach wśród bagien — dawał schronienie i spokój ludzkim myślom i uczuciom. Las był cmentarzem dla drzew i sepek leśnych istnień, lecz także stawał się cmentarzem dla ludzkich pragnień i nadziei. Rodził zwątpienie albo jeszcze co innego, na przykład, chęć czynienia zła. To było dziwne, ale przecież las mógł dać człowiekowi wszystko co mu było potrzebne — może nawet budzić pragnienie sprawiania dobra, albo zrozumienia czegoś tak niezwykłego jak miłość. To przecież dopiero tutaj Maryn pojął że tęskni za miłością tak wielką jak las.

Klacz zwolniła kroku. Maryn jednak nie uderzył jej pejcem, bo wraz z poczuciem jedności z lasem, zrozumiał, że las nie każe się śpieszyć. Jeszcze zdąży Maryn stoczyć bitwę z leśnymi ludźmi, z ich kłamstwem i niechęcią do wszystkiego co nie jest leśne. Wolno przebyli młode jagodzisko, które porosło jedną z nieudanych upraw leśniczego Stęboraka. Następnie zjechali w dolinę, gdzie był grąd niski, pełen grabów, dębów i świerków. Na poboczu leśnej drogi leżały dranie i długie kloce bukowe przeznaczone na okleiny. Klacz ostrożnie wyminęła stosy karpiny i króciaków, przejechała mimo długiej mygły, ostrożnie przekroczyła trzy przegradzające drogę wywroty i weszła w drzewostan dojrzały, sosnowy, podzielony na działki żywiciarskie. Pięknie zapachniały sosny wejmutki i daglezie, ogarnął Maryna spokój. Gdy wjechał między szczyrbate ploty zagubionej w lasach wioski, natychmiast obskoczyła go sfera małych, kundlowatych pieszków, których używano tutaj do kłusowania. Trzy razy koniec jego pejca ze świstem dosięgnął z grzbietu klaczy kłosegów z kundli i zrobiła się cisza. Zaden już więcej nie zaszczekał, jak gdyby stały się świadome, że to nie obcy przybysz trafił w ich strony, lecz ktoś groźny jak wilk leśny. Nie byli zresztą przyzwyczajone do widoku człowieka na koniu i rozperzchyli się każdy w swoją stronę.

Maryn podjechał do pierwszej chałupy, pierś klaczy otworzył sobie spróchniałą furtkę, znalazł się tuż przy zasłoniętym firanką oknie, skąd jeszcze wypływał słaby blask lampy elektrycznej. Zapukał mocną w szybę i ramę z łuszczącą się na niej farbą. Ktoś gwałtownie odsunął firankę i Maryn zobaczył twarz Karasia.

— Kto tam? Kto tam? — zachrypięło za oknem.

— To ja. Twój przyjaciel — powiedział półgłosem Maryn.

Wielki las

(31)

ZBIGNIEW NIENACKI

Karasz zasnął firankę i Maryn pomyślał, że być może będzie musiał wejść do jego domu i wyciągnąć go na dwór uderzeniem bata. Ale Karasz sam wyszedł po chwili, zapinając spodnie i wciskając w nie kosaule.

— Oddałem ci przysługę — rzekł Maryn. — Teraz potrzebuję przysługi od ciebie, jak przyjaciel od przyjaciela.

W milczeniu ruszyli przez wieś. Maryn na klaczy, a tamten pieszo obok niego. Karasz o nic nie pytał, gdyż bał się tego człowieka. I to wcale nie jego pistoletu w czarnej kaburze u pasa, ale owej dziwnej nieokreślonej siły, którą ten strażnik łowiecki zdawał się nosić w sobie. Owszem, Karasz bał się nadleśniczego, bo tamten mógł go ukarać zmniejszeniem premii, posianiem na gorszą robotę albo nawet wyrzuceniem z pracy. Bał się też trochę leśniczego Stęboraka, szczególnie z początku, gdy nie wiedział, że tamten hoduje w domu kobietę podobną do rośliny. W Stęboroku wyczuwał coś niernormalnego, jak kiedyś u drwała Janiaka, sąsiada do Doliny. Od czasu jak Janiaka opuściła żona i uciekła z dziećmi do miasta, ponieważ przepijał wypłatę, Janiak opowiadał, że las nie daje mu spać, pukając w szybę świerkową gałązką. Aż pewnego dnia znalazł go powieszzonego na strychu swojego domu. Wisiał tam trzy dni. I odtąd nikt nie chciał mieszkać w tym domu, po sąsiedztwie z Karasiem. Inna sprawa, że dom był stary, przeciekał dach, ściany obrośły grzybem i w końcu dom rozebrano. U leśniczego Stęboraka odnalazł Karasz odrobinę podobieństwa do Janiaka — tak samo rozbiegane oczy i tajemniczy uśmiech człowieka, który posiadał jakieś wielkie tajemnice, chytre przekrzywanie głowy, gdy mówił do kogoś albo kogoś słuchał. A poza tym kto to słyszał, aby kobietę hodować jak roślinę. Stęboraka trochę się Karasz bał, jak człowiek normalny lęka się szaleńca, Maryna jednak obawiał się najbardziej. Szczególnie jego przyjaźni, którą trudno było pojąć. Trzy razy z Budrysem zaczęli się na Maryna u wodopoju saren, aby go zabić. I skończyło się tylko na tym, że Budrys zranił go nożem w ramię i też musiał zostać przyjacielem Maryna. Za własną krew, za zadaną mu ranę ofiarował Maryn przyjaźń, szatańskie przymierze przypiętowane krwią.

Weszli na małą pogadankę. Był tam stolik i dwie ławeczki pod dachem krytym gontem — miejsce wypoczynku dla turystów, gdyż wtedy prowadził niebieski szlak wędrowki przez wielki las. Tutaj Maryn zeskoczył z klaczy, zapalił elektryczną latarkę, wyjął z raportówki duży notatnik, kazał Karasiowi usiąść przy stoliku i napisać prawdę. To znaczy po prostu wyznać czym go nastraszył nadleśniczy Masłoch, albo co mu obiecał w zamian za fałszywe zeznanie, że nie było żadnego cmentarza na Wilczym Rogu. I Karasz opisał prawdę tak, jak się miała. Maryn posiadał zdjęcia, na których Karasz zdejmował drucianą pętlę z sarny. Maryn trzymał także bat w rękę.

Był środek nocy. Do światła latarki przylatywały duże emy i uderzały w twarz Karasia. A tamten, ten przyjaciel Karasia, stał tuż obok i palił papierosa. W mroku nie widział Karasz tego twarzą tylko ognik papierosa, to czerwony, to żółtawy, kiedy papieros rozżarzał się albo przysagał. Dlatego tym głębszy odczuwał lęk, gdyż nie potrafił się domyślić, co tamten ma na myśli, czy jest zadowolony, czy gniewny. Nie było w Karasiu najmniejszego odruchu buntu. Skłamał na rozkaz nadleśniczego i prawda wyszła na wierzch.

— A teraz przeczytaj — poprosił przerażający przyjaciel i Karasz, bardzo wolno, sylabizując swoje słowa przeczytał to, co napisał. A kiedy skończył i Józef Maryn jego oświadczenie schował do raportówki, jednocześnie gasząc elektryczną latarkę, Karasz zapytał ze strachem:

— Co powie nadleśniczy, gdy dowie się, że odwołałem zeznanie?

Usłyszał cichy śmiech.

— Dzwine ci się to wyda, przyjacielu, ale nadleśniczy nigdy nikomu nie powie o tym, co teraz zrobiłeś.

Po chwili Karasz słyszał już tylko cichnący w lesie tętent kopyt izabelowatej klaczy. Nie ruszył się z twardej ławki nawet, kiedy już przestał go dochodzić łomot kopyt na leśnej drodze. Ciążyło mu złoże strachu przed nadleśniczym, który kazał mu kłamać, i przed człowiekiem, który polecił mu mówić prawdę. Zaprzagnął aby noc i ciemność trwały wiecznie i okrywały go jak płaszczem niewidką. Nie chciał świtu i dnia, gdy będzie musiał spojrzeć w twarz leśniczego Stęboraka, a może również i nadleśniczego Masłochy. Nie wierzył Marynowi, że nikt go nie ukarze

tak za kłamstwo, jak i za prawdę. „Trzeba go było zabić” — przypomniał sobie noc, w której zaczęli się na strażnika łowieckiego. Tylko, że to się znowu źle dla nich skończyło, pobili ich mocniej i boleśniej. Odtąd Maryn mógł grasować po lesie na podobieństwo człowieka, który od czasu do czasu zamieniał się w wilka. Tak, to chyba Budrys był tym pierwszym, który wróciłszy do domu ze zmasakrowaną twarzą, powiedział do swojej żony i dzieci, że napadł go w lesie wilkołak. Podobnie rzekł Karasz swej żonie, kiedy zabrakło im mięsa i namawiała go, aby zastawił sidła na kozła lub sarnę: „Nie mogę tego zrobić, bo w lesie czyha wilkołak”. Inna sprawa, że nikt im nie wierzył i dzieciaki z Doliny i osady leśnej z Mordegów jak dawniej chodziły gromadami do lasu, aby zbierać maliny, jagody i poziomki.

A jednak pewnego dnia nadleśniczy Masłoch, który wybrał się na polowanie z jakimś leśnym dygnitarzem, znowu odkrył utracone w wyschniętym błocie bardzo wyraźne ślady wilka. Bardzo wiele lat temu leśniczy Izajasz Rzepa zabił w tych lasach ostatniego wilka. Ten nowy pojawił się tu więc z jakichś obcych stron. Odtąd wiele się mówiło o przebiegłości i zaciekleści samotnie grasujących wilków. Podobno do niego — przebiegłości i zaciekleści — był strażnik łowiecki. „I też śmierdzi dziłkim zwierzęciem” — powiedział o Marynie gajowy Wzdrega. A przecież nikomu tak naprawdę Józef Maryn nie zrobił wielkiej krzywdy, co najwyżej tego i owego trochę poturbował, gdy nie chciał zostać jego przyjacielem. Nikogo nie oddał w ręce milicji, nikogo nie postawił przed sądem. Był człowiekiem samotnym jak samotny musiał być ów wilk, co się pojawił w tych stronach. Czy można się dziwić, że pragnął ludzkiej przyjaźni? Nie jest tak łatwo być strażnikiem łowieckim w tak wielkim lesie. Dokąd teraz, w ciemnościach leśnych pomknął na swojej izabelowatej klaczy? Zenon Karasz dobrze wiedział, że nie on jeden zgodził się napisać kłamliwe oświadczenie. I nie on jeden, Zenon Karasz, tej nocy napisał zupełnie coś innego, bo nocą do okna domu zapukał Józef Maryn. Można się było jedynie domyślić, że strażnik łowiecki zdobył wielu przyjaciół, choć nikt nie pragnął przyznawać się do tej przyjaźni.

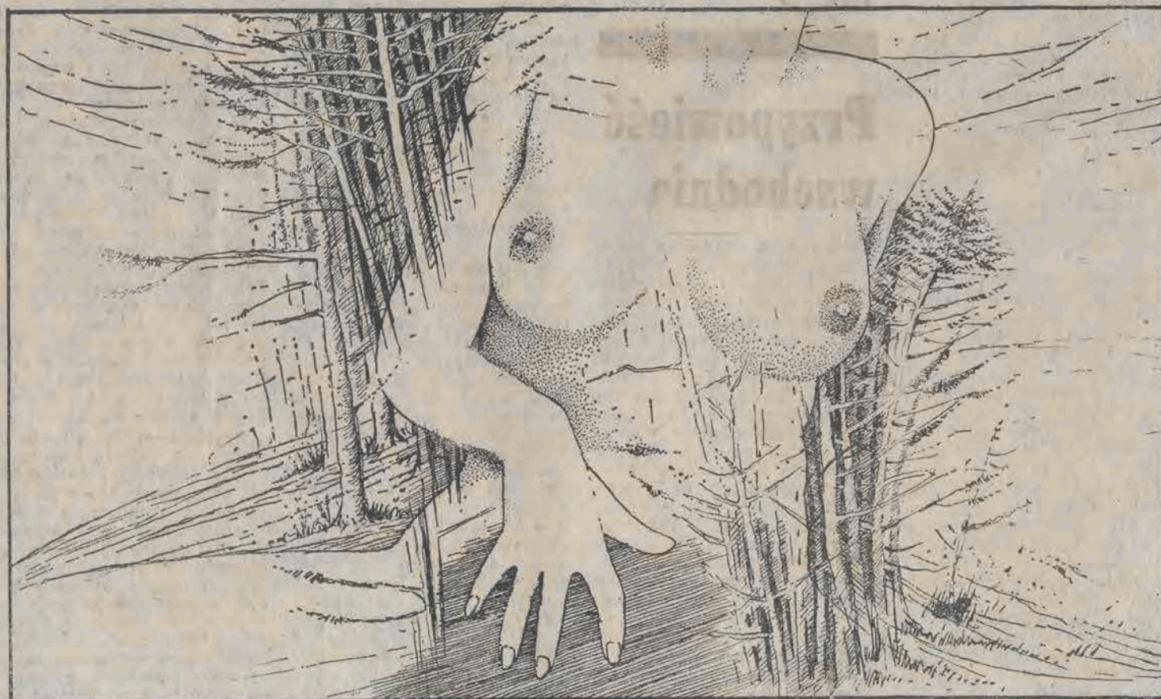
Wreszcie wstał z ławki i poszedł w stronę swojego domu. Towarzyszyły mu raz po raz zapalające się oczka świetlików i tajemniczy szelest z głębi lasu. Był rad, gdy znalazł się w łożku obok żony.

— Czy stało się coś złego — zapytała go kobieta. — Czego chciał od ciebie strażnik łowiecki?

— To mój przyjaciel — odrzekł Karasz i odwrócił się do niej plecami, nie chciał bowiem, żeby jego kobieta, jak to miała niekiedy w zwyczaju, położyła głowę na piersi i usłyszała szczyby łomot serca. Po chwili dodał sennie: — Zrobiłem źle, skłamałem. Ale on uwolnił mnie od kłamstwa.

Tymczasem punktualnie o ósmej rano w Nadleśnictwie w Bartach rozpoczęła się narada wszystkich leśniczych z udziałem przybyłego z Okręgowego Zarządu dwóch leśnych inspektorów. Najpierw mówiono o problemach związanych ze zrywką; potem — zgodnie z porządkiem narady zaproponowanym przez Masłochę — zaczęto dyskutować o wypadkach na uprawach, ze szczególnym uwzględnieniem nieudanych upraw w leśnictwie Stęboraka. Około południa przewidywał Masłoch, że wyłoży na stół trzydzieści oświadczeń leśniczych, gajowych i robotników leśnych i w ten sposób da odpowiedź jednemu z inspektorów, który przyjechał do Bart specjalnie dla wyjaśnienia skargi Horsta Soboty. Inspektor dowi się, że nie było żadnego cmentarza na Wilczym Rogu, Horst Sobota jest zwariowanym starym, który postanowił stoczyć bitwę z lasem. Jego skarga powinna posłużyć do ogłoszenia Soboty zwykłym wariatem. Wtedy być może uda się przy pomocy dobrego prawnika uzyskać od sądu ubezwłasnowolnienie szalonego starca i zdobyć jego piękny dom. Najważniejszy jednak pozostał dla Masłochy honor ich leśnej firmy. W sytuacjach takich jak ta, Masłochy stawał się podobny do kwoki gotowej bronić swojego stada, nawet jeśli któreś wlaźło w szkodę i narobiło bałaganu. Podobnie jak Wojtęzka, będzie Masłochy bronił i leśniczego Stęboraka, nie pozwoli inspektorowi, aby przeforsował swój wniosek o zdegradowanie Stęboraka do funkcji podleśniczego. Odtąd Stęborak naprawdę odczuje, co jest nie tylko jego szefem, ale i obrońcą i przestanie się aż tak gwałtownie dopominać o zmianę domu. Kto wie zresztą, czy Masłochy nie uzyska w końcu pięknego domu Horsta Soboty i nie odda go Stęborakowi, aby miał gdzie hodować kobietę podobną do rośliny. W ostatnim czasie Stęborok bardzo się zmienił. Przed rokiem nawet by mu do głowy nie przyszło, aby złożyć fałszywe świadectwo. Te kilka rozmów, które Masłochy przeprowadził z nim na uprawie, gdzie wyszły sadzonki, przede wszystkim modrzewie, chyba spowodowały w nim jakiś przełom. Nawet nie mrugnął okiem, nie chrząknął, nie zapytał „po co”, kiedy Masłochy poprosił o oświadczenie, że na Wilczym Rogu nie istniał nigdy żaden stary cmentarz. Masłochy nie czuł wyrzutów sumienia, że wymusza na ludziach fałszywe świadectwo. Czy nie robił tego dla dobra lasu, dla dobra ich leśnej firmy? Cóż mogło być ważniejszego dla nich — leśnych ludzi — jak nie pilnowanie spraw lasu, który ich żywił i ubierał, ponieważ stanowili jego cząstkę. W życiu swoim, szczególnie w młodości, przeczytał wiele powieści o leśnikach. Na ogół prezentowano ich jako romantycznych głupków, którzy ze strzelbą na ramieniu i mosiężną trąbką przemierzają leśne bezdroża, miłościwie oglądając przez lornetkę gniazda ptasie. Opisywali ich ludzie z miasta, bo takimi chcieli widzieć ludzi lasu

CDN



Rys Janusz Szumański Glanc